

Curwood James Oliver - Płonący las

„KB”

Na brzegu Athabaski

Przed godziną jeszcze Dawid Carrigan, sierżant Królewskiej Konnej Północno-Zachodniej Policji, wesoło pogwizdując przez zęby, dziękował Stwórcy za beztrudną radość życia. Błogosławił inspektora MacVane, dowodzącego dywizją N. z Athabaska Landing, za powierzenie mu funkcji, którą miał właśnie spełnić. Cieszył się, że wędruje sam jeden poprzez głęboki bór i że obowiązek służbowy w ciągu szeregu tygodni jeszcze będzie go włókł coraz dalej na umiłowaną Północ.

Przyrządzając południową herbatę na brzegu rzeki, podczas gdy knieja niby potop zalewała go z trzech stron, doszedł do przekonania - po raz setny bodaj - że dobrze jest nie mieć rodziny ni krewnych, bowiem misja, którą mu powierzono, należała do rzędu niebezpiecznych.

- Jeśli mi się co stanie - uprzedzał Carrigan zwierzchnika - nie trzeba zawiadamiać nikogo! Już od dawna jestem sam na świecie!

Nie należał do ludzi mówiących o sobie zbyt wiele, jednak przyjaciół liczył na setki, a wielu ufało mu bez zastrzeżeń. Na daleką Północ pchnął go wypadek, który jakkolwiek w swoim czasie pogmatwał mu życiowe ścieżki, w rezultacie dał pewną kompensatę. Bowiem Carrigan bałwochwalczo ukochał Północ. Stała się dlań pewnego rodzaju ideałem. Miał wrażenie, że zawsze żył tak, jak teraz, pod czystym stropem nieba. Obecnie miał trzydzieści siedem lat. Był trochę filozofem, jak każdy, kto oddycha nieskalanym powietrzem pustkowi. Z pogodą kochał ludzkość nawet w tych chwilach, kiedy zapinał kajdany na rękach przestępcy. Na skroniach puszczała mu się już siwizna. Poza tym lubił życie. Ta cecha wyrastała w nim nad wszystko inne.

Toteż siedział sobie przed godziną w zapadłej głuszy, o osiemdziesiąt mil na północ od Athabaska Landing, rad z tego, co go otacza i z tego, co leży przed nim. O sto osiemdziesiąt mil miał fort MacMurray, o dalszych dwieście mil Chippewyan, a poza Chippewyanem wielką Mackenzie ścielącą tysiącpięćsetmilowy szlak ku wodom Morza Beauforta. Był rad, że tu mieszka niewielu ludzi, lecz tych niewielu

kochał.

Przed godziną zaledwie, spoglądając na rzekę, widział dwa wielkie czółna prące w górę nurtu, podobne do długich smukłych galer średniowiecznych. W każdym czólnie siedziało ośmiu wioślarzy. Śpiewali. Ich głosy przetaczały się dźwięcznie pomiędzy wałami borów. Nagie ramiona i barki lśniły w słońcu. Przypominali mocarnych wikingów i byli dla Carrigana uosobieniem swobody. Śledził ich wzrokiem poty, aż zniknęli na zakręcie, lecz śpiew dolatywał jeszcze przez czas dłuższy. Gdy i ten zamilkł, Carrigan wstał znad skromnego ogniska i przeciągnął się, aż stawy trzasnęły. Przyjemnie było czuć, że pomimo trzydziestu siedmiu lat krew w żyłach krąży bujna i czerwona.

Znajdował się na północ od pięćdziesiątego czwartego stopnia szerokości geograficznej, a rzeki tego kontynentu zasilają swoimi wodami Ocean Lodowaty.

Jednak truskawki miały wkrótce dojrzeć w takiej obfitości, że deptać się je będzie na każdym kroku. Dzikie róże kwitły: szkarłatne płomyki barwiły leśne podłoże. Hiacynty i złotocętkowane fiołki grały w chowanego z niezapominajkami. Niebo było jak baldachim z błękitnego aksamitu.

Lecz wszystko to miało miejsce przed godziną, a w ciągu tego czasu, w ciągu minut sześćdziesięciu, dużo się może zmienić w życiu ludzkim. Przed godziną zadaniem Dawida Carrigana było schwytać Czarnego Rogera Audemarda - zakalę puszczy, mordercę pół tuzina osób przed laty niemal piętnastu. Z tych piętnastu lat podczas pierwszych dziesięciu Czarny Roger uchodził za umarłego. Lecz ostatnio z dalekiej Północy doszły tajemnicze wieści.

Złoczyńca żył. Ten i ów go widział. Na razie były to tylko luźne pogłoski; potem zaczęły napływać fakty. Wreszcie nie ulegało już wątpliwości, że przestępca żyje. Wtenczas prawo jeszcze raz dało o sobie znać.

- Masz go dostarczyć żywym lub martwym! - takie były ostatnie słowa inspektora MacVane. - Ale bez niego nie wracaj!

Wspominając owo kategoryczne zalecenie Carrigan uśmiechnął się, mimo iż rześisty pot skraplał mu czoło pod palącymi promieniami słońca. Bowiem w ciągu owej godziny dzielącej go od południowego posiłku, zaszła rzecz okropna, złowieszcza i zupełnie nieoczekiwana.

Gwizd kul

Skulony za skałą niewiele większą od niego samego, wkopując się w biały, miękki piasek niby żółw moszczący gniazdo do składania jaj - Carrigan nie czynił sobie żadnych iluzji. Był - jak to szeptem powtarzał raz po raz dla podtrzymania humoru - wyraźnie zagnany w kozi róg. Głowę miał obnażoną, gdyż kula zniosła mu kapelusz, w jasnych włosach pełno piasku. Po twarzy spływał mu pot, ale na dnie błękitnych oczu jeszcze stale widniała wesoła kpina, jakkolwiek wiedział doskonale, że o ile tamtemu starczy amunicji, czeka go niechybna śmierć.

Po raz dwudziesty w ciągu tyluż minut powiódł wzrokiem wkoło. Znajdował się pośrodku płaskiej wydmy. O pięćdziesiąt stóp poza nim rzeka bulgotała łagodnie na zwirowym podłożu, leniwie wymijając białe mielizny. O pięćdziesiąt stóp przed nim rósł zielony, chłodny mur lasu. Słońce igrając w listowiu zdawało, się siać iskry śmiechu, jakby drwiąc przekornie z kapryśnej ironii losu.

Pomiędzy rzeką a puszcza leżał jedynie złom głazu, za który Carrigan się schronił niby wystraszony królik. Głaz ten stanowił tylko nieznaczne wzniesienie na jednolitym skalnym podłożu. Piasek, naniesiony powodzią, powlekał podłoże zaledwie na wysokość czterech lub pięciu cali. Niepodobna było zatem ryc w głąb. Niepodobna było również usypać ochronny wał. Tymczasem wróg, utajony o sto jardów, był zdecydowanym mordercą i najcelniejszym strzelcem, jakiego Dawid kiedykolwiek spotkał.

Carrigan trzykrotnie ponawiał doświadczenia, mające go w tym względzie upewnić, zamierzał bowiem dać raptownie nura w leśny gąszcz. Po trzykroć nieznacznie unosił kapelusz ponad krawędź głazu i za każdym razem kula przedziurawiała go na wylot. Trzeci pocisk zerwał mu nakrycie z głowy i cisnął je o parę metrów.

Skoro tylko nieostrożnie pokazywał skrawek ubrania, kula odnajdywała go w jednej chwili. Dwukrotnie spod strzepów materiału pociekła krew i w oczach Carrigana zamarł wyraz wesołej ironii.

Niezbyt dawno jeszcze napawała go dumą surowa dzikość tego kraju, gdzie ludzie nie znający trwogi walczyli odważnie pierś w pierś. Lecz jego obecna sytuacja nie przypominała w niczym przygód doznawanych poprzednio w czasie utarczek ze ściganymi zbrodniarzami. Niejednokrotnie zaglądał w oczy niebezpieczeństwom. Bił się. Konał prawie. Fanchet, który okradł dwanaście sań pocztowych, omal go na tamten świat nie wyprawił. Fanchet był gotów na wszystko i bez zbytnich skrupułów. Lecz nawet i ten opryszek, nie przyciśnięty ostatecznie do muru, nie dybałby na życie

policjanta tak zajadle, jak to obecnie czynił nieznany przeciwnik Carrigana.

Nie miał już żadnych złudzeń co do zamiarów napastnika. Tamten nie po to strzelał, by ranić i unieszkodliwić, lecz wyłącznie dlatego, by zabić. Łatwo się o tym przekonał. Bardzo ostrożnie, by nie wystawić poza osłonę ramienia czy ręki, Carrigan dobył z kieszeni białą chustkę, umocował ją na końcu lufy i uniósł ten znak kapitulacji o trzy stopy w powietrze. Po czym z jednakową ostrożnością z wolna wysunął nad głazem płaski ułamek łupka, z odległości stu jardów mogący udawać z powodzeniem czubek jego głowy. Zaledwie czterocalowy kawałek znalazł się bez osłony, huknął strzał i łupek rozprysnął się na drobno szczątki.

Carrigan zwinął białą chorągiew i mocno przywarł do ziemi. Celność strzałów niewidzialnego przeciwnika była przerażająca. Rozumiał doskonale, że jeśli odłoni się choć na mgnienie, by użyć własnego karabinu lub też ciężkiego służbowego rewolweru - umrze, nim zdoła nacisnąć cyngiel. Zresztą, tak czy inaczej, koniec był bliski. Czuł w mięśniach bolesny kurcz. Nie mógł przecież wiecznie leżeć, złożony jak scyzoryk, za tym niedostatecznym przykryciem.

Oprawca krył się na skraju leśnej gęstwy, niezupełnie naprzeciw niego, lecz około stu jardów w dół rzeki. Carrigan raz po raz łamał sobie głowę, dlaczego zbój nie przepelźnie jeszcze dalej w bok, by mieć otwarty cel. Strzał wysłany z najbliższej kępy jedliny nie mógł chybić. Niepodobna było się przed nim ustrzec.

Lecz nieznany napastnik od chwili, gdy po raz pierwszy pociągnął cyngiel, ani się ruszył ze swej kryjówki.

Zaczęło się - to, gdy Carrigan przecinał otwartą przestrzeń, pokrytą białym miękkim piaskiem. Raptem huknął strzał i rozpalona smuga przeorała mu skroń. O pół cala w prawo i byłby zginął niechybnie. Ocalawszy cudem, błyskawicznie padł na ziemię poza jedyną osłonę będącą tuż obok - niewielki złom skalny.

W ciągu kwadransa czynił szalone wysiłki, by nie wystawiając się na strzał, oswobodzić się od ciężkiego plecaka. Udało mu się to wreszcie. Z uczuciem niezmiernej ulgi umieścił pakunek obok skały, podwajając niemal w ten sposób swój wał ochronny. Momentalnie trzasnęła weń kula - jedna, potem druga. Carrigan usłyszał szcęk blaszanek i zastanawiał się przez chwilę, czy przy tym wszystkim jego ekwipunek nie ulegnie całkowitemu zniszczeniu.

Po raz pierwszy mógł teraz otrzeć pot z twarzy i wyprostować członki. Mógł także rozważyć sytuację. Niezachwianie wierzył w potęgę umysłu. - „Mózg może wszystkiego dokonać!” - twierdził zawsze. - „Dobry mózg jest stanowczo lepszy, niż

dobry karabin!”

Będąc mniej skrepowany fizycznie, potrafił łatwiej zebrać rozproszone myśli. I od razu zadał sobie pytanie: kim jest człowiek strzelający doń tak zaciekle i z tak zdumiewającą precyzją? Co to za jeden?

Nowy grzechot ołowiu po blaszankach w przykry sposób podkreślił to zagadnienie. Pocisk uderzył tak blisko jego ręki, że aż się wzdrygnął, po czym osłonięty skałą i plecakiem począł gorliwie zgrzebywać piasek dla dodatkowej ochrony.

Po trzecim brzęku jego naczyń kuchennych nastąpiła chwila ciszy i Dawid mimo tragizmu położenia kpiąco zmrużył oczy. Ironia losu bawiła go mocno. Na otwartej wydmie, pod prostopadłymi niemal promieniami słońca, panował piekielny upał. Bez trudu mógł trafić kamykiem w miejsce, na którym wielkooka pliszka, dziobiąc coś, kiwała się to w przód, to w tył, przy każdym ruchu rozprawiając przyjaźnie. I wszystko wokół nosiło cechy przyjaznej pogody. Tuż za ptakiem rzeka nuciła perliście orzeźwiająca pieśń. Po drugiej stronie chłodny bór, cienisty i radosny, nabrzmiewał tętnem ukrytego życia. Była właśnie pora wicia gniazd. Trwał nieustanny szczebiot. Drobny, brunatny śpiewak wyfrunął na konar brzozy i Carrigan widział, jak pod piórkami gardelko pęcznieje mu pieśnią. Drobne ciało, mało co większe od kanadyjskiego orzecha, zaokrągliło się jak piłka, usiłując koniecznie prześcignąć trele innych zawodników.

- Dalej, stary, dalej! - zachęcał go Dawid.

To małeństwo, które z łatwością zgniótłby w dwu palcach, dodało mu jakoś furę odwagi.

Potem ptaszek urwał dla nabrania tchu. W czasie tej pauzy Carrigan nasłuchiwał kłótni dwu jaskrawo upierzonych kanadyjskich sójek, ukrytych nieco dalej w gąszczu. Były to zawodowe plotkarki wiecznie zajęte sporem. Przypominały zgryźliwe babska zatruwające bliźnim nawet dnie powszechnego wesela.

Nastał bowiem miodowy miesiąc kniei. Ta naiwna myśl zaprzętała umysł Carrigana, gdy leżąc na boku z twarzą przy ziemi wolno i ostrożnie przedlubywał strzelnicę pomiędzy skałą i plecakiem. Były to gody puszczy jak długa i szeroka, w górę i w dół doliny trzech rzek. Mężczyźni i kobiety niepomni długich ponurych dni zimowych przyspiewywali radośnie, a dzieci baraszkowały niefrasobliwie u progów chat. Bór, prerie i mokradła jednakowo kipiały weselem. Wszelkie pierzaste stworzenia kojarzyły się w pary. Niezliczone gniazda dzwoniły szczebiotem i piskiem. Matki

uczyły swe pisklęta pływać i latać. Od krańca ziemi po kraniec mali mieszkańcy leśnych mateczników przyodziani w puchy lub futra, zbrojni w kopytka, pazury lub szpony - brali lekcje życia.

W pewnej chwili Carrigan przekonał się, że może już rzucić wzrokiem między plecakiem a skałą ku miejscu, gdzie się zasadził morderca. Ryzykował znacznie. Wiedział, że jeśli przypadek zdradzi zaimprovizowaną strzelnicę, minuty jego są policzone. Lecz wykonał pracę nadzwyczaj oględnie, cal za cal, i był pewien, że przynajmniej na razie wróg nie zauważył podstępu.

Miał wrażenie, że zna już kryjówkę napastnika. U skraju kępy jodeł o nisko nawisłych konarach leżał zwalony cedr. Strzały biegły spoza pnia tego drzewa.

Jeszcze ostrożniej niż poprzednio zaczął przesuwac przez otwór lufę fuzji. Wykonując to myślał o Czarnym Rogerze. Podejrzewał, iż to on właśnie wykonał zasadzkę, choć jednocześnie zdawał sobie sprawę z absurdalności tego przypuszczenia.

Za tym pnem nie mógł się kryć Czarny Roger ani którykolwiek z kamratów złoczyńcy. Było to wykluczone z uwagi na ścisłą tajemnicę, jaką w Athabaska Landing otoczono misję policjanta. Dawid Carrigan odchodząc, nie pożegnał nawet serdecznych przyjaciół. Poza tym ruszył na wyprawę bez munduru, w cywilnym ubraniu. Cóż więc miało go zdradzić? Zresztą Czarny Roger musiał się teraz znajdować o tysiąc mil na północ, chyba że skuszony wiosną przemknął bliżej ludzkich osiedli. Ostatecznie rzecz biorąc, według wszelkich nakazów logiki, można było wysnuć tylko jedną konkluzję: człowiek z zasadzki był jakimś zbrodniczym Metysem, pożądanym, broni i zapasów wędrowca.

Trzask czwartego pocisku dziurawiącego plecak uprzytomnił raptem Carriganowi, że i tego rodzaju przypuszczenie graniczy z absurdem. Ktokolwiek podtrzymywał ogień, miał mało respektu dla zawartości worka oraz z całą pewnością posiadał znakomitą broń i pod dostatkiem naboju. Na rękę Dawida ściekała teraz lepka struga skondensowanego mleka i policjant pomyślał, czy też ocaleje choć jedna puszka konserw.

Po tym strzale przeleżał chwilę bez ruchu twarzą do ziemi. Oczy miał zwrócone ku rzece. Na przeciwległym brzegu, oddalone o ćwierć mili, trzy czółna płynęły szybko w górę leniwego prądu. Słońce łyskało na mokrych burtach. Ociekające wodą wiosła sprawiały wrażenie skrzydeł ptasich. Ktoś nawoływał głośno, pytając zapewne o powód strzałów.

Carrigan pomyślał, że mógłby odkrzyknąć, prosząc o pomoc, lecz podejrzewał, iż głos nie doniesie. Poza tym, gdy miał obecnie podwójną osłonę przed ogniem, wstyd mu było przyznać się, że tchórzy. Spodziewał się zresztą, iż w ciągu najbliższych paru minut sam sobie poradzi z napastnikiem.

Z drobiazgową ostrożnością przesuwiał coraz dalej przez otwór lufę fuzji. Pliszka dostrzegła go i zdawała się głęboko zainteresowana tą czynnością. Skacząc podeszła o kilka metrów i przechylając łebek, z ukosa, obserwowała, co się dzieje. Jej szczebiot - przeszedł w żalony, nerwowy krzyk. Carrigan miał ochotę ukreć jej szyję. Zachowanie ptaka zdradzało zaczajonemu mordercy, że policjant żyje i że się rusza.

Zdawało mu się, że minęła wieczność, nim wreszcie fuzja przeszła przez otwór, cały czas oczekiwał grzmotu wystrzału. Rozpłaszczony na ziemi, wzorem Indian, rzucił wzrokiem wzdłuż lufy. Był pewien, że wróg obserwuje go, jednak nigdzie w pobliżu zwalonej kłody nie umiał rozróżnić zarysu głowy ludzkiej. W jednym końcu pnia była zwarta masa listowia. W pewnej chwili tam właśnie ułowił lekki ruch i podniecony ogromnie zamierzał natychmiast posłać kulę. Lecz powstrzymał się w samą porę. Zrozumiał, iż wolno mu działać jedynie na pewniaka. Pierwsze pudło zdradzi istnienie strzelnicy. Co gorsza, chwilowa przewaga zamieni się w śmiertelne niebezpieczeństwo. A co będzie, jeśli kula przeciwnika wymaca ten otwór?

Zrobiło mu się przykro i wzdłuż grzbietu przebiegł niemiły dreszcz. Miał coraz gwałtowniejszą ochotę ukreć łeb natrętnej pliszce. Ptak, wykonawszy półkole, znalazł się między plecakiem a głazem i trwał tam, zadarłszy ogon i zniżając łebek, jakby koniecznie chciał zajrzeć w otwór lufy. Bezczelnie zdradzał cały plan. Jeśli zaczajony drab jest równie sprytnym człowiekiem, jak dobrym strzelcem...

Raptem zeszywniał. Był pewien, że ułowił właśnie w listowiu zarys czyjejś głowy i bark. Powoli nacisnął cyngiel winchestera i już miał wypalić, lecz strzał znad powalanej kłody wyprzedził go o ułamek sekundy. Kula uderzyła o róg plecaka przesywając go na wylot. Uczuł raptowny wstrząs i w niesłychanie drobnej cząstce mgnienia, pomiędzy wrażeniem umysłowym a fizycznym, pojął, co się stało.

Dostał w głowę; w twarz. Miał wrażenie, że zanurzył ją gwałtownie w gorącą wodę. W mózgu huczał i przewalał się wzburzony nurt. Wstał chwiejnie, oburącz ściskając głowę. Świat wokół był wykrzywiony i czarny, rozkołysany mdląco. Z tego ogólnego chaosu wydzielala się potworna pliszka, wielka jak dom.

Carrigan zatoczył się i runął na biały piasek bezwładnie rozrzucając członki, twarzą zwrócony do lasu i zasadzki.

Leżał teraz na otwartej przestrzeni, widoczny z dala, lecz nowy strzał nie padał. Jakiś czas panowała zupełna cisza. Mały śpiewak na gałęzi brzozy świergotał nerwowo. Pliszka nieco zdziwiona, cofnąwszy się nad brzeg rzeki, ścigała się sama ze sobą, skacząc po wilgotnym piasku. Zaś obie kłótlive sójki przeniosły spór nieco w głąb kniei.

Właśnie ich głośny szczebiot uzmysłowił Carriganowi, że jeszcze żyje. Było to wstrząsające odkrycie. Wnet też uprzytomnił sobie, że rozróżnia na piasku słoneczną plamę. Nie ruszając się, szerzej otworzył oczy. Mógł widzieć skraj lasu. Zwalony pień i wieńczące go gęste zarośla leżały na równej linii z jego wzrokiem.

Właśnie gdy patrzył, zieleń rozpękała się na dwoje i wyszła spośród niej jakaś postać. Carrigan odetchnął głęboko. Przekonał się, iż nie doznaje żadnego bólu. Zakrzywił palce prawej ręki i uczuł, że się zaciskają na kolbie rewolweru. Wtenczas zrozumiał, że i tak wygra, jeśli tylko Stwórca daruje mu jeszcze parę minut życia.

Wróg zbliżał się. W miarę jak szedł, Carrigan przymykał oczy coraz bardziej. Postanowił, iż zamknie je zupełnie, gdy tamten będzie tuż i uda martwego. Potem, skoro zbój złoży karabin na ziemi, by obszukać ciało, nastąpi odpowiedni moment. Byle się tylko nie zdradzić przedwcześnie.

Nakrył oczy powiekami. Poczęło mu się robić mdło; czerwony ogień spalał mózg. Słyszał kroki; ucichły w piasku tuż przy nim. Potem ułowił ludzki głos. Nie były to słowa, tylko nieartykułowany dźwięk, coś na kształt krzyku czy wołania. Z trudem zebrał resztę energii. Miał wrażenie, że porusza się błyskawicznie szybko; w rzeczywistości jednak czynił gesty wątle i powolne jak konający człowiek.

Rewolwer zwiślał mu w bezwładnej dłoni, lufą do piasku. Podnosząc wzrok, usiłował jednocześnie podnieść broń. Lecz raptem, pomimo szalonego osłabienia, krzyknął zdziwiony.

Wróg stał w pełnym słońcu, przyglądając mu się dwojgiem wielkich ciemnych oczu, pełnych grozy. Nie były to oczy mężczyzny. Dawid Carrigan miał przed sobą - kobietę!

Zagadka

Okolo dwudziestu sekund, może dłużej Carrigan patrzył jak urzeczoną.

Widział dziewczynę na tle jaskrawo rozświetlonego nieba. Z omdlałej dłoni wypadł mu rewolwer, a całym ciężarem ciała oparł się na łokciu. Miał zawroty głowy, robiło mu się mdło. Był na granicy omdlenia, a jednak do śmierci nie miał zapomnieć tego, co widzi.

Dziewczyna miała odkrytą głowę i okropnie bladą twarz. Oczy jej płonęły niesamowicie. Rysy i cała postać wyrażały ogromne zdumienie.

Carrigan tracił przytomność. Sylwetka nieznajomej rozpływała się we mgle, lecz jej twarz widział do końca. Krucze sploty otaczały ją niby welon. Były zwichrzone, jak w czasie walki lub szybkiego biegu na wietrze.

Usiłował nie stracić dziewczyny z oczu, a przede wszystkim przemówić. Ale wzrok odmawiał mu posłuszeństwa, a życie uciekało najwyraźniej. Opadł do tyłu, charcząc. Nie słyszał już krzyku, z jakim nieznajoma uklękła obok. Nie czuł, jak mu unosi głowę i ostrożnie przegarniając włosy pełne piasku, szuka śladu kuli, ani jak potem układa go z powrotem na ziemi, by pobiec sama ku rzece.

Dopiero po jakiejś chwili zdał sobie sprawę z tego, co się dzieje. Coś chłodnego i mokrego ciekło mu po płonącej skroni i po twarzy. Była to woda. Zrozumiał to podświadomie i równocześnie zaczął myśleć. Lecz myśli działały opornie. Rozlatywały się wciąż, skacząc jak pchły ziemne i, gdy zaledwie opanowawszy jedną, sięgał po drugą, już ta pierwsza wymykała mu się spod kontroli.

Po pewnym czasie jednak powiązał je w logiczny ciąg i usiłował przemówić. Ale na wargach i powiekach leżała jednakowo mocno pieczęć. Dopiero po chwili z głębi czaszki wyroiło się całe stado malutkich kowalików zbrojnych w młoty i oskardy i zaczęło kruszyć pieczęć. Bolało, ale za to widział światło.

Dziewczyna krzątała się koło niego, czuł jej bliź skość. Woda nadal ciekła mu po twarzy. Potem zaczął rozeznawać jej słowa, wciąż te same, powtarzane monotonicznie przez łyzy.

Szalonym wysiłkiem otworzył oczy.

- Dzięki Bogu, pan żyje, pan nie umarł! - mó wił splakany głos, idący jakby z okropnego oddalenia. - Pan żyje!

- Usiłuję żyć! - wybełkotał Carrigan chrapliwie. Ból w czaszce przycichał, lecz Dawid przeklinał tę okoliczność, gdyż jednocześnie tracił znów zdolność widzenia i mowy. Czuł jednak, co się dzieje. Ktoś go włócił. Słyszał chrzęst piasku pod własnym ciałem. Po pewnym czasie doszły go głosy, nie jeden, a dwa. Schyliła się nad nim dziewczyna o czarnych oczach i ciemnych źrenicach, lecz raptem włosy

stawały się złote, a oczy orzechowej barwy. I tak widział na przemian, raz jedną twarz, raz drugą.

Carrigan nie miał pojęcia, jak długo trwa to wszystko: godzinę, dzień, miesiąc czy może rok. Wiedział jedno: że dziewczynę o ciemnych oczach zna dobrze i od dawna. Natomiast uporczywa walka pod „palącymi promieniami słońca całkowicie odeszła w niepamięć.

Miał wrażenie, że przerzucono go raptem w świat pełen złud i mglistych zjawisk. Jedynie ta twarz była realna i wyraźna, choć co chwila odpływała w mrok.

Potem nadszedł okres czarnej, milczącej zawieruchy, z której powoli niezmiernie daleko wyłonił się lśniący punkt: gwiazda. Światło zbliżało się, wreszcie rozgorzało jak słońce. Błysnął świt, a wraz ze świtem zaświergotał ptak. Ten ptak znajdował się tuż nad głową Carrigana. Carrigan otworzył oczy i zobaczył, że leży pod ową srebrną brzozą, na której leśny śpiewak wywodził swoje trele.

Przez chwilę nie zadawał sobie wcale pytania, jak się tu znalazł, Patrzył na rzekę i na białe pasmo piachu. Tam była skała, a obok niej plecak. Tam również miał karabin.

Instynktownie odwrócił oczy ku miejscu zasadzki. Zwalony pień i kępa drzew obok pławiły się w słońcu. Lecz tu, gdzie on sam leżał, stał czy też siedział - nie był pewien właściwie, w jakiej znajduje się pozycji - panował rozkoszny cień i chłód. U góry gęsto splecione konary cedrów, sosen i jodeł przetykało tu i ówdzie srebrne listowie brzozy.

Po chwili zdał sobie sprawę, iż jest częściowo oparty o pień tej właśnie brzozy, a częściowo o rosnącą obok jodłę. Pomiędzy oba drzewa wetknięto kłęb świeżego mchu i na nim, jak na poduszce, spoczywała jego głowa. Pod bokiem miał własne wiadro pełne wody.

Bardzo ostrożnie uniósł rękę - i dotknął czoła; jego palce musnęły bandaż.

Siedział potem minutę lub dwie bez ruchu, ze zdziwieniem usiłując pojąć, co zaszło. Przede wszystkim - żył. Ale to nawet było mniej zdumiewające niż reszta. Przypomnił sobie końcową fazę nierównego pojedynku. Wróg wziął nad nim górę. Wrogiem tym była kobieta. Najpierw przedziurawiła mu łeb, a potem, miast dobić, zawlekła go w cień i opatrzyła ranę. Trudno było w to uwierzyć, lecz wiadro wody, mech pod głową, bandaż wreszcie, potwierdzały dziwo w dostatecznej mierze.

Postrzeliła go zatem. Wyraźnie i z rzadką zaciętością dybała na jego życie. A potem czyniła wszystko, by go uratować. Carrigan uśmiechnął się. Już to samo było

dowodem, że istotnie miał do czynienia z kobietą.; Tylko kobieta mogła wykazać podobny brak logiki. Mężczyzna konsekwentnie dokończyłby dzieła.

Począł się za nią rozglądać, ale zobaczył tylko srebrzysty trzepot skrzydeł zaaferowanej pliszki. Zachichotał wesoło, gdyż dobrze mu było spoczywać bez trosk. Poza tym cieszył się, że zło minęło i że przeszedłszy, co przeszedł - żyje. Gdyby pliszka była człowiekiem, przywołałby ją i uściskał jej rękę. Oddała mu przecież znakomitą przysługę, zdradzając otwór wywiercony między plecakiem a skałą. Inaczej, strzeliłby niechybnie i trafił, być może, w pierś - kobiety!

Sięgnął po wiadro i napił się chciwie. Nie czuł bólu. Zawrót głowy minął. Umysł działał sprawnie. Temperatura wody wskazywała na to, iż czerpano ją dość dawno. Począł obserwować położenie słońca i kierunek cieni. Jako człowiek przyzwyczajony do notowania szczegółów machinalnie wyjął zegarek. Dochodziła szósta. Od chwili gdy dostał kulę, upłynęły trzy godziny.

Nie próbując wstać, wolniej i uważniej przesunął, wzrokiem po skraju leśnej gęstwy. Gdy leżał skulony za skałą, pod gradem ołowiu, zdumienie jego nie miało, zda się, granic. Teraz jednak był bodaj jeszcze bardziej zdziwiony.

Ponadto miał szaloną ochotę spojrzeć znów na nie znajomą dziewczynę. Pamiętał ją doskonale: ciemn oczy, kruczy włos zwichrzony na wietrze, białą, przejętą grozą twarz. Przypomniawszy sobie, jak pochylała na nim szczupłą kibić. W gorączce jawiła mu się co prawda i w innej postaci: jasnowłosa, z oczami pełnymi złotych ognii. Wiedział jednak dobrze, że ta była złudzeniem, a tamta rzeczywistością.

Poszedł wzrokiem za wyżłobioną w piasku koleiną, wiodącą od jego obecnego schronienia do skały. Była to droga, którą dziewczyna wlokła - go w cień drzew. Carrigan dzięki treningowi utrzymywał stale wagę ciała na poziomie stu sześćdziesięciu funtów, lecz i to stanowiło niemały ciężar dla kobiecych ramion. Musiała się okropnie zmordować. Na piasku łatwo było rozróżnić trzy oddalone od siebie miejsca, gdzie odpoczywała kolejno.

Carrigan uchodził słusznie za jeden z najbardziej analitycznych umysłów dywizji N. W trudniejszych sprawach MacVane niemal zawsze zasięgał jego rady. Posiadał wprost niesamowitą zdolność przeniknięcia psychiki zbrodniarza. Lecz obecnie był niemal oszołomiony biegiem wypadków.

Kobieta ukryta w zasadzce zamierzała popełnić morderstwo z premedytacją. Chciała go zabić, to jasne. Zignorowała najzupełniej białą chorągiew, za pomocą której prosił o litość. Strzelała celnie, jak sam diabeł.

Z chwilą jednak gdy zobaczyła go we krwi na piasku, w jej zachowaniu zaszła radykalna zmiana. Oczywiście osądziła, że on kona. Ale dlaczego później nieco, gdy otworzył oczy, dziękowała Bogu, że żyje? Skąd ten raptowny zwrot? I po co ratowała go z takim poświęceniem?

Gdyby napastnik był mężczyzną, Carrigan łatwiej by znalazł odpowiedź. Nie okradziono go, zatem nie kradzież była powodem zasadzki. - Zaszła pomyłka! - powiedziałby sobie. - Wzięto mnie za kogo innego!

Mogło tak być, lecz udział kobiety czynił odpowiedź mało zadowalającą. Nie mógł zapomnieć jej żrenic; wyrazu okropnej grozy, jaką w nich wyczytał. Jakby się w tej dziewczynie raptem dusza wzdrygnęła.

- Chociaż brak logiki pasuje właśnie do kobiety, szczególnie z takimi oczami jak ta! - pomyślał.

Więc albo zaszła pomyłka, albo - i to również było możliwe - morderczyni działała z ramienia Czarnego Rogera Audemarda, lecz obdarzona zbyt miękkim sercem w ostatniej chwili uczuła wyrzut sumienia.

Minęła godzina i słońce osiadło niżej na niebie, nim Carrigan się upewnił, za pomocą szeregu ostrożnych prób, iż nie może stanąć na nogach. W plecaku miał sporo rzeczy, których potrzebę odczuwał obecnie: na przykład koce, lusterko i termometr w pudełku z lekarstwami. Stan zdrowia poczynał go niepokoić. W głębi czaszki czuł silne bóle. Twarz miał rozpaloną i pragnienie odzywało się coraz częściej. To była gorączka. A wiedział doskonale, co znaczy gorączka dla człowieka rannego i samotnego w puszczy. Przestał się spodziewać powrotu kobiety. Oczywiście szaleństwem było sądzić, że wróci po tym, co zaszło. Obandażowała go, usadziła wygodnie, zaopatrzyła w wodę i poszła, pozostawiając na łasce losu. Tylko dlaczegóż, u licha, nie przyniosła mu także plecaka?

Na kolanach i rękach począł ku niemu sunąć. Ruch sprawiał mu silny ból, a kiedy pomimo bólu nie ustawał, przyszły mdłości. Lekarstw jednak potrzebował koniecznie, derki również, a za pomocą fuzji zamierzał dać sygnał ludziom przejeżdżającym rzeką. Stopa za, stopą i jard za jardem włókł się po piasku. Palce wczepiał w ślady nóg tajemniczej nieznajomej. Pochlebnie oceniał ich kształt. Były drobne i wąskie, niewiele dłuższe niż jego własna dłoń. Odziewały je nie mokasyny, lecz prawdziwe trzewiki z obcasami.

Zdawało mu się, że minęła wieczność, nim wreszcie dotarł do plecaka. Kiedy znalazł się obok niego, miał wrażenie, że w głowie chodzi mu ogromny zegar, a

Wahadło uderza, o jego czaszkę. Legł z plecakiem pod głową, by chwilę odpocząć. Minuty mknęły jedna za drugą. Słońce zapadło za chmury spiętrzone na zachodzie, powietrze ochłodziło się, lecz rannego zżerało palące pragnienie. Słyszał o parę jardów perlisty szum wody na kamieniach. Rzeka stała się teraz upragniona ponad wszystko, bardziej cenna niż lekarstwo, dery i broń. Jej kusząca gęźba odsunęła na dalszy plan każde inne zagadnienie. Toteż ruszył znów przed siebie, pełznąć, podczas gdy zegar w głowie uderzał coraz gwałtowniej, a nurt śpiewał coraz bliżej. W końcu dotarł do mokrego piasku, padł na twarz i pił chciwie.

Potem nie miał już zbytniej ochoty wracać. Przewrócił się na plecy, twarzą ku niebu. Piasek pod nim był miękki i rozkosznie chłodny. Ogień w czaszce wygasał. Z lasu nadbiegały nowe dźwięki: mowa wieczorna. Drobne ptaki poćwierkiwały jedynie cichutko, zmuszone do milczenia mrokiem nocy rozestłanym już pod gęsto nawisłymi konarami oraz pohukiwaniem zbudzonych sów. Opodał trzasnęły chrusty: zapewne jeżozwierz szedł do wodopoju. Może zresztą był to spragniony jeleni albo niedźwiedź, spodziewający się znaleźć na brzegu zdechłą rybę.

Carrigan lubił tego rodzaju odgłosy. W chwili obecnej działały nań jak kordiał, toteż leżał szeroko otwartymi oczami, łowiąc uchem poszczególne dźwięki, znaczące okres między dniem a nocą. Usłyszał bek sarny. Potem znad rzeki doleciało ni to wycie, ni to szczekanie. Carrigan wiedział, że to kojot, nie wilk, kojot, którego plemię wywędrowało o setki mil na północ, z krainy prerii w puszcze.

Cienie gęstniały. Nie była to jednak zwykła czerń nocy spotykana o tysiąc mil na południe. Raczej szary półmrok. W tych stronach i o tej porze słońce wstaje o trzeciej rano, a o dziewiątej wieczór jeszcze rzuca krwawe blaski. Życie wreszalonem tętnem. Pąk topoli w oczach rozwija się w liść. Truskawki zielone rankiem, po południu są już dojrzałe zupełnie.

Nieco później dzień bywa jeszcze dłuższy. O północy można swobodnie czytać bez sztucznego oświetlenia. Ciemność trwa zaledwie cztery do sześciu godzin.

Carrigan leżąc na wilgotnym piasku myślał o pochodzie stalowych szyn i maszyn parowych sunących na ten kraj. Wkrótce cywilizowany świat się dowie, że na Kręgu Polarnym łatwo hodować pszenicę, że ogórki dochodzą tu połowy objętości męskiego ramienia, kwiaty rosną najbujniej, a jagody kryją ziemię purpurowym i czarnym kobiercem. Z dawna obawiał się nadejścia tych dni, dni „wielkiego odkrycia”, jak je nazywał w myśli, gdy przeludniona cywilizacja zrozumie wreszcie, jak żywiłowo rosną dary ziemi przy dwudziestogodzinnym słońcu, pomimo iż

ziemia jest wiecznie skuta mrozem o cztery stopy pod powierzchnią.

Dziś z powodu chmur na zachodzie mrok zapadał szybciej. Panowała ogromna cisza. Nawet wiatr lecący z rzeki ustał.

Carrigan leżał spokojnie, rad, że chłodny piasek wyciąga mu z ciała gorączkę. Raptem ułowił jakiś dźwięk. Z początku myślał, że to plusk ryby. Lecz dźwięk się powtarzał miarowo i coraz bliższy, więc zrozumiał, że to wiosła biją wodę.

Przebiegł go dreszcz i nerwowo uniósł się na łokciu. Rzekę powlekał mrok i nie mógł nic dojrzeć, lecz słyszał głosy przeplatane pluskiem wiosel. A po chwili rozeznał, że jeden z głosów należy do kobiety.

Serce skoczyło mu gwałtownie.

- Wracaj! - szepnął sam do siebie. - Wracaj!

Janina Marianna Boulain

Carrigan instynktownie zamierzał już krzyknąć do płynących, lecz powstrzymał się w ostatniej chwili. Nie mogli go przecie przeoczyć ani oddalić się poza zasięg głosu. Czekaj więc. Ostatecznie ostrożność była wskazana.

Podpełznął wstecz po karabin i przekonał się, że ruch nie sprawia mu już wielkich cierpień. Cały czas nasłuchiwał bacznie dźwięków z rzeki. Rozmowa umilkła, a plusk wiosel ledwo dał się uławić. Jednak wiedział, że czółno dopływa bliżej. Nadmierna przezorność jadących wydała mu się podejrzana. Kto wie, czy dziewczyna o czarnych włosach i błyszczących oczach nie zmieniła zdania jeszcze raz i nie wraca po to, by go dobić.

Ta myśl zaostrzyła wzrok Dawida. Dostrzegł długi, wąski cień nieco ciemniejszy niż tło rzeki. Z wolna cień nabierał kształtów. Coś zgrzytnęło lekko na piasku i żwirze, plusnęła płytka woda i jakiś kształt, brodząc wyciągnął czółno na brzeg. Nowa postać stanęła obok pierwszej. Obie razem zbliżyły się nieco do niego. Po chwili kobiecy głos zawołał miękko:

- Panie!... Panie Carrigan!

W głosie drżał wyraźny niepokój, lecz Carrigan się nie odzywał. Wtenczas kobieta przemówiła powtórnie:

- To było tutaj, Batisi! Jestem pewna!

Głos zdradzał już trwożę, graniczącą z rozpaczą.

- Batisi! Jeżeli on umarł, to musi leżeć gdzieś pod tymi drzewami.

- Jeszcze nie umarł! - oświadczył raptem Carrigan, unosząc się na łokciu. - I jest znowu poza skałą!

Błyskawicznie skoczyła ku niemu, podczas gdy Carrigan, opadłszy znów na piasek, ścisnął w dłoni chłodną kolbę rewolweru. W półmroku, jaki panował obecnie, - dziewczyna wydała mu się nawet bardziej urocza niż przy świetle dnia.

Nieznajoma załkała krótko. Potem uklękła obok i pochylona położyła mu dłonie na ramionach. Szybki oddech zdradzał nierówne bicie serca..

- Pan nie jest bardzo ciężko ranny? - spytała.

- Nie wiem! - odparł Dawid. - Strzeliła pani świetnie. Mam wrażenie, że zniosło mi wierzchołek czaszki. W każdym razie postradałem równowagę, gdyż nie mogę stać!

Szybko dotknęła jego twarzy, a potem położyła mu dłoń na czole. Pomyślał, że takie by było właśnie dotknięcie aksamitu. Zawołała na człowieka imieniem Batisi. Ten, podchodząc, zrobił na rannym wrażenie potwornego szympansa, ze względu na przysadzistość ciała, szerokość barków i niewiarygodną długość ramion. W półświatle wydał się zwierzęciem wędrującym na tylnych łapach.

Carrigan mocniej zacisnął palce na kolbie rewolweru. Dziewczyna zaczęła szybko przemawiać w narzeczu stworzonym z wyrazów francuskich i cree. Dawid ułowił treść. Polecała Metysowi zanieść rannego do czółna, tylko bardzo ostrożnie, gdyż pan jest ciężko chory, ma skaleczoną głowę. Niechże uważa, by go w głowę nie urazić!

Dawid wsunął rewolwer do pochwy, w chwili gdy Batisi pochylił się nad nim. Usiłował posłać kobiecie uśmiech, dziękując, iż najpierw postrzeliwszy go, opiekuje się nim teraz tak czule. Noc jaśniała z każdą minutą i widział nieznajomą coraz wyraźniej. Pośrodku rzeki leżała już srebrna smuga. Księżyc wstawał jeszcze nieco błądy, lecz świadom swej doniosłości w dniu, w którym chmury zakryły słońce o godzinę przedwcześnie. Na tle owej srebrnej taśmy Carrigan dostrzegł głowę Batisiego. Był to ogromny łeb, o dzikim i niekulturalnym wglądzie, wzorem hiszpańskich piratów omotany wielką kolorową chustą. Tak właśnie mógł wyglądać stary Jack Ketch, pochylający się nad jeńcem, by mu skrócić kark.

Długie ramiona Batisiego wsunęły się miękko pod ciało Carrigana, łagodnie i bez wysiłku stawiając go na nogi. Po czym z równą łatwością, jakby szło o dziecko, siłacz wziął rannego na ręce i ruszył z nim ku rzece. -

Dawid nie oczekiwał czegoś podobnego. Był nieco zgorzany i poniżony

zarazem. Czuł się śmieszny w tej roli, w obecności kobiety tym bardziej, choć jej właśnie zawdzięczał swoje niedołęstwo.

Batysi zdawał się wcale nie odczuwać ciężaru. Wyglądało tak, jakby dorosły człowiek niósł małego chłopca. Carrigan wolałby stanowczo iść o własnych siłach, choćby zataczając się co krok. Wolałby nawet pełznąć na kolanach i rękach.

Jednocześnie rozumiał, że należy mu się spora doza wyjaśnień, a przede wszystkim inny rodzaj traktowania. Dziewczyna rządziła się zbyt arbitralnie. Powinna była, choć dla przyzwoitości, powiedzieć, dokąd się teraz udadzą. Powinna była również wyznać straszną omyłkę i znaleźć słowa skruchy. Tymczasem nie odzywała się w ogóle.

Batysi umieścił rannego pośrodku czółna, twarzą ku dziobowi. Potem przyniósł karabin i plecak, przy czym ten ostatni ułożył w taki sposób, by Carrigan mógł się oprzeć o niego. Wreszcie bez pytania wziął dziewczynę na ręce i przeniósł ją do czółna poprzez płytką, przybrzeżną wodę.

Usiadłszy, odwróciła się na chwilę, by wziąć wiosło. Jej oczy spoczęły na rannym.

- Czy zechce mi pani powiedzieć, kim pani jest i dokąd płyniemy? - spytał Dawid.

- Jestem Janina Marianna Boulain! - odpowiedziała. - Nasi ludzie znajdują się w dole rzeki, panie Carrigan!

Zdziwiła go łatwość, z jaką uczyniła to wyznanie. Nie oczekiwał wcale, iż w ogóle zechce wyjawić swe imię, wzięwszy pod uwagę okoliczności, w jakich zawarli znajomość. Tymczasem z zadziwiającym spokojem wspomniała o „naszych ludziach”. Carrigan słyszał już niejednokrotnie o „ludziach Boulainów”. Zdanie to wiązało się w jego myśli z Chippewyanem czy też może z fortem MacMurray. Właściwie nie był pewien, w jakim miejscu Boulain przejmował towar od flisaków z górnego biegu rzeki. Wiedział jedno, że do tej pory nie zawieruszył się jeszcze nigdy aż do Athabaska Landing.

Boulain... Boulain... Parokrotnie obracał w mózgu to nazwisko. Tymczasem Batysi zepchnął czółno na wodę, a dziewczyna poczęła nurzać wiosło w toni wysrebrzonej już księżycem. Lecz Carrigan nie umiał wciąż rozwiązać zagadnienia. Był już pewien, iż nie tylko samo imię słyszał kiedyś. Słyszał jeszcze o czymś, co się z tym imieniem wiązało. Nerwowo szperał w mózgu. Boulain! Wymówił to słowo półgłosem, nie zdejmując oczu z wdzięcznej postaci dziewczęcej, gnącej się miarowo

za każdym ruchem wiosła. I wciąż nie mógł sobie przypomnieć. Poczęła go ogarniać złość na własną umysłową nieudolność. Zresztą ból i zawrót głowy powracały z dawną siłą.

- Słyszałem już gdzieś, kiedyś, to nazwisko! - rzekł raptem. Dzielilo ich zaledwie parę stóp, a mówił umyślnie jak najwyraźniej.

- Możliwe, że pan słyszał!

Miała prześliczne brzmienie głosu, ale Carrigan pomyślał, iż odpowiedź jest przede wszystkim wykrętą. Wolałby stanowczo, by się odwróciła i dodała coś więcej. Po pierwsze, chciał spytać, dlaczego zamierzała go zabić? W tym względzie słusznie należało mu się wyjaśnienie. Zresztą poczytywał sobie za zaszczyt zabrać ją do Athabaska Landing, a tam już prawo przeprowadzi śledztwo.

Skombinował jeszcze, że skoro zna jego imię, zatem musiała przeglądać jego papiery, podczas gdy leżał nieprzytomny. Wiedziała więc także, że wchodzi w skład policji. A jednak była najzupełniej spokojna, niczym nie zdradzająca zmieszania czy trwogi.

Pochylił się ku niej bliżej, a przy tym ruchu ból między oczami wzrósł. Omal nie krzyknął. Opanowawszy się przemówił spokojnie:

- Usiłowała mnie pani zamordować i mało brakowało, a byłby się ten zamiar udał. Czy nie ma mi pani nic do powiedzenia?.

- Teraz nie, proszę pana! Chyba tylko, że zaszła pomyłka i że mi przykro. Ale nie wolno panu mówić. Musi pan siedzieć spokojnie i milczeć. Obawiam się, że ma pan pękniętą czaszkę!

Obawia się, że ma pękniętą czaszkę, a wyraża tę obawę takim tonem, jakby szło o ból zęba! Carrigan przegiął się w tył i oparł o plecak, jednocześnie zamykając oczy. Możliwe, że ma rację. Te napady mdłości i zawroty głowy są stanowczo podejrzane. Miał ochotę skulić się gdzieś i leżeć bez ruchu, lecz gdy na chwilę ból go odbiegał, myślał zaraz, że jako poważnie rannego mogłaby go traktować trochę oględniej. Batisi, ze swą siłą bawołu, wystarczyłby sam jeden do pchania czółna, a ona, jeśli już nie chce rozmawiać, niech przynajmniej siądzie doń twarzą.

Nazwała to pomyłką i mówi, że jej przykro! Ton miała obojętny, ale głos niby muzyka. Władala angielskim najzupełniej poprawnie, jednak z pewną aksamitną miękkością właściwą Francuzkom. Musi mieć w sobie domieszkę francuskiej krwi. A na imię jej Janina Marianna. Marianna Boulain!

Tok myśli mu się urwał. Wnet też nazwał siebie idiotą za zaprzątanie mózgu

podobnymi głupstwami. Przede wszystkim był łowcą ludzi, obarczonym poważną misją, a miał właśnie pod ręką nowe zadanie. Przysięgłby, że Czarny Roger nie popełniał nigdy mordu z równie zimną krwią, jak ta oto dziewczyna, którą widział przed sobą. Teraz zaś wlecze go dokądś tak spokojnie, jakby wiozła gości na majówkę. -

Zgadywał raczej, niż czuł, szybki ruch czołna. Posuwało się niemal bez szmeru i bez wstrząsów. Prąd oraz nadzwyczaj wprawna robota wiosła gnały je z prędkością sześciu do siedmiu mil na godzinę. Słyszał bulgot wody podobny chwilami do głosu drobnych dzwoneczków. Zdawały się wybijać pewną nutę, sylabę, potem słowo. Ułowił je wreszcie w całości. Boulain! Wiedział już, że to nazwisko ma głębsze znaczenie, ale ilekroć natężał umysł, chcąc je uchwycić, głowa zaczynała go okropnie boleć.

Umoczył dłoń w wodzie i oparł na niej czoło. Przez pół godziny potem nie unosił głowy. W tym czasie dziewczyna i Batisi nie zamienili ze sobą ani słowa. Dla leśnych ludzi nie była to pora sposobna do rozmów. Księżyc wspiął się na strop niebios i gwiazdy już wzeszły. Tam, gdzie przed godziną królował mrok, teraz trwała powódź świetlanych blasków. Carrigan czuł, jak mu się blask wdiera przez palce i powieki. Po chwili otworzył oczy. Odzyskał już częściowo normalną równowagę.

Przed sobą miał Mariannę Boulain. Zasłona ciemności rozsunęła się między nimi i widział ją jak na dłoni. Nie wiosłowała już, tylko patrzyła wprost przed siebie. Sprawiała wrażenie dziewczynki. Głowę miała odkrytą i włosy miękko spływały wzdłuż pleców, połyskując jak sobole futro. Nie wiadomo dlaczego, pomyślał raptem, że się na pewno odwróci, toteż szybko zakrył oczy dłonią, pozostawiając jedynie szparę między palcami. I rzeczywiście, odwróciła się. Spojrzała nań badawczo, z niepokojem jakby. Pochyliła się nawet nieco, by go mieć bliżej. Potem znów wzięła się do wiosła.

Carrigan uczył przyływ dumy. Przypuszczalnie przyglądała mu się tak nieraz w ciągu minionej pół godziny. Martwiła się o niego.

Mimo piękności jej ciała i oczu nie czuł do niej sympatii. Dałby rok życia, byle móc ją w tej chwili zawlec do komisarza. Był pewien, że jeśli nawet dożyje stu lat, nie zapomni tych trzech kwadransów spędzonych za skalą. Więc dziewczyna zapłaci, choćby była tak urocza jak bogini Wenus i wszystkie Gracje razem wzięte.

Ogarnęła go złość na samego siebie, że zauważył ów sobolowy połysk jej włosów. Co ma do rzeczy piękność w podobnej sytuacji? Siostra Fancheta, grabieżcy

worów pocztowych, była niezwykle ładna, co nie przeszkodziło jej bratu zawisnąć na szubienicy. Prawo położyło na nim ciężką dłoń, nie bacząc na łzy w dużych oczach Carmen - a w tym wypadku właśnie prawem był on sam!

Carrigan uniósł się z wolna, aż siadł wyprostowany. Ciekaw był, co też powie Marianna Boulain, jeśli powtórzy jej dzieje Carmen Fanchet. Chociaż między nimi dwiema istniała ogromna przepaść. Rodzina Fanchetów przybyła tu z barów i knajp Alaski; nosiła na sobie piętno zepsucia. Tak przynajmniej osądził w swoim czasie Carmen i jej brata. Co do Boulainów natomiast...

Dłoń jego, opadając ku burcie czółna, musnęła kolbę rewolweru. Ani Batisi, ani dziewczyna nie pomyśleli o rozbrojeniu go. To była duża nieostrożność z ich strony, chyba że Batisi z tyłu bacznie obserwuje jeńca.

Carrigan raptem drgnął, tak silnie ujęła go nowa myśl. Głupi był, przeraźliwie głupi. Dlaczego wygadał przed dziewczyną, iż wie, że to ona strzelała z zasadki? Należało udąć kompletną nieświadomość w tym względzie - aż do stosownej chwili oczywiście. Obecnie zaś trzeba było naprawić błąd, jeśli jeszcze czas po temu.

Pochylił się ku niej bez zwłoki.

- Chcę panią przeprosić! - zaczął. - Czy wolno mi to uczynić teraz?

Głos jego zdziwił ją najwidoczniej. Odwróciła się szybko. Carrigan, sam uśmiechnięty, zauważył w jej oczach wyraz ulgi.

- Myślała pani, że już umarłem? - roześmiał się Dawid. - Nie, proszę pani, żyję w dalszym ciągu. Tylko ta przekłeta gorączka narobiła mi biedy i... chcę panią przeprosić. Zdaje mi się, iż twierdziłem, że strzelała pani do mnie. To oczywiście absurd. Mając trzeźwy umysł, nigdy bym nic podobnego nie mówił. Jestem niemal pewien, że znam tego łotra-Metysa, który mnie tak szpetnie podziurawił. A pani przybyła w porę, by go odstraszyć i uratować mi życie! Czy zechce mi pani wybaczyć i przyjąć wyrazy wdzięczności?...

Jego przyjazny uśmiech odbił się przez chwilę w oczach dziewczyny. Doznał wrażenia, iż kąci jej ust drgnęły figlarnie, nim odpowiedziała wreszcie:

- Rada jestem, że panu lepiej!

- I przebaczy mi pani te wszystkie brednie?

Z uśmiechem było jej niezwykle do twarzy, a uśmiechała się właśnie.

- Jeśli mam przebaczyć kłamstwo, to i owszem! - rzekła. - Przebaczam, gdyż kłamstwo wchodzi nieraz w zakres pańskich obowiązków. To ja usiłowałam pana zabić i pan o tym wie!

- Ależ...

- Nie powinien pan rozmawiać. To dla pana niedobrze. To panu szkodzi.

Batisi, powiedz panu, żeby milczał!

Carrigan ułowił za sobą jakiś ruch.

- Proszę pana, przestanie pan gadać albo rozwałę łeb tym wiosłem, co je mam w łapie! - rozbrzmiał energiczny głos tuż za jego plecami. - Czy pan rozumie, proszę pana?

- Rozumiem, stary zbójcu! - warknął Carrigan. - Rozumiem was oboje! - dodał ciszej.

I, przegiąwszy się w tył, przywarł wzrokiem do szczupłej postaci Janiny Marianny Boulain, znów miarowo uderzającej wiosłem.

Porohy Świętego Ducha

W ciągu paru minut, jakie nastąpiły po tej wymownej przestrodze, Carrigan odczuł, że nowy i ciekawy szczegół pogłębił poprzednie domysły. Niejednokrotnie już dochodził do przekonania, iż powodzenie w dotychczasowych zapasach z przestępcami zawdzięcza nie tyle może specjalnym zdolnościom umysłowym, ile szczęśliwym cechom charakteru. Brał bowiem zawsze i wszystko z dobrej strony, nie obrażając się o byle co. Dzięki jednemu i drugiemu zachował dobry humor i trzeźwość sądu.

Należał do policji, gdyż kochał walkę i dreszcz niebezpiecznych przygód. Obowiązki spełniał uczciwie, lecz nie wierzył ślepo nakazom prawa ani nie pożywał zbytnio owej skromnej liczby dolarów i centów, stanowiącej jego miesięczne uposażenie. Życie miało dlań istotny walor dopiero wtenczas, gdy prowadził grę przeciwko przestępcy równie sprytnemu, jak on sam, lub co lepiej, obdarzonemu sprytem jeszcze większym.

Tym razem szło o kobietę, dziewczynę raczej. Dotąd zresztą nie ustalił, kim ona właściwie jest ani ile ma dokładnie lat. Patrząc, jak się rytmicznie gnie nad wiosłem, myślał, iż przy niepewnym świetle księżyca, można jej równie dobrze dać osiemnaście wiosen, jak trzydzieści.

Uśmiechnął się, rozważając, co by też powiedział komendant Dywizji N. widząc go tak leżącego jak szmata w tym czólnie, w niewoli u ślicznej, lecz niebezpiecznej kobietki, pod strażą Metysa o karku bawołu i o ramionach potwornego

szympansa.

Batysi dość wyraźnie podkreślił, iż traktują go jako jeńca. Nie miał zresztą pretensji do siłacza, a nawet, sam sobie z tego sprawy nie zdając, poczynał go lubić, jak również podświadomie niemal rósł w nim podziw dla Janiny Marianny Boulain. W myśli nazywał ją Marianną. Lubił to imię.

Po raz pierwszy od chwili rozpoczęcia podróży przeniósł oczy w dal, ponad głową dziewczyny. Rzeka przed nim robiła wrażenie strugi topionego srebra. Po obu jej stronach, w odległości ćwierć mili, rósł stary bór, jak rozwieszono nisko wschodnie makaty. Niebo, ciężarne gwiazdami, osiadło niżej, a księżyc, namacalnie niemal pnący się na szczyt firmamentu, zmienił krwawy aksamit sukni na złotolitą lamę.

Carrigan lubił nieskalaną czystość nocy tego kraju; lubił ją tym bardziej w godzinach ciszy. A dziś cisza panowała niepodzielnie. Tylko bryzgi wiosł snuły perlistą melodię. Z lasu nie nadlatywał najsłabszy nawet dźwięk. Wiedział jednak, iż wre tam życie, o oczach szeroko otwartych, badawczych i aksamitnych skrzydłach lub miękkich łapach. Zdawało się niepodobieństwem, by ktokolwiek śmiał o tej porze podnieść głos i przerwać milczenie ustanowione nakazem z góry.

Jednak coś zmąciło ciszę. Carrigan rozejrzył się. Brzegi zwierzały się z wolna, zwężając nurt, a wyzębiony mur siwych skał zajął miejsce choin i cedrów. Łoskot rósł. Skały piętrzyły się wyżej, zwisając już w stromych urwiskach. Tylko jedno mogło podobną zmianę, wyjaśnić: bliskość porohów Świętego Ducha.

Carrigan uczuł pewne zdziwienie. Obozując w południe, byłby przysiągł, iż owe porohy leżą co najmniej o dwadzieścia do trzydziestu mil w dół rzeki. Tymczasem obecnie docierali już do nich, a Marianna Boulain i Batysi najwidoczniej zamierzali je przebyć bez zwłoki.

Dawid instynktownie uchwycił się oburącz burty łodzi, podczas gdy grzmot huczał coraz donośniej. W świetle księżyca spostrzegł, jak na przedzie mury skalne schodzą się jeszcze ciaśniej, gniotąc rzekę i przeobrażając ją w rwący potok. Pośród prostopadłych ścian skłębiony nurt biał w świetle księżyca jak śnieg Carrigan nawet we dnie nie zaryzykowałby przeprawy i przeniósł raczej czołmo łądem.

Spojrzał na dziewczynę. Szczupła figurka była nieco bardziej wyprostowana, drobna głowa uniesiona nieco wyżej. Pożałował, iż nie widzi w tej chwili jej oczu patrzących nieustraszenie w rozwartą paszczę zagłady. Gdyż było jasne, iż nie boi się wcale, przeciwnie, rada jest niebezpieczeństwu i podniecona nim.

Porywy wiatru targały jej rozpuszczone włosy. Długie ciemne pasmo opadło przez burzę ku wodzie. Carrigan drgnął; ogarnęła go przemożna chęć okrzyknięcia Metysa i nazwania go głupcem za to, że ryzykuje w podobny sposób życie swej pani. Zapomniał, iż spośród załogi on jest najbardziej bezradny i że w razie katastrofy on przede wszystkim pójdzie na dno, podczas gdy tamci dwoje mogą się ocalić. Myśl i siłę wzroku zespolił na głowie dziewczyny oraz na tym, co roztaczało się przed nią.

Grzywa piany, niby zaspas, zagroziła im raptem drogę i czołno zanurkowało w nią z szybkością strzały. Białe mydliny załazy oczy Dawida, oślepiając go na moment. Lecz już mknęli dalej i Carriganowi wydało się, że słyszy z ust Marianny wybuch śmiechu. W następnej chwili nazwał siebie głupcem. Nie oszalała przecie, by śmiać się teraz. Czołno mknęło z wiatrem w zawody, a dziewczyna na przedzie z cudowną wprawą zanurzała wiosło raz po raz, śląc w stronę Metysa porozumiewawcze okrzyki, na co Batisi odpowiadał ochoczo, wyjąc jak bawół.

Z boku skalna ściana leciała z przerażającą szybkością. Z nurtu powstawały gejzery i wypryski, to znów toń zapadała się w dół tworząc niespodziane przepaście. Olbrzymie głazy w pianistych kapuzach przesuwwały się raz po raz, rycząc niby żywe bestie. Łoskot porohów przechodził w grzmot, grzmot w ogłuszającą kanonadę - aż raptem, jakby zdystansowany przez szybszego bieguna, huk począł zamierać i gasnąć. Rzeka ucichła. Brzegi odchodziły w dal. Księżyc świecił jaskrawiej i Dawid zauważył, że włosy i ramiona dziewczyny ociekają wodą.

Po raz pierwszy od chwili rozpoczęcia jazdy odwrócił się i spojrzał na Metysa. Batisi w szerokim uśmiechu pokazywał zęby, jak kot.

- No, ale para z was! - mruknął Carrigan, po czym zajawszy poprzednią pozycję, rzucił wzrokiem na Mariannę Boulain. Wiosłowała nadal tak spokojnie, jakby nocna przeprawa przez porohy Świętego Ducha należała do rzeczy powszednich.

Deszcz wodnych kropeł i podniecenie wywołane szaloną jazdą podziały zbawiennie na Dawida. Czuł się bardziej rzeński i silniejszy. Nie życzył sobie jednak, by Batisi to odgadł, toteż leżał bez ruchu, oparty o plecak, nie zdejmując oczu z dziewczyny. Pracowała usilnie, a i Batisi mocno robił wiosłem, toteż wąskie czołno z brzoźowej kory mknęło z prądem niby strzała. O paręset jardów niżej leżał ostry zakręt. Wzięli go z szybkością mogącą przyprowadzić o zawrót głowy, po czym rozesała się przed nimi rozlewna cicha toń. Daleko w głębi migotały ogniska.

Las cofnął się od rzeki, a jego miejsce zajęły osypiska pokruszonego łupku i

wielkie głazy, podczas gdy samą wodę obrzeżało pasmo białego piachu. Carrigan wiedział, iż oznaki te wskazują na obecność smoły ziemnej, której pokłady dalej na północ, spotyka się niemal, co krok.

Tymczasem ognie zbliżały się wyraźnie, rosnąc wzdłuż i wszerz i nagle ciszę nocy naruszył dziki chóralny śpiew. Za plecami rannego Batisi mruknął z zadowoleniem. Na dziobie Marianna Boulain wyżej uniosła głowę. Pieśń potężniała głęboka i rytmiczna. Była to ta sama pieśń, która od lat stu pięćdziesięciu huczała nad wodami trzech rzek.

Melodia wstrząsnęła Carriganem do głębi. Miała w sobie pierwotną wybuchowość, rozpasaną wolność istnienia, wolną od wszelkiego nalotu cywilizacji. Ludzie wyrzucali ją z piersi grzmiącymi głosami, natężając gardła do ostatnich granic, byle przekrzyczeć sąsiadów. Ryczeli jak bawoły na stepie. Aż naraz pieśń zamilkła równie raptownie, jak się zaczęła. Ktoś krzyknął. Przetoczył się wybuch zdrowego śmiechu. Trzasnęły o siebie dwa żelazne garnki. Wiosło trzymane na płask zabębniło werbel na burcie łodzi. Jeszcze jeden krzyk i cisza zapanowała jak wprzódy.

Flisacy Boulainów zabawiali się o tej porze nocy, miast spać, jak przystoi na ludzi mających stanąć do pracy wraz z pierwszym brzaskiem dnia.

Carrigan patrzył przed siebie. Jego sprawa miała wkrótce przyjąć nowy obrót. Skoro przybiją do brzegu, coś musi się stać na pewno. Początkowo szczególnie wygląd ogni przyprawił go o zdumienie. Teraz poczynął rozumieć. Flisacy, koczujący na wydmach, zapalili sporą liczbę naturalnych strumieni gazowych, dobywających się spod ziemi. Nie po raz pierwszy widywał tego rodzaju oświetlenie nad wodami trzech rzek. Sam używał już tego gazu do przyrządzania posiłków, gasząc go potem paroma wiadrami wody. Lecz takie widowisko oglądał po raz pierwszy.

Ogni było siedem na przestrzeni mniej więcej pół akra. Strzelały ku niebu żółtawym płomieniem na wysokość dziesięciu lub piętnastu stóp, niby olbrzymie pochodnie. Ludzie krzatali się wokół. Początkowo robili Wrażenie gnomów: fantastycznych istot z krainy czarów. Lecz Batisi potężnymi pchnięciami wiosła gna) czółno bliżej i postacie stawały się większe, a ognie wyższe. Wreszcie Carrigan pojął, co się dzieje. Flisacy, korzystając z chłodu nocy, smolili łodzie.

Czuł już zapach smoły i dziegciu oraz widział wielkie łodzie wywleczone na brzeg. Kilku drabów nagich do pasa uwijało się raźnie wokół nich. Pośrodku, nad gazowym płomieniem, bulgotał wielki kocioł, do którego raz po raz podbiegał któryś

z robotników, by po chwili wrócić z pełnym wiadrem. Tuż obok kotła inni napełniali rząd baryłek cenną czarną cieczą, wypływającą z głębi ziemi tak obficie, że tu i ówdzie stały jej całe kałuże, lśniąć tęczowo w świetle ogni. Ogółem ludzi było ze trzydziestu, łodzi sześć. Przy samym brzegu, tuż poza kręgiem płomieni spoczywała szeroka barka.

Batysi pchnął czółno w jej kierunku. Carrigan coraz dokładniej rozróżniał szczegóły niezwyklego obrazu. Pomiędzy flisakami nie było zupełnie Indian, wyłącznie Metysi i biali. Nagie karki błyszcząły to czerwono, to żółto w feerycznym oświetleniu. Nikt nie zauważył przybyszów i Batysi rozmyślnie nie zwracał na siebie ich uwagi.

Cicho przysunął czółno w cień, pod wysoką burtę. Jakież ręce chwyciły je i przyciągnęły bliżej. Mignęło parę twarzy. W następnej chwili dziewczyna znalazła się na pokładzie, a Batysi pochylił się nad Carriganem. Po raz drugi tej nocy uniósł rannego w swych potężnych ramionach.

Przy świetle księżycy Dawid spostrzegł, iż barka jest olbrzymia, większa niż jakakolwiek widziana poprzednio, a cały niemal pokład zajmuje drewniany dom. Batysi wniósł go do wnętrza i, w zupełnym mroku, złożył na czymś przypominającym tapczan. Dawid wyciągnął się milcząc. Nasłuchiwał potem kroków Metysa, a gdy ten potarł zapałkę - czym prędzej przymknął powieki. W chwilę później Batysi wyszedł i drzwi zatrzasnęły się za nim. Dopiero wtenczas Carrigan otworzył oczy i usiadł.

Był sam. Lecz to, co dojrzał w następnej chwili, wydarło mu z ust okrzyk podziwu. Nigdy jeszcze nie widział na żadnej z trzech rzek podobnej kajuty. Miała trzydzieści stóp długości i przynajmniej osiem szerokości. Ściany i sufit z polerowanego cedru, podłoga ze starannie spojonych desek cedrowych. Przede wszystkim uderzył go artyzm wykonania tej roboty. Potem badał dalsze szczegóły.

Pod sobą miał miękki dywan z ciemnozielonego aksamitu. Dalej białe dwie wspaniałe skóry polarnego niedźwiedzia. Ściany pokrywały obrazy, a cztery okna zdobiły firanki z kremowych koronek. Lampa, którą Batysi zapalił, wisiała tuż obok. Wykonano ją artystycznie z polerowanego srebra, a złotawy abażur rzucał miękkie światło. Były jeszcze trzy podobne lampy rozmieszczone nieco dalej. Pokój w głębi tonął w cieniu, lecz Carrigan dostrzegł mimo to - fortepian. Wstał i nie wierząc własnym oczom podszedł bliżej. Minał parę foteli. Obok fortepianu znajdowały się inne drzwi, a przy nich szeroka otomana obita zielonym aksamitem. Obróciwszy się stwierdził, że to na czym leżał poprzednio, było również otomaną. Dostrzegł jeszcze

półki pełne książek oraz stół zarzucony dziesiątkiem ilustrowanych pism. Wśród pism stał koszyk do kobiecych robótek, a w koszyku głęboko uspiiony leżał duży kot.

Wreszcie, ponad stołem, koszykiem i kotem, oczy jego padły na coś jeszcze. Była to trójkątna chorągiew rozpięta na ścianie. Na czarnym tle biały niedźwiedź walczył zwycięsko ze stadem wilków polarnych. I od razu Carrigan uprzytomnił sobie to, co tak długo wymykało mu się z pamięci. Olbrzymi niedźwiedź, zażarte wilki: sztandar Piotra Boulaina!

Szybko przystąpił bliżej i raptem chwycił ręką za poręcz krzesła. Do diabła z tą głową! A może to statek tak kołysze? Lampa na ścianie kolebała się jak pijana; podłoga tańczyła jak w czasie burzy. Wszystko zmieniało miejsce. Głęboka ciemność spowijała pokój i przez ten mrok Carrigan, oślepy, wyciągając przed siebie ręce, brnął w kierunku otomany. Dotarł do niej w ostatniej chwili i zwałił się jak martwy.

Tajemniczy dom

Jakiś czas, który mu się wydał nieskończonością, Carrigan zamieszkiwał czarne podziemia pełne niewidzialnych diablików, miotających weń rozpalone grotty. Każdy grot trafiał w mózg.

Natomiast zupełnie sobie nie zdawał sprawy z tego, że się koło niego krzątają ludzie, że leży już nie na otomanie, a na łóżku i że brunatne, pomarszczone ręce, o palcach jak szpony, dokonują nad nim cudów znachorskiej chirurgii. Nie widział wiekowej twarzy Nepapinasa - „Lecącego Pocisku Błyskawicy”, gdy stary Cree przywoływał na pomoc osiemdziesięcioletnie doświadczenie, by utrzymać rannego przy życiu. Nie widział tępej głowy Batisiego ani jego gorylich łap, ani śmiertelnie bladej twarzy Marianny Boulain i jej oczu pełnych grozy.

Tonął w czarnej zawierusze polnej demonów, więc walczył przeciwko nim, rzucając się i krzycząc. Nie miał pojęcia, że w najgorszych chwilach dziewczyna przemawia doń miękko, a Batisi siłą przytrzymuje go na pościeli, podczas gdy Nepapinas, obojętny jak maszyna, bez wytchnienia kontynuuje trudną pracę.

Carrigan przechodził potem nie kończące się okresy ciężkich zmagania i strasznych wizji. Męczyły go pragnienie i gorączka. Gonił nieuchwytnie zjawy. Oburącz bronił mózgu, w który wciąż godziły rozpalone strzały, aż wreszcie nadszedł w końcu spokój i cisza.

Unosił się wygodnie na chłodnych falach rozkołysanych szeroko. Białe mgły,

spiętrzone wokół, z wolna przybierały zarysy ścian. Wydzielały się z nich obrazy, lampy i okno osłonięte firanką, przez które wpadało słońce. Skądś płynęła słodka muzyka.

Dawid niezupełnie rozumiał, w jaki sposób się tu znalazł i dlaczego jest taki słaby. Nateżał więc umysł, by to pojąć. Aż jęczał z wysiłku. Poczęła go znów ogarniać ciemność, lecz z tej ciemności wyrzały wnet znajome oczy i ręce bardzo miękkie, namawiające do spokoju i spoczynku. Pod ich opieką - zasnął. Odtąd zjawiały się coraz częściej. Tęsknił do nich, gdy czasem zaniedbały przyjść. Nieraz chwycił te dłonie, by sprawdzić, czy są i by je przy sobie zatrzymać.

Kiedyś, w czasie jedyne go nawrotu kompletnej niemocy i czerni, usłyszał nagle głos. Nie był to żaden spośród znanych mu głosów. Stanowczo nie przemawiał Batisi ani tym bardziej Marianna. Jednak tuż nad uchem Carrigana ktoś powtarzał monotonię i uparcie:

- Czy ktoś widział Czarne go Rogera Audemarda? Carrigan usiłował się poruszyć, odpowiedzieć, lecz nie mógł nawet oczu otworzyć. Tymczasem głos brzmiał wciąż, głuchy i bezdźwięczny, jakby dobyty z grobu. Wtenczas szalonym wysiłkiem wyrzucił przed siebie ręce i uchwycił coś żywego i ciepłego. Ścisnął je z całej mocy. Ale raptem usłyszał nowy głos, tym razem znany i miły. Powieki uniosły się, jakby same przez się i Dawid spojrzał w twarz Marianny Boulain;

- Panie! - wołała. - Panie Dawidzie!

Chwilę patrzył na nią nieprzytomnie. Potem zrozumiał, iż trzyma ją za ramiona, zwierając palce jak kleszcze. Ręce mu opadły.

- Przepraszam! Śniłem... - wybąkał słabo. - Zauważył na jej twarzy wyraz bólu, który zresztą ustąpił wnet miejsca radosnej uldze. Pochylona jeszcze bardziej uśmiechnęła się doń z bliska czule i serdecznie. Odpowiedział również uśmiechem. Przyszło mu to z trudem, gdyż mięśnie twarzy miał dziwnie stężałe.

- Śniłem coś o człowieku, zwanym Rogerem Audemardem! - tłumaczył Dawid. - Czy skrzywdziłem panią bardzo?

Uśmiech błyskawicznie znikł z jej oczu i warg.

- Trochę! - odparła krótko. - Rada jestem, że panu lepiej. Był pan ciężko chory!

Dawid uniosł rękę do czoła. Bandaż opasywał je nadal. Policzki pokrywał silny zarost. Zdziwił się. Przecie nie dalej jak dziś rano umocował stalowe lustro do pnia drzewa i ogolił się starannie.

- Minęło trzy dni, od kiedy pan zachorował - tłumaczyła dziewczyna spokojnie. - To jest... mamy właśnie popołudnie trzeciego dnia. Miał pan silną gorączkę. Nepapinas, mój indiański doktor, ocalił panu życie. Musi pan teraz leżeć bardzo spokojnie. Pan ogromnie dużo bredził w malignie...

- O... Czarnym Rogerze? Skinęła głową.

- I o... kobiecie?

- Tak!

- I o...czymś jeszcze?

- Możliwe!

- O małych diablkach zbrojnych w łuki i strzały, białym niedźwiedziu, polarnych wilkach i wielkim władcy dalekiej Północy, zwałym się Piotr Boulain.

- Właśnie! I o nim również!

- W takim razie nie mam już nic do uzupełnienia - mruknął Dawid. - Zdaje mi się, że powiedziałem wszystko, co wiem. Postrzeliła mnie pani tam, w lesie. Potem wzięła do niewoli. Co będzie teraz?

- Teraz zawołam Batisiego - odpowiedziała pospiesznie i ruszyła w stronę drzwi.

Nie usiłował jej zatrzymać. Umysł jego działał powolnie wyczerpany długą gorączką i dopiero, gdy drzwi się zamknęły, pojął, że Marianna znikła. Wtenczas ponownie uniósł rękę do twarzy i pomacał zarost. Trzy dni! Odwracając głowę rzucił wzrokiem w głąb kajuty. Nappełniało ją wieczorne słońce pełne miękkich lśnień, pogłębiając i cieniując barwy sufitu i ścian.

On sarn leżał na łóżku ubrany w czyjąś białą koszulę. Na stole, na którym przed trzema dniami spał kot, kraśniała obecnie duża wiązka głogu. Carrigan uśmiechnął się czując, jak mu się mózg rozjaśnia. Bardzo powoli uniósł się na łokciu i z natcheniem słuchał. Barka wyraźnie stała nadal przycumowana u brzegu, lecz głosy ludzi czerpiących smołę umilkły.

Opadłszy na poduszki, przywarł wzrokiem do czarnej chorągwi. Krew w nim grała, gdy patrzył na białego niedźwiedzia i osaczające go wilki. Ów sztandar znano dobrze w dolinie trzech rzek, jakkolwiek widywano go rzadko i nigdy na północ od Chippewyanu. Dawid przypomniał sobie teraz wiele rzeczy zasłyszanych w Athabaska Landing oraz w trakcie licznych podróży. Czytał też kiedyś raport komendanta Dywizji N. kończący się słowami:

- Nie znamy owego - Piotra. Rzadko się go widuje poza granicami jego

własnego kraju, czyli dorzeczem górnego Jellowknife, nad którym władza niby udzielną księżę. Zarówno Indianie Żółty Nóż, jak i Indianie Psie Żebro zwa go Kicheo kimow, co znaczy król. Podobno w jego państwie nie ma nigdy klęski głodu ani morowego powietrza. Faktem jest, że ani agenci Kompanii Zatoki Hudsona, ani agenci braci Rewillon nie zdołali podkopać jego istic monarszego autorytetu. Z policją nie miał dotąd żadnych zatargów.

Carrigan uprzytomnił sobie naraz, dlaczego nie od razu pojął, w czyje wpadł ręce. Często słyszał o tym człowieku, lecz niemal zawsze mówiono o nim Piotr, z rzadka jedynie dodając nazwisko - Boulain.

Przymknąwszy oczy, myślał o długich zimowych tygodniach spędzonych w faktorii Hay, podczas łowów na Fancheta - grabieżcę sań pocztowych. Tam to najczęściej mówiono o Piotrze Boulainie, choć nikt z obecnych nie widział go na oczy. Nikt nie miał pojęcia, czy jest to starzec, czy młodzik, olbrzym czy karzeł. Prawiono, że ma siłę niedźwiedzia, że zdoła gołymi rękami skrócić w łuk lufę fuzji. Inni znowu twierdzili, że to człowiek wiekowy, że nigdy nie towarzyszy swym ludziom, gdy płyną w górę rzeki, by zamienić kosztowne futra na rozmaite towary.

Natomiast Indianie Psie Żebro i Żółty Nóż nie wspominali nigdy o swym niekoronowanym władcy i wszelkie aluzje na jego temat pomijali upartym milczeniem. W olbrzymiej krainie na północny zachód od Great Slave Piotr Boulain pozostawał enigmatycznym sfinksem. Jeśli nawet ruszał kiedyś w podróż ze swymi ludźmi, robił to incognito, toteż choć widziano nieraz jego łodzie, można było czynić tylko przypuszczenia i domysły, czy Kicheo kimow jest na jednej z nich, czy nie.

Wiedziano za to, że najsilniejsi, najszybsi i najzręczniejsi mężczyźni dalekiej Północy zaciągali się pod znak Piotra Boulaina i co Toku dostarczali z głuszy bajecznie cenne wiązki futer, biorąc w zamian wszystko, co przedstawiało najwyższą wartość.

Carrigan ułożył się nieco wyżej na poduszce i z nowym zainteresowaniem jął oglądać izbę. Nigdy nie słyszał o kobietach z rodu Boulainów. Obecnie miał jednak dowód ich istnienia i wspaniałej tężyzny ich krwi. Dzieje dalekiej Północy ukryte w zapyłonych księgach i pergaminach były dlań zawsze jedną z ciekawszych kart ogólnoludzkiej historii. Dziwił się też nieraz, iż świat tak mało wiedząc o tej ziemi, interesuje się nią tak pobieżnie. Kiedyś napisał artykuł odmalowując po krótkce losy kraju, zajmującego przecież połowę wielkiego kontynentu: dwieście lat romantycznych tragedii i walk o władzę. Mówił o potężnych fortach i

dziesięciometrowych kamiennych bastionach, o zacieklej wojnach, o zbrojnych korwetach tnących fale Zatoki Hudsona wśród nawały lodowych gór. Wspominał pochód tysięcy najdzielniejszych Judzi Anglii i Francji, z rodu królów i książąt, którzy po wiekach stworzyli arystokrację rasy - najsilniejszy szczep na ziemi.

Lecz ukończywszy ten artykuł, schował go na dno kuferka, bowiem zeznawał w nim doskonale, iż wspaniałość dawnych czasów minęła bezpowrotnie. Przepadli potężni baroni i dziedzice. Pozostali tylko w pamięci starców. Obecnie wielkość jednostek i gromady uzależniona jest od handlu. Nie wolno już było dochodzić krzywd za pomocą kul lub białej broni; rozpętywać z byle powodu krwawych zwad sąsiedzkich. Dobra głowa, szybkie psy i spryt kupiecki święciły jedyny triumf. Agenci kompanii i handlarze stracili prawo życia i śmierci nad resztą ludności. Silniejsza dłoń ujęła cugle rządów: dłoń szkarłatnej Królewskiej Konnej Policji.

Przyszło mu na myśl, iż w tym pływającym domu zejdą się niebawem dwie potęgi podbiegunowej ziemi: przedstawiciel policji i przedstawiciel dawnej anarchii. Na razie, miał jednak do czynienia z przedstawicielką strony przeciwnej - z Marianną Boulain.

Co chciała od niego ta dziewczyna i, przede wszystkim, czym była dla Piotra Boulaina? Córka zapewne, żrenicą oka, Kleopatry Północy, urokliwą i krwiożerczą.

Otwierające się cicho drzwi przerwały mu tok myśli. Miał nadzieję, iż to wraca Marianna, lecz to był Nepapinas. Stary Indianin przystanął na chwilę nad chorym, kładąc mu na czole zimną, pomarszczoną dłoń. Potem mrużeniem i gestami wyraził całkowite zadowolenie. Wreszcie pomógł Dawidowi usiąść, podpierając mu plecy paroma spiętrzonymi poduszkami.

- Dziękuję - rzekł Carrigan. - Tak mi lepiej. I, jeśli mi wolno przypomnieć, ostatnio jadłem przed trzema dniami: gotowane śliwki i kawał suchara!

- Przyniosłam panu właśnie coś do jedzenia, panie Dawidzie - ozwał się poza nim melodyjny głos.

Nepapinas wymknął się z pokoju, a Marianna Boulain zajęła jego miejsce. Dawid patrzył na nią w milczeniu. Skoro za wychodzącym Indianinem zamknęły się drzwi, dziewczyna siadła tak blisko, że po raz pierwszy zajrzał w jej oczy przy pełnym świetle dnia.

Zapomniał, że przed paru dniami zaledwie była jego najzacieklejszym wrogiem. Zapomniał, że istnieje na świecie zbrodniarz zwany Czarnym Rogerem Audemardem. Dziewczyna była szczupła i zgrabna jak zjawisko. Miała włosy czarne,

błyszczące, lekko faliste. Ale najchętniej tonął w jej oczach, tak chętnie nawet, aż się uśmiechnęła lekko kącikami ust.

- Zdawało mi się kiedyś, że pani ma czarne oczy! - rzekł raptem Dawid. - Teraz widzę, że nie, i jestem rad. Nie lubię oczu zbyt ciemnych. Pani są brązowe jak... jak...

- Proszę pana - przerwała mu nagle nie zmieszana zupełnie - może się pan teraz posili?

Wsunęła mu łyżkę do ust i musiał przełknąć jej zawartość, bo inaczej pociękłaby mu po brodzie. Milczał, gdyż trudno było mówić, jedząc. A dziewczyna najwyraźniej poczyniała się bawić. W jej oczach zamigotały złote iskierki, podobne do żółtych plamek na fiołkach leśnych. Wargi rozchyliły się wesoło. Spomiędzy ich nęcącego szkarłatu błysnęła biel zębów. W tłumie, z nakrytą głową i powagą na twarzy, przesłaby niepostrzeżenie; tu jednak uśmiechnięta, z luźno puszczonego warkoczem, była po prostu cudna.

Najwidoczniej w oczach Carrigana odmalował się zbyt gorący zachwyt, gdyż raptem usta dziewczyny zacisnęły się nieco, a źrenice ochłodziły. Ranny skończył właśnie jeść, kiedy wstała.

- Proszę nie odchodzić! - rzekł Dawid. - Jeśli pani odejdzie, to chyba wstanę również i powędruję w ślad za panią. Doprawdy, należy mi się coś więcej, niż rosół!

- Nepapinas twierdzi, że na kolację może pan dostać troszkę gotowanej ryby.

- Pani przecież wie, że nie to miałem na myśli! Chciałem wiedzieć, dlaczego mnie pani postrzeliła i co będzie dalej.

- Postrzeliłam pana przez pomyłkę i prawdę mówiąc, nie wiem, co robić - odparła na pozór spokojnie, ale Carrigan uchwycił w jej twarzy cień zmieszania. - Batisi radzi, by uwiązać panu do szyi wielki kamień i rzucić do wody, ale Batisi nie zawsze myśli to, co mówi. Wątpię, by naprawdę był tak krwiożerczy.

- Tak krwiożerczy jak młoda osóбка usiłująca mnie zamordować - wtrącił Dawid.

- Właśnie, proszę pana. Toteż nie wierzę, by rzucał pana do rzeki, chyba na mój rozkaz.. Ale również nie wierzę, bym miała coś podobnego rozkazać. Szczególnie teraz, gdy Nepapinas tak cudownie wyreperował panu głowę. Piotr musi to zobaczyć. No, a potem, jeśli Piotr postanowi, że należy z panem skończyć, cóż, trudno...

Urwała, czyniąc rękami i głową wymowny ruch.

Carrigan, obserwujący ją bacznie, zauważył raptem, że oczy jej ściemniały niby pod wpływem trwogi czy bólu. Stała bliżej i przemówiła prędko a cicho:

- Popełniłam okropną pomyłkę, panie Dawidzie! Strasznie żałuję, że raniłam pana. Byłam pewna, że za skałą jest ktoś inny. Nie mogę powiedzieć nic więcej. I żałuję, że nie wolno nam być przyjaciółmi.

- Dlaczego? - spytał Dawid, wychylając się z łóżka. - Dlaczego?

- Bo pan należy do policji, proszę pana!

- Tak, należę! - odparł Dawid, a serce waliło mu w piersi jak młot. - Jestem sierżant Carrigan. Szukam Rogera Audemarda, zwanego Czarnym, wielokrotnego mordercę.. Ale moja misja nie dotyczy bynajmniej córki Piotra Boulaina. Proszę, bądźmy przyjaciółmi!

Wyciągnął rękę, po raz pierwszy w życiu bodaj stawiając coś wyżej niż swą służbową powinność. Dziewczyna cofnęła się o krok.

- Przyjaciółmi, pomimo wszystko? - spytała.

I raptem dodała z trudem wymawiając słowa:

- Nie jestem córką Piotra Boulaina! Jestem jego żoną!

Zbrodniarka

Przypominając sobie później tę scenę, Carrigan był pewien, iż na jej twarzy musiał się odbić straszny wstrząs. Być może nawet więcej niż wstrząs. Na razie nie odpowiedział nic. Jego wyciągnięta ręka opadła z wolna na białe prześcieradło.

Kobieta, zaróżowiona lekko, spoglądała nań w milczeniu. Oczy jej były zupełnie ciemne. Carrigan pomyślał raptem, że należy wykazać więcej hartu; że przecież w ogóle nie ma powodu do przygnębienia. Uśmiechnął się z wysiłkiem i rzekł:

- To doprawdy zabawne. A ja słyszałem zawsze, że ów Piotr Boulain to człowiek stary, tak stary, że trudno mu już stać na nogach. Dlatego też pani wyznanie oszołomiło mnie początkowo. Ale to nie powód, byśmy nie mieli zawrzeć paktu przyjaźni, prawda?

Opanował się zupełnie, przynajmniej na pozór. Tymczasem ona patrzyła wciąż uparcie i badawczo, jakby chcąc go przejrzeć na wylot. Potem usiadła poza długością jego wyciągniętej ręki.

- Jest pan sierżantem policji - zaczęła raptem i głos jej stracił dawną miękkość.

- Jest pan człowiekiem uczciwym. Stoi pan po stronie prawa, czy tak?

- Tak! - potwierdził Carrigan. Źrenice jej płonęły teraz niby w gorąco.

- A jednak chce pan zawrzeć przyjaźń z osobą obcą, z osobą, która zamierzała pana zamordować! Dlaczego?

Przyparła go do muru. Zalał go wstyd. Jakże bowiem mógł jej wyjaśnić to, co dopiero sam w chwili obecnej zaczynał pojmować. Jakże mógł powiedzieć, iż przede wszystkim liczył na to, że ona jest wolna. Milczał więc, a Marianna nie czekając odpowiedzi, przemówiła znów:

- Ten Roger Audemard, o którym pan wspominał, jeśli go pan schwyta, to... co dalej?

- Zawisnie na szubienicy! - odparł Dawid bez namysłu. - To morderca!

- A ktoś, kto usiłował zabić, komu się - to niemal udało, jaką ma ponieść karę? - badała pochylona bliżej. Na policzkach miała mocne wypieki i kurczowo zaciskała splecione dłonie.

- Dziesięć do dwudziestu lat więzienia! Ale,- oczywiście, mogą być okoliczności łagodzące...

- Mogą! Ale w danym wypadku tych okoliczności nie ma! - przerwała mu ostro. - Mówi pan, że; Roger Audemard to morderca! Wie pan, że usiłowałam pana zabić. Dlaczegoż więc jest pan wrogiem Audemarda, a chce być moim przyjacielem? No, dlaczego?

Carrigan bezradnie wzruszył ramionami.

- O cóż pani chodzi? - bąknął - O to, by dowieść, że nie mam racji, że powinienem panią aresztować. Sprowadzić do Athabaska Landing! Ale proszę zważyć, że to wszystko jest oparte na pomyłce. Że skoro pani tę pomyłkę dostrzegła, doznałam najlepszej opieki i...

- To niczego nie zmienia! - nacierała ona niecierpliwie. - Gdyby nie było pomyłki, byłby mord. Czy pan rozumie? Gdyby kto inny leżał za tą skałą, już by dawno umarł. Więc skoro Roger Audemard jest zbrodniarzem, ja jestem zbrodniarka. Uczciwy człowiek powinien nas oboje jednakowo traktować!

- Ale Czarny Roger to łotr, nie zasługujący na współczucie. Podczas gdy...

- Proszę pana!

Porwała się raptem z krzesła i patrzyła nań stojąc. W gniewie przypominała Carmen Fanchet.

- Żal mi było pana i dlatego wróciłam! - rzekła. - Kiedy zobaczyłam, jak pan

krwawi na piasku, postanowiłam pana ratować. Ale Batisi mówi, że lepiej było dać panu zginąć.

Odwróciła się szybko, odchodząc. W progu powiedziała:

- Batisi przyjdzie panu usłużyć.

Drzwi się otwały i zamknęły. Znikła. Carrigan został sam.

Był zdziwiony zmianą, jaka w niej zaszła. Zupełnie jakby podпалиł lont połączony z miną. Najwidoczniej jego słowa, wyraz twarzy czy gest wyprowadziły ją z równowagi. Uczuł, że twarz mu płonie poi zarostem. Może sądziła, że jest łotrem, że żąda zapłaty za milczenie.

Pojmował zresztą, że to on zblądził, a ona miała rację. Nie wolno mu było ofiarowywać jej przyjaźni. Odczuła to bystrym kobiecym instynktem. W obliczu sprawiedliwości stała istotnie na równi z owym Rogerem Audemardem, którego on sam tak surowo osądził. Chyba że istniał jakiś ważny powód dla traktowania jej zupełnie inaczej.

No tak, powód istniał, Carrigan nie umiał już temu zaprzeczyć. Zaczęło się, gdy leżał na piasku, a ona niby zjawą stanęła przy nim. Później sentyment się pogłębił, gdy bez cienia trwogi leciała na dziobie czółna w otchłań porohów. Wreszcie majaczyła mu w gorączce poty, aż stała się wprost częścią jego istnienia.

Teraz bała się go i żałowała bodaj, że idąc za radą Batisiego, nie dała mu skonać. A co jeszcze powie Piotr Boulain - jej mąż?!

Z wolna objął wzrokiem kajutę i każdy szczegół krajał mu serce. Było jasne, iż to wnętrze stroiła kochająca męska ręka. Jak on ją musi ubóstwiać! Jacy oni muszą czy też musieli być szczęśliwi, gdyż tylko w szczęściu tworzy się podobne rzeczy!

Nie brakło tu niczego, co pieniądze i wysiłek ludzki mogły wydrzeć dalekiej cywilizacji. Nie brakło też śladów radosnej kobiecej działalności. Na stole leżały zaczęte hafty i na wpół wykończony abażur. Obok spoczywał zeszyt miesięcznika, wydany o cztery tysiące mil stąd, otwarty na stronicy krojów. Były i inne pisma, sporo książek, nuty nad błyszczącą klawiaturą oraz wazony pełne kwiecica i srebrnych liści brzoź. Czerwone pąki płomyków leśnych siały słodki zapach. Na wielkiej niedźwiedziej skórze w powodzi słońca spał kot. A w głębi na ścianie Chrystus z kości słoniowej różowił w blaskach zachodu.

Zrobiło mu się przykro. To było kobiece mieszkanie, a on na przeciąg trzech dni wypłoszył stąd jego właścicielkę. Gdzież się tułała przez ten czas? Ten pokój stanowił bodaj jedyną pokładową kajutę.

.Słońce zgasło za górami, nadszedł mrok, a w tej ciemności Carrigan leżąc zadumany, milczał. Wielką ciszę płoszył jedynie plusk fal o burtę. Nie słyszał poza tym ani głosów ani tupotu nóg. Myślał, gdzie jest obecnie Marianna i co robią jej ludzie, a przede wszystkim, tak, przede wszystkim, kiedy zobaczy nareszcie Piotra Boulaina.

Głos w ciemności

W kajucie panował już kompletny mrok, gdy ciszę naruszyły stłumione głosy dobiegające z zewnątrz. Drzwi się otwarły i ktoś wszedł. W chwilę później trzasnęła zapalka i przy jej drżącym świetle Carrigan rozpoznał Batisiego.

Jedną po drugiej Batisi zapalił wszystkie lampy. Dopiero skończywszy, zwrócił się w stronę łóżka. Po raz pierwszy Dawid mógł go wyraźnie obejrzeć. Metys był średniego wzrostu, lecz rozrośnięty na miarę olbrzyma. Ręce miał niepomiarne długie. Ramiona spadziste. Głowę podobną do indiańskiej maskary. Wielkooki, o grubych wargach i wystających kościach policzkowych, w czerwonej chuście opasującej nie strzyżony łeb, bardziej niż kiedykolwiek przypominał korsarza i opryszka. Jednak, pomimo wszystko, było w nim coś sympatycznego.

Batisi uśmiechnął się. Był to szeroki uśmiech, gdyż Metys posiadał ogromne usta.

- Z pana szczęśliwy chłop! - oznajmił raptem. - Spał pan sobie dzisiejszej nocy w miękkim łóżku, zamiast leżeć na piasku, martwy, jak ryba wyciągnięta z wody. To było wielkie głupstwo! Batisi radził: uwiązać mu kamień do szyi i już! Utopić go w rzece, ma belle Jeanne! Ale ona się uparła, kazała pana leczyć i karmić. Toteż przyniosłem panu ryby, a gdy pan zje to powiem coś.

Zawrócił do drzwi i przyniósł koszyk z wikliny, z którego dobył gotowaną rybę, chleb i gorącą herbatę w kamiennym garnku.

- Ona mówi, że nic więcej nie można z powodu gorączki. A ja na to: karmić go poty, aż pęknie!

- To chcielibyście mnie widzieć martwym, Batisi?

- Aha, panie! Tak byłoby najlepiej!

Słowa te wymówił już bez uśmiechu, przeciwnie, z całą powagą. Po czym, stojąc, wskazał przyniesione zapasy.

- Teraz jeść prędko! Potem powiem panu coś. Załedwie rzuciwszy okiem na

apetyczny kawałek ryby, Carrigan uczuł natychmiast straszliwy głód, rezultat trzydniowego postu. Jedząc, zauważył jednak, iż Batisi wykonuje szereg czynności nie licujących bynajmniej z jego straszliwym wyglądem. Wygładził skóry niedźwiedzie, nalał świeżej wody do wazonów z kwiatami, ułożył starannie rozrzucone pisma i wreszcie, co już było szczytem wszystkiego, dobywszy skądś ścierkę, począł strzepywać kurz.

Dawid skończył rybę, kawałek chleba i wypił filiżankę gorącej herbaty. Aromatyczny płyn wlał mu w żyły nowe życie, toteż miał ochotę „wstać i spróbować mocy nóg. Osądził jednak, iż na razie lepiej się nie ruszać. Natomiast obserwując Batisiego nie mógł powstrzymać uśmiechu rozbawienia.

Metys, obróciwszy się w pewnej chwili, zauważył to.

- Co u diabła! - huknął raptem i stąpił bliżej, ściskając nadal ścierkę w potężnej garści. - Co pan tu widzi zabawnego?

- Nic absolutnie - zaprzeczył Carrigan, a w oczach tańczyły mu wesołe iskierki. - Myślałem tylko właśnie, co z ciebie za pyszna pokojówka. Takiś miły z zachowania i wyglądu...

- Do diabła! - ryknął Batisi głośniejsze niż poprzednio i cisnąwszy ścierkę na podłogę, huknął pięścią w stół, aż naczynia zadzwoniły żałośnie. Zjadł pan, to teraz proszę słuchać. Nie słyszał pan nigdy przedtem o Ogórku-Batisim! A to właśnie ja! Patrz! Tymi dwiema rękami zadusiłem na śmierć polarnego niedźwiedzia! Jestem najsilniejszym człowiekiem, jaki kiedykolwiek żył na dalekiej Północy! Dźwignę na plecach czterysta funtów towaru. Zmiażdżę w zębach kość karibu jak wilk. Mogę przebiec od sześćdziesięciu do stu mil bez wypoczynku. Łamię drzewa, które inni mogą tylko siekierą zwalić. Nie boję się niczego! Zrozumiano? Słyszysz pan?

- Słyszę!

- Dobrze! Teraz powiem, co Ogórek-Batisi z panem zrobi, panie sierżancie policji. Ma belle Jeanne popełniła gruby błąd. Ma zbyt miękkie - serce. Radziłem, żeby pana na zawsze ochłodzić i nikt by się nie dowiedział, co tam było za skałą. Ale ona nie i nie! Za to teraz sama kazała mi powiedzieć panu tak. Kazała - idź Batisi do pana i powiedz. Jeżeli pan spróbuje uciekać, to Batisi tymi oto rękami skręci panu kark i ciśnie do wody. A mamy tu jeszcze dużo chłopców i wszystkim mówiła to samo. Jeżeli pan spróbuje uciekać - zabić!

Batisi robił okropne wrażenie. Bezustannie przewracał oczami. Warczał mówiąc. Żyły na szyi napęczniały mu jak powrozy, a wielkie ręce zwierzał w pięści.

Jednak Dawid nie czuł trwogi. Przeciwnie, miał ochotę się uśmiechnąć. Ale się powstrzymał, wiedząc, że śmiech będzie w tej chwili dla Metysa najgorszą obrazą.

Ten człowiek, który potwornymi dłońmi mógł zdławić wołu, przed chwilą pieścił śpiącego kota, podlewał kwiaty, wyprostowywał fałdy firanek. Lecz Dawid był pewien, że jedno słowo Marianny Boulain zmieni Metysa w śmiercionośną maszynę. A przecież przestroga pochodziła właśnie od niej!

- Zdaje mi się, że cię rozumiem, Batisi! - rzekł. - Ona zabroniła mi opuszczać ten statek pod groźbą śmierci. Ale czy na pewno użyła tych słów?

- Ventre Saint Gris! Myśli pan, że Batisi kłamie! Ogórek-Batisi, który gołymi rękami morduje niedźwiedzie, łamie drzewa...

- Nie, nie! Wierzę ci zupełnie! - łagodził Dawid. - Dziwię się tylko, że mi sama tego nie powiedziała, będąc tutaj.

- Bo ma zbyt miękkie serce. Ale mnie kazała powiedzieć, że musi pan doczekać powrotu Piotra Boulaina i nie próbować ucieczki. Wszyscy chłopcy słyszeli, jak to mówiła i wszyscy, jak jeden, krzyknęli, że prędzej pana zabiją, niż dadzą zwiąć.

- Daj łapę, Batisi! - rzekł. - Przysięgam chętnie, że nie będę próbował ucieczki. Bo widzisz; musimy się raz koniecznie zmierzyć, ty i ja, i muszę ci dać porządne lanie, zgoda?

Metys spoglądał nań długą chwilę, jakby nie rozumiejąc, po czym rozdziawił gębę w szerokim uśmiechu.

- Lubi pan bójkę?

- Lubię! Szczególnie z takim dobrym przeciwnikiem jak ty!

Batisi z wolna przesunął przez stół ogromną garść i ujął prawicę Dawida.

Promieniał.

- Obiecuje pan zmierzyć się ze mną, gdy tylko wydobrzeje?

- Obiecuje! A jeśli nie dotrzymam słowa, możesz mi uwiązać kamień do szyi i cisnąć do wody!

Batisi nie posiadał się z radości.

- Morowy z pana chłop! - wołał w zachwyceniu. - W górę i w dół rzeki nie znajdzie mężczyzny, który chciałby się zmierzyć z, Ogórkiem - Batisim! Raptem urwał, pochmurniejąc.

- Ale głowa, panie - dodał smętnie.

- Wydobrzeje prędko, jeśli mi pomożesz - pocieszał Carrigan. - Chciałbym

właśnie wstać i wyprostować nogi. Czy było ze mną bardzo źle?

- Nie, proszę pana. Tylko kula przeszła po czaszce, zgoiliła wąsy i trochę naruszyła mózg. Będzie pan zdrow za tydzień.

- Doskonale! Więc pomóż mi wstać!

Batysi zmienił się nie do poznania. Pieczołowicie objąwszy w pół rannego, postawił go na nogi. Dawid początkowo czuł się dość niepewnie. Potem jednak, mając Metysa tuż obok, zdołał dojść do okna. Po drugiej stronie rzeki, w odległości pół mili, zobaczył blask ognia.

- Wasz obóz? - spytał.

- Tak, panie.

- Odeszliśmy od pokładów smoły ziemnej?

- Tak, panie, o dwa dni drogi.

- Dlaczego nie obozują tutaj, obok nas?

Batysi mruknął z obrzydzeniem.

- Bo ma belle Jeanne ma takie miękkie serce, proszę pana. Mówi, że hałas panu szkodzi, to znaczy rozmowa, śmiechy i pieśni. Mówi, że od tego gorączka się podnosi. A chce, żeby pan koniecznie doczekał przyjazdu Piotra Boulain. Piotr Boulain się z panem w jednej chwili załatwi. Mam nadzieję, że zdążymy jeszcze się zmierzyć przed tym!

- Zmierzymy się w każdym razie, Batysi, przedtem czy potem! A gdzie jest Piotr Boulain? Kiedy go zobaczę?

Metys wzruszył ramionami.

- Może za tydzień, może za dwa, nie wiem. On daleko.

- Czy to stary człowiek?

Batysi z wolna zatoczył półkole, aż stanął na wprost Dawida.

- Nie wolno więcej mówić o Piotrze Boulain! - przestrzegł groźnie. - Jeżeli pan sobie życzy co więcej wiedzieć, to proszę pytać ma belle Jeanne! Ale ona też nic nie powie, a skoro pan będzie zbyt natrętny, zawoła mnie, bym panu łeb rozwalił. Zrozumiano?

- Widzę, że twoja robota to przede wszystkim rozbijanie łbów - mruknął Dawid, idąc w kierunku łóżka. - Może mi rano przyniesiesz ubranie i plecak, chcę się ubrać i ogolić!

Batysi już go wyprzedził, wygładzając poduszki i równiej układając zgniecioną kołdrę. Jego ogromne ręce były szybkie i zręczne jak kobiece dłonie.

Dawid pomyślał, iż jeden uścisk tych goryli cli łap wyprawilby na tamten świat najtęższego z szeregowców dywizji N. - i kontrast między nadludzką siłą Metysa, a jego obecnym zajęciem zmusił go do parsknięcia śmiechem.

Batysi podniósł oczy.

- Znów coś śmiesznego? - zagadnął surowo.

- Rozwazałem, Batysi, co by to było, gdybyś mnie zdołał uchwycić w czasie walki. Ale to ci się nie uda. Natomiast ja sam sprawię ci takie lanie, że je długo popamiętasz.

- E...a jakże!... - wybuchnął Metys i zaniechawszy siania łóżka szedł w stronę Carrigana, groźnie wymachując pięściami. - Ja pana zduszę jak tego niedźwiedzia! Ja pana...

- Tylko nie teraz! - protestował Dawid. - Jestem jeszcze trochę słaby, Batysi. I wiesz, co? Przykro mi, że twoją panią stąd wyrugowałem. Gdzie ona sypia teraz? Czy w obozie?

- Może tak, a może nie! - warknął Metys. - To nie pańska rzecz!

Począł kolejno gasić lampy, pozostawiając tylko jedno światło, najbliżej drzwi. Nie rozpoczynał już nowej gawędy, a skoro wyszedł, Dawid usłyszał metaliczny szczeł klucza. Był więc istotnie jeńcem, na dzisiejszą noc przynajmniej.

Nie miał ochoty się kłaść. Czuł jeszcze pewną ociążałość w nogach, ale poza tym skutki choroby nie dokuczały mu zbyt. Policyjny doktor nazwałby go zapewne wariatem za podobne lekceważenie nakazów medycyny, lecz Carrigan nie mógł już usiedzieć na miejscu.

Głowa go nie bolała, umysł działał sprawnie. Wrócił do okna, przez które mógł obserwować światła na, zachodnim brzegu rzeki - i otworzył je bez trudu. Mocna siatka przeciwko moskitom nie pozwalała wychylić się na zewnątrz. Poprzez rzadką plecionkę płynął rześki oddech nocy. Z rozkoszą wciągnął w płuca aromat wody i lasu. Było bardzo ciemno i w tej czerni ogniska zdawały się większe i jaśniejsze. Na niebie nie zauważył śladu miesiąca. Nie dostrzegł również ani jednej gwiazdy. Z daleka nadlatywał głuchy grzmot.

Dawid odwrócił się od okna, patrząc w głąb kajuty. Po obu stronach, tuż przy ścianie, zobaczył ciężkie portiery i natychmiast odgadł ich przeznaczenie. Ściągnięte na grubym drucie rozciągniętym pod samym sufitem, dzieliły izbę na pół, tworząc salonik i sypialnię.

W rogu było dwoje drzwi. Uchyliwszy jedno z nich, Dawid stwierdził, iż

mieści się tu szafa pełna sukien i bielizny. W pobliżu, za japońskim parawanem, stała toaleta, nad którą wisiało lustro. Na fortepianie leżały nuty: Mascagniego *Ave Maria*.

Carrigan uczuł jednocześnie wzruszenie i dziwny niepokój. Miał wrażenie, że stoi na brzegu przepaści, że tuż pod jego stopą czyha niebezpieczeństwo nie dość materialne, by się móc przed, nim obronić, jednak w sposób niezaprzeczalny - groźne.

Mimo woli wyciągnawszy rękę, ujął drobną chusteczkę porzuconą na klawiaturze i niepewnym ruchem przestępcy podniósł ją do twarzy. Batystowy kwadracik zachował słabą woń fiołków. Przez chwilę wchłaniał ją chciwie. Potem, oprzytomniawszy, rzucił biały drobiazg na dawne miejsce i uśmiechnął się lekko.

Odwrócił się znów ku oknu. Grzmot przemknął bliżej. Nadlatywał z zachodu, a wraz z nim gnała ciemność gęsta jak smoła. Wiatr zamarł. Obozowe ogniska po tamtej stronie rzeki gasły jedno po drugim. Carrigan wwiercał się oczyma w mrok, jakby chciał dojrzeć namiot czy szałas, w którym Marianna Boulain musiała szukać schronienia przed burzą. I gdy tak patrzył, ogarnęła go szalona chęć ucieczki. Rzucić wszystko, wszystko zapomnieć i ruszyć znów w drogę pełną przygód na poszukiwanie Czarnego Rogera.

Usłyszał nadejście deszczu. Początkowo było to jak tupot tysięcy drobnych nówek po suchym listowiu, potem w jednej chwili nawałnica ryknęła jak wodospad. Była to ulewa, istny potop. Grzmot huczał niemal bez przerwy, a błyskawice zapalały się raz po raz.

Carrigan od dawna już nie oglądał podobnej burzy. Zamknawszy okno, by nie wpuścić deszczu do wnętrza, stał z twarzą przyciśniętą do szyby. Wszystkie ognie obozowe zgasły niby płomyki świec zduszone dwoma palcami. Podobnej nawałnicy nie mógł wytrzymać najtęższy brezent. Na domiar złego powstał wiatr, huragan raczej. Pod jego potężnym tchnieniem namioty musiały się walić jak domki z kart.

Carrigan wzdrygnął się niby przeszyty nagłym bólem. Wyobraził sobie Mariannę Boulain oślepioną migotem błyskawic, ogłuszoną gromem, zmoczoną i zziębniętą, jak na próżno szuka schronienia.

Skoczył raptem do drzwi, postanowiwszy, iż jeśli Batisi pilnuje na zewnątrz, wyzwie go do natychmiastowej walki. Lecz próżno kołatał i krzyczał, próżno natężał ramiona i głos, nikt się nie odezwał.

Poniechawszy daremnych wysiłków, zniechęcony, odwrócił się wreszcie od drzwi i wzrok jego padł na rzucony w kącie plecak. W jednej chwili rozsuptał rzemienie, dobył tytoń, fajkę i z rozkoszą zapalił. Po czym z dobre pół godziny

przechadzał się tam i z powrotem po izbie, kurząc zapamiętałe, podczas gdy grom huczał bez przerwy, jakby chcąc zetrzeć z ziemi wszelki ślad życia.

Po pewnym czasie grom jał się oddalać ku wschodowi, a ulewa cichła, przechodząc w rzęsiasty deszcz. Dawid powtórnie otworzył okna. Buchnęło nań powietrze ciepłe i ożywcze. Puszczając kłęby dymu, uśmiechnął się. Fajka wprawiała go zawsze w dobry humor. I ostatecznie biorąc, wszystko to było dość komiczne.

Wyobrażał sobie Mariannę Boulain, jak cała ociekająca wodą zwleka przemoczoną suknię, podczas gdy jej ludzie, klnąc, próżno usiłują rozniecić ogień. Wypatrywał uparcie błysku płomieni, ale przeciwny brzeg pozostawał jednolicie czarny i pusty. Jak ta mała kobietka musi go w tej chwili nienawidzić za te wszystkie niewygody i komplikacje! A Piotr Boulain? Co on powie, gdy dojdzie do niego, że żona odstąpiła swą sypialnię obcemu mężczyźnie?...

Było późno, północ minęła, gdy Carrigan położył się wreszcie. Ale i wtedy nie zaraz mógł zasnąć. Słyszał monotony werbel deszczu na dachu kajuty. Potem zdał sobie sprawę, iż deszcz ustał całkowicie. Wreszcie zdrzemnął się. Drzemiąc, na wpół przytomny, ułowił głos. Na razie chwycił go podświadomie, nie rozumiejąc utajonej treści. Aż wtem raptowny wstrząs przeniknął mu mózg i oto siedział już na łóżku wyprostowany, baczny, szeroko otwartymi oczami bodąc ciemność, do ostatnich granic natężając słuch.

Bowiem gdzieś w pobliżu, na odległość ręki prawie, niesamowity głos wymówił słowa słyszane poprzednio w czasie gorączki:

- Czy ktokolwiek widział Czarnego Rogera? Czy ktokolwiek widział Rogera Audemarda?

Rozmowa

Carrigan siedział bez ruchu, wstrzymując nawet oddech. Nie bał się, w ścisłym tego słowa znaczeniu, tylko miał wrażenie, że znajduje się w» obecności kogoś bardziej potężnego niż zwykła istota złożona z kości i mięśni.

Czarny Roger Audemard! Imię to słyszał już raz poprzednio w czasie gorączki. Teraz wywoływano je znowu. Kim był niewczesny żartowniś? Może to Batisi? Może któryś z flisaków?

Upłynęła minuta. Carrigan pod wrażeniem, że ktoś czai się tuż obok niego, wyciągnął rękę i począł macać przestrzeń. Potem, nie wymacawszy nic, odrzucił

kołdrę i stanął na podłodze.

W dalszym ciągu nie słyszał ani przyspieszonego; czyjegoś oddechu, ani szelestu ucieczki. Potarłszy zapalną, uniósł ją wysoko nad głowę. Nie zobaczył nic. Wtenczas zapalił lampę. Kajuta była pusta.

Głęboko wciągnąwszy powietrze, postąpił ku oknu i Stało wciąż otworem. Najpewniej głos doleciał właśnie; tędy. Wydało mu się nawet, że rozróżnia wklęsnięcie drucianej siatki w miejscu, gdzie przywierała doń czyjaś twarz. Poza tym noc była czarująco spokojna. Niebo obmyte ulewą złociła plejada gwiazd. Panowała ogromna cisza.

Spojrzał na zegarek. Dochodziła trzecia. Wkrótce miało świtać. Nie chciało mu się wcale spać. Czuł zresztą silny niepokój i jakby przecucie wielkich zdarzeń.

Było wciąż jeszcze wcześniej, najwyżej siódma, gdy wszedł Batisi, niosąc ranny posiłek. Jego wygląd przekonał Carrigana, że to nie on bawił się w stracha dzisiejszej nocy. Metys wyglądał jak szczur świeżo dobyty z wody. Ubranie wisiało na nim mokre i brudne, z chusty i włosów kapały duże krople. Ciskając na stół śniadaniowe przybory, wyszedł natychmiast, nie skinąwszy nawet głową w stronę jeńca.

Dawid, zajmąwszy miejsce za stołem, uczył znów przyływ wstydu. Oto znajdował się niemal w luksusowych warunkach, podczas gdy żona Piotra Boulaina tułała się gdzieś bezdomna i bardziej zapewne sponiewierana niż Batisi.

Śniadanie oszołomiło go kompletnie. Mniej nawet zwrócił uwagę na delikatną polędwicę karibu, na świeże kartofle, na aromatyczną kawę. Natomiast, widząc gorące jeszcze ciastka, zbaraniał po prostu. Ciastka! I to bezpośrednio po takiej ulewie! Jakim cudem Batisi je dostał?

Batisi zwlekał z powrotem i Carrigan, ukończywszy posiłek, dobre pół godziny ćmił fajkę, obserwując błękitne dymy ognisk na przeciwległym brzegu rzeki. Myślał, że kędyś w słońcu Marianna Boulain suszy się teraz po przymusowej kąpieli. No i naturalnie, po kobiecemu klnie przymusowego gościa oraz własną niewczesną uprzejmość.

Pukanie w drzwi przerwało mu zadumę. Obrócił się. Kołatała lekka piąstka, nie przypominająca w niczym wielkiej łapy Batisiego lub kościstej garści Nepapinasa. Lecz oto drzwi się otwały i stanęła W nich Marianna.

Nie tyle niespodziewana obecność, ile jej niewysłowione piękno odjęło mu mowę. Nie wyglądała zupełnie na istotę zmęczoną burzą i wymokła pod deszczem.

Kształtną główkę otaczały suche i starannie uczesane włosy. Policzki zachowywały jeszcze świeżość snu. Carrigan zapomniał, że ma przed sobą kobietę zamężną; dla niego była to panienka najurodziwsza pod słońcem.

- Widzę, że się pan lepiej czuje dziś rano! - rzekła Marianna z uśmiechem.

Drzwi zostawiła otworem i słońce, wpadając przez nie, ozłociło całą izbę. - To burza pana wyleczyła. Prawda, jak było cudownie?

Dawid z trudem przełknął ślinę, nim zdołał wreszcie wykrztusić:

- Cudownie! Czy widziała pani Batisiego dziś rano?

Roześmiała się perliście:

- O tak. Wątpię, czy on się cieszył. Batisi w ogóle nie rozumie, jak można lubić burzę. Czy pan dobrze spał?

- Tylko godzinę lub dwie. Martwiłem się o pa - nią. Było mi przykro, że zająłem pani mieszkanie w taką noc. Ale jakoś nie wygląda, że ulewa pani zaszkodziła!

- Bo i nie zaszkodziła mi wcale! Siedziałam tam! - tu wskazała wewnątrz kajuty i jedne z zamkniętych drzwi. - Mamy tu kuchenkę i mały jadalny pokój. Czy Batisi panu tego nie mówił?

- Nie! Spytałem, gdzie pani jest, a on mi bodaj odpowiedział, bym lepiej milczał!

- Straszny z niego dziwak. Jest o mnie okropnie zazdrosny, panie Dawidzie. Kiedy jeszcze byłam mała i nosił mnie na rękę, był akurat taki sam. Bo on jest starszy, niż się wydaje. Ma pięćdziesiąt jeden lat.

Krzątała się już po pokoju, jak gdyby chcąc zaznaczyć, że jego obecność w niczym nie narusza normalnego trybu życia. Poprawiła adamaszkowe firanki, które on niebacznie zmiął, ustawiła parę krzeseł na właściwych miejscach i w ogóle robiła wrażenie zapobiegliwej gospośi, dbającej jedynie o dobry wygląd mieszkania.

Nie zdawała się wcale skrępowana obecnością swego jeńca ani zawstydzona surowym rozkazem wydanym mu za pośrednictwem Batisiego. Carrigan natomiast tracił głowę. Nerwowo zapalił papierosa, potem zgasił go. Zauważyła to.

- Może pan palić! - rzekła. W jej głosie przebijało to coś, co niezmiernie lubił: leciutki cień śmiechu. - Piotr dużo pali i bardzo to lubię.

Wysunęła szufladę w toalecie i podała mu pudełko do połowy wypełnione papierosami.

- Piotr woli zazwyczaj ten gatunek - powiedziała - a pan?

Wziął jednego papierosa palcami sztywnymi jak z drewna. Kłął własną małowówność. Cóż, kiedy język mu skołowaciał. Być może właśnie to jego milczenie wywołało na policzkach Marianny słaby rumieniec. Dawid zauważył to. Zauważył również, że jej włosy sięgają mu akurat do warg i że, widziane tak z góry, jej policzki i usta mają wprost nieodparty czar i słodycz.

Lecz to, co usłyszał w następnej chwili, uderzyło go w samo serce, jak cios noża.

- Wieczorami ogromnie lubię siedzieć u nóg Piotra i przyglądać się, jak pali.

- Cieszy mnie, że pani nie ma nic przeciwko papierosom lub fajce - odparł Carrigan niezdarnie. - Bo ja również dużo palę.

Postawiła pudełko na stole i rzuciła wzrokiem na resztki jego śniadania.

- Lubi pan również ciastka, jak widzę - powiedziała. - Wstałam dziś bardzo wcześnie, żeby je dla pana przyrządzić.

- To pani je robiła? - zdziwił się Dawid.

- Oczywiście! Mam wprawę, gdyż co rano robię je dla Piotra. Ogromnie mu smakują. Dowodzi, że ciastka to moja trzecia z rzędu zaleta.

- A dwie pierwsze?

- Są tajemnicą Piotra! - roześmiała się Marianna, podczas gdy rumieniec na jej policzkach gęstniał. - A tajemnic nie należy zdradzać, prawda?

- Możliwe - odparł z wolna. - Ale chciałem spytać jeszcze o parę rzeczy, pani... pani Boulain.

- Może mi pan mówić po imieniu - przerwała mu wesoło. - Janina albo Marianna wystarczy.

Układała talerze jeden na drugim, na pozór nie zważając wcale na jego zmieszanie.

- Dziękuję - rzekł wreszcie Carrigan. - Obawiam się jednak, że podobna poufalość przyjdzie mi z trudem, gdyż hm... sytuacja jest nieco dziwna. Nie uważa pani? Bez względu na całą pani dobroć i na litościwą chęć wyprawienia mnie na lepszy świat za pomocą kuli, czy nie sądzi pani, że należy mi się trochę wyjaśnień?

- Czy Batisi nic panu nie wyjaśnił wczoraj wieczorem? - spytała Marianna, stając przed nim.

- Powiedział mi w imieniu pani jakoby, że jestem tu więźniem i nie wolno mi próbować ucieczki pod karą śmierci.

Poważnie skinęła głową.

- Mówił prawdę, proszę pana! Carrigan poczerwieniał.

- To znaczy, że jestem w niewoli i że mi pani grozi?

- Ale w zamian za to, jeśli mi pan da słowo, że nie będzie próbował ucieczki, będę się z panem obchodziła jak najlepiej!

- Co, u diabła! - zaczął Dawid w pasji, po czym spostrzegłszy się, iż przemawia do kobiety, zniżył ton. - Czy pani doprawdy nie pojmuję sytuacji? Toż, na dobrą sprawę, powinienem panią aresztować.

Policzki Marianny pobrały silnie, a oczy jej miały nadal spokojny wyraz.

- Właśnie dlatego, że pojmuję to wszystko, muszę pana więzić. Co do poprzedniego zapytania, dlaczego strzelałam, stanowczo nie mogę na nie dać odpowiedzi. Nie mogę i nie chcę! Jeśli powróci pan do tego tematu, przestanę z panem w ogóle rozmawiać. Poza tym musi pan doczekać przyjazdu mojego męża. On postanowi, co dalej. Ja nie wiem nic ponad - to, że nie wolno dać panu umknąć. A co by pan robił, będąc na moim miejscu?

Postawiła to pytanie w tak dziecinnie szczery sposób, że Carrigan zapomniał języka w gębie. Bo, rzeczywiście, co miała robić? I już w następnej chwili Dawid uśmiechnął się tym swoim za serce biorącym uśmiechem, który mu jedna sympatię wszystkich.

- Ma pani zupełną rację - odpowiedział. Twarz jej zmieniła się od razu.

Policzki poróżwiały. W głębi źrenic zatańczyły złote ogniki.

- Ma pani zupełną rację ze swego punktu widzenia - powtórzył Dawid. -

Obiecuję też, że nie będę usiłował umknąć przed rozmową z Piotrem Boulainem. Ale nie mogę pojąć na razie, co on tu pomoże!

- Pomoże jednak! - zapewniła ona z przekonaniem.

- Ma pani do niego nieograniczone zaufanie - zauważył Dawid z przekąsem.

- A mam! - odparła prędko. - To najniezwyklejszy człowiek pod słońcem i na wszystko znajdzie radę.

Dawid wzruszył ramionami.

- Być może w jakimś cichym zakątku pójdzie za projektem Batisiego: uwiąże mi kamień do szyi i puści na dno!

- Być może. Ale wątpię! Ja bym protestowała przeciwko temu.

- O... doprawdy?

- Tak! A chociaż Piotr jest wielki i silny i nie boi się niczego, jednak wiem, że nie zrobi mi na przekór.

Odwróciła się do stołu i poczęła zbierać naczynia. Dawid przygryzł wargi, lecz raptem, podsuwając bliżej jeden z foteli, powiedział:

- Proszę, niech pani usiądzie. W ten sposób łatwiej mi będzie z panią mówić. Jako funkcjonariusz policji czuję się w obowiązku postawić pani parę pytań. Może mi pani odpowiedzieć lub nie. Daję pani słowo, iż przed powrotem Piotra Boulaina nie przedsięwzięm niczego, ale gdy się spotkamy, będę działał przede wszystkim na podstawie tego, co od pani za chwilę usłyszę. Proszę, niech pani siada!

Potworny kaleka

Siedząc w głębokim fotelu, stanowiącym zapewne ulubioną własność Piotra Boulaina, Marianna patrzyła w twarz Dawida Carrigana. Pośród szerokich poręczy jej drobna figurka wydawała się drobniejsza jeszcze i dziwnie nie na miejscu. Ciemne oczy były tak spokojne i badawcze, że Dawid poczuł, iż traci pewność siebie. Podniósłszy rękę, chwilę przebierała palcami w gęstych, falistych splotach. Ten ruch i później, czysto kobiece, splecenie dłoni na kolanach, speszyły Dawida jeszcze bardziej. Przemknęło mu przez myśl, że posiadanie takiej żony musi być źródłem nieustającej rozkoszy. Ta myśl przyprawiła go o silny niepokój. A Marianna czekała milcząc, różowa i ciepła na ciemnym tle aksamitnego oparcia.

- Kiedy pani mnie raniła - zaczął Carrigan - zobaczyłem panią stojącą nade mną. Najpierw myślałem, że chce mnie pani dobić, lecz wnet spostrzegłem w twarzy pani coś niezwykłego: zdumienie, grozę... Słowem, wyglądało tak, jakby pani uczyniła coś niechcący i strasznie tego żałowała. Więc teraz chciałbym być uczciwy... Chciałbym zrozumieć i wybaczyć ów postępek... Czy pani mi nic nie powie?

- Nie, proszę pana!

Mówiła bez gniewu i bez szczególnego wzruszenia.

Głos miała zupełnie równy. Jedyne błysk oczu i poza podkreślały niewzruszoność decyzji.

- Zatem... mam się sam domyślać? Skinęła głową twierdząco.

- Albo też wydobyć prawdę od męża pani?

- Jeśli on zechce powiedzieć, to tak.

- Dobrze - pochylił się nieco ku niej. - Zawlekła mnie pani w cień, opatrzyła ranę i ułożyła wygodnie. Pamiętam pewne szczegóły, jak przez sen. Zaszła dziwna zmiana. Chwilami - tu pochylił się jeszcze bliżej - chwilami widziałem was dwie.

Nie spuszczał oczu z jej twarzy. Gdyby patrzył na jej ręce, zauważyłby, że drobne palce zaciskają się nieco mocniej.

- Był pan ciężko ranny - powiedziała. - Nic dziwnego, że mogło panu coś majaczyć!

- I chwilami słyszałem dwa głosy - ciągnął niewzruszenie.

Nie odpowiedziała nic, lecz spoglądała nań w dalszym ciągu bez drgnienia powiek.

- Ta druga miała włosy miedzianej barwy, płonące w słońcu jak ogień. Raz widziałem pani twarz, a raz znów jej. Później zaś przyszło mi na myśl, że wlec mnie tak po piasku, to byłby dla pani zbyt wielki ciężar.

Wyciągnęła przed siebie dłonie i spojrzała na nie krytycznie. - One są mocne - powiedziała.

- Ale małe - nacierał Dawid. - I wątpię, by zdołały mnie uciągnąć nawet po tej podłodze!

Po raz pierwszy jej oczy straciły zwykły spokój.

- To była ciężka praca! - rzekła, a ton jej głosu uprzedził go, że wstępuje na niebezpieczny teren. - Batisi twierdzi, że zrobiłam głupstwo, ratując pana. A czy pan widział mnie podwójnie czy potrójnie, to nie ma żadnego znaczenia. Może pan już skończył tę indagację? Mam sporo roboty!

Carrigan rozpaczliwie zamachał rękami.

- Nie, nie skończyłem. Tylko po co mam pytać, skoro pani odpowiadać nie chce.

- Po prostu nie mogę! Musi pan poczekać.

- Do powrotu pani męża?

- Tak! Do powrotu Piotra.

Milczeli chwilę, potem Carrigan przemówił znowu:

- Musiałem dużo bredzić w gorączce, prawda?

- Owszem. Szczególnie o tym zdarzeniu nad rzeką. Nazywał pan tę drugą osobę Boginią Ognia. Był pan tak bliski śmierci, że to mnie wcale nie bawiło. Inaczej śmiałabym się chyba. Widzi pan, moje włosy są prawie czarne!

Przebiegła znowu palcami gęstwę splotów z nieświadomą, być może, kokieterią.

- Dlaczego mówi pani: prawie? - zapytał Dawid.

- Bo Piotr dowodził nieraz, że o ile stoję w słońcu, mam we włosach czerwone

ognie. A tego popołudnia nad rzeką słońce świeciło nadzwyczaj silnie!

- Zdaje mi się, że pojmuję - skinął Dawid. - I jestem bodaj rad. Cieszę się, że niemal mnie uśmierciwszy, usiłowała mnie pani potem ocalić. To dowodzi, iż nie jest pani tak kompletnie zła, jak...

- Jak Carmen Fanchet! - uzupełniła Marianna miękko. - Wspominał pan o niej w malignie. Bałam się potem pana tak bardzo, aż przychodziło mi chwilami na myśl, czy przypadkiem Batisi nie miał racji, radząc pana dobić. Pana słowa o niej dały mi pojąć, co mnie czeka, gdy pan wyzdrowieje. Co panu zawiniła ta kobieta? Co mogła zrobić gorszego niż ja?

- Mnie osobiście nic - odparł Dawid wolno, czując, że ponownie wstępuje na śliski grunt. - Ale brat jej był złoczyńcą najgorszego pokroju. Zarówno wtedy, jak i obecnie mam przekonanie, że ona pomagała mu w zbrodniach. Ale była nadzwyczaj piękna i to ją bodaj ocaliło!

Mówił ze spuszczonej oczami, kręcąc w palcach nie zapalonego papierosa. Przypominał sobie ów dzień sprzed lat czterech, gdy komisarz MacVane zmiękł na widok urody Carmen Fanchet. Pokłócił się niemal o nią ze zwierzchnikiem.

- Klnę się na Boga, że ona nie jest zła! - dowodził MacVane z przejęciem. - Bez względu na to, kim był jej brat, pójdę o zakład, iż to uczciwa dziewczyna.

Gdy Dawid podniósł teraz wzrok na Mariannę, zdziwiła go zaszła w niej zmiana. Policzki, jej płonęły, oczy gorzały złowrogo” ale głos miała po dawnemu spokojny:...

- Więc pan ją osądził i potępił, nie mając niezbitych dowodów, tylko na podstawie poszlak?

- Wierzyłem, że to zła kobieta!

Długie rzęsy opadły nisko, tając całkowicie blask źrenic.

- Ale naprawdę to pan nie wiedział?

- Szczerze mówiąc - nie! Chociaż śledztwo...

- Mogło dowieść, iż jest to jedna z najlepszych kobiet pod słońcem. Panie Dawidzie, łatwo jest walczyć w obronie dobrego brata, ale jeśli ten brat jest zły, to trzeba być doprawdy aniołem...

Patrzył na nią, mając w głowie kłęb zagnatwanych myśli. Ogarnął go wstyd. Marianna Boulain dowiodła mu, iż postąpił nieuczciwie i to względem kobiety, istoty słabszej, której jako mężczyzna winien był dać zawsze pomoc i opiekę.

Wstał z krzesła i oparł się oburącz na jego poręcz.

- Możliwe, że ma pani rację - powiedział. - Możliwe, że to ja racji nie miałem. Przypominam sobie teraz, że kiedy schwytałem Fancheta i założyłem mu kajdanki, Carmen siedziała przy nim całą noc. Zamierzałem czuwać, ale byłem znużony i usnąłem. Zbudziła mnie, szukając w mojej kieszeni klucza od kajdan. Prawdę mówiąc, mogła mnie wtenczas zabić. Oczy Marianny rozgorzały triumfem.

- Widzi pan - wykrzyknęła niemal. - Mogła zabić, a nie zabiła! Dlaczego?

- Nie wiem. Może sądziła, iż łatwiej będzie uwolnić brata i jemu powierzyć tę czynność. W dwa lub trzy dni później, jestem pewien, iż nie zawahałaby się już ani chwili. Dwukrotnie przyłapałem ją gdy zamierzała mi ukraść fuzję. A trzeciego dnia późną nocą, o dobę marszu od Athabaska Landing, omal mnie nie ogłuszyła kijem. Przyznaję, że w gruncie rzeczy nie uczyniła mi nic złego, ale wiem, że szczególnie pod koniec miała niedobre zamiary.

- Możliwe, ale plan się jej nie powiódł i dlatego pana znienawidziła. Pan natomiast, czując tę nienawiść, uznał ją za zbrodniarkę. Proszę jednak spojrzeć na całą sprawę z kobiecego punktu widzenia. Panie Dawidzie, kobieta będzie walczyć i mordować dla ocalenia człowieka, którego kocha, ale to nie znaczy bynajmniej, że jest zła!

- To dziwne - odparł Carrigan z wahaniem. - Zwierzchnik mój, MacVane, mówił to samo mniej więcej, co pani. Sądziłem, iż to piękność Carmen tak go nastraja. Teraz jednak wierzę, iż jest inaczej. Toteż jeśli kiedy spotkam tę dziewczynę, nie zawaham się ją przeprosić... Marianno.

Po raz pierwszy nazwał ją po imieniu. Nie odpowiedziała nic, lecz wstała prędko i zwrócona doń plecami spojrzała na rzekę. Raptem oboje drgnęli. Przez otwarte drzwi wyraźnie i żałośnie dobiegło pytanie:

- Gdzie jest Czarny Roger Audemard? Czy ktokolwiek widział Czarnego Rogera Audemarda?

- Słyszałem już ten głos dwa razy, raz w czasie choroby i raz ubiegłej nocy - rzekł Dawid.

Urwał i zeszywniał cały. W progu, zarysowana wyraźnie, na rozświetlonym tle, stała męska postać. Carrigan odetchnął głęboko, czując najpierw falę grozy i obrzydzenia, a potem wielkiej litości.

Mężczyzna był zniekształcony okropnie. Jego masywne plecy i szerokie ramiona wygięły się tak strasznie, że miał zaledwie wzrost dwunastoletniego chłopca; jednak, już na pierwszy rzut oka można było stwierdzić, że wyprostowany normalnie

mierzylby pełnych sześć stóp. Najwidoczniej nie urodzenie, lecz wypadek wykoślawił w ten sposób nieszczęsne ciało, nadając mu kształt potwornej bestii.

Na razie Carrigan widział tylko karykaturalne członki, barki zgięte w kabłąk i ręce sięgające niemal do ziemi. Później, wzruszony coraz bardziej, patrzył jedynie na twarz kaleki. Rysy nie były piękne, lecz robiły wrażenie kutych z brązu i niewzruszonych jak gład. Brakło im duszy. Musiały kiedyś skrzepnąć w tę bezmyślną maskę i przetrwać tak lata.

Garbus nie zwracał uwagi na policjanta, choć ten stał bliżej niego, natomiast nie odrywał wzroku od Marianny. Kobieta uśmiechnęła się do niego z niewypowiedzianą słodyczą, jak do dziecka, a w oczach kaleki płonął ogień uwielbienia, niby w ślepiach wiernego psa.

Po chwili niemej kontemplacji garbus przeniósł wzrok w głąb pokoju i obwiodł badawczo wszystkie kąty, jakby czegoś szukając. Wreszcie, wolno poruszając wargami, wymówił czy też wyjąkał żałośnie:

- Czy ktokolwiek widział Czarnego Rogera Audemarda?

W mgnieniu oka Marianna podskoczyła bliżej niego. Obok jego poczarnej, skarłatej postaci wdała się bardzo duża. Oburącz odgarnęła mu z czoła czarny włos przetykany siwizną, uśmiechając się wciąż pieszczotliwie i serdecznie. Carrigan, patrząc na nich, czuł, jak mu serce zamiera. Czy ten człowiek jest Piotrem Boulain? Myśl ta nawiedziła go błyskawicznie i równie błyskawicznie zgasła. Było to niemożliwe i zbyt wstrętne. A jednak w głosie kobiety, która przemówiła właśnie, drżało coś więcej niż zwykła litość.

- Nie, nie, Andrzeju! Nie widzieliśmy go! Nie widzieliśmy Czarnego Rogera Audemarda. Jeśli przyjdzie, zawołam cię na pewno. Obiecuję!

Gładziła miękko jego szczeniasty policzek, potem objęła ramieniem zgięte barki i z wolna wyprowadziła kalekę z izby. Kiedy odchodził, stała w progu i patrzyła za nim chwilę, aż, zamknąwszy drzwi, wlepiła oczy w Carrigana. Milczała, czekając najwidoczniej, by on przemówił pierwszy. Głowę trzymała wysoko, oddychała pospiesznie. Twarz jej straciła łagodny wyraz, a źrenice były pełne wojowniczego ognia.

Czarodziejka

Czas jakiś trwała między nimi cisza. Carrigan widział, że Marianna oczekuje

natrętnych pytań dotyczących kaleki i że gotowa jest walczyć zajadłe o tę biedną, połamaną istotę. Wiedział także, że zarówno ona i sama, jak i cały ten zagadkowy dom mają jakiś związek ze ściganym złoczyńcą Rogerem Audemardem. Cała rzecz w tym - jaki?

Płonął z ciekawości. Milczał jednak. Na w pół odwrócony od swej towarzyszki, rzucił wzrokiem przez okno.

Dzień nadarzył się dziwnie piękny. Na przeciwle-” głym brzegu krzatali się ludzie, spychając na wodę wielkie czółno. Tuż obok nieruchomej barki przepływała mała łódź; siedział na niej garbaty Andrzej, sam jeden. Silnymi rzutami wiosła kierował łódkę na środek jeziora. W siedzącej postawie jego ułomność zaledwie dawała się dostrzec.

Dawid zwrócił się do Marianny. Jej wygląd uległ teraz kompletnej zmianie. Przygotowała się do walki czy obrony tymczasem nie dał jej ku temu żadnej okazji. Na jej twarzy malowało się zmieszanie. Carrigan wskazał głową w stronę okna.

- Odjeżdża łódką! Podejrzewam, iż wolała pani, bym go nie spotkał. Przykro mi, że się tak stało.

- Musiało się to stać prędzej czy później. Myślałam tylko, że...

- Że będę panią dręczył, by wydobyć, co ten człowiek wie o Czarnym Rogerze?! Może być pani zupełnie spokojna. Spytam jedynie w tym wypadku, jeśli mnie pani sama do tego upoważni.

Uśmiechnęła się.

- Bardzo się cieszę, panie Dawidzie. Obiecał mi pan że nie spróbuje ucieczki przed powrotem Piotra. Proszę również obiecać, że nie będzie mi pan zadawał żadnych pytań!

- Spróbuję!

Podeszła bliżej i stanęła przed nim na odległość ramienia.

- Piotr mówił mi wiele o Królewskiej Konnej - rzekła, spokojnie patrząc mu w oczy. - Twierdzi, iż ludzie noszący szkarłatne kurtki są uczciwi i nigdy nie prowadzą fałszywej gry. Twierdzi, iż są to prawdziwi mężczyźni i opowiadał mi nieraz o ich nadzwyczajnych czynach. Więc chciałabym wiedzieć, czy jeśli dam panu zupełną swobodę ruchów na tej barce, na wszystkich czółnach i na brzegu nawet, czy zechce pan wtedy doczekać powrotu Piotra i z nim załatwić rachunki?

Carrigan wykonał głową lekki, twierdzący ruch.

- Obiecuję to pani!

W następnej chwili impulsywnie podała mu rękę. Ujął ją mocno. Uczuł wokół dłoni uścisk drobnych palców. Miał ją tak blisko, że musiał użyć całej siły woli, by nie uczynić czegoś, czego by potem żałował.

Wreszcie łagodnie wysunęła rękę i cofnęła się nieco. Robiła teraz wrażenie dziewczynki, tak świeży rumieniec barwił jej policzki i tak szczerą radość biła z oczu.

- Już się wcale nie boję! - zawołała wesoło. - Kiedy Piotr wróci, opowiem mu wszystko. Wtenczas będzie pan mógł pytać, a on wyjaśni. To będzie ucziwa gra. Piotr nie szachruje nigdy! Zobacz pan, jak go pan polubi!

Uczyliła dłonią ruch w kierunku drzwi.

- Jest pan wolny - powiedziała. - Powiem Batisiemu i innym. Skoro, przybijemy do brzegu, może pan wysiąść na łódź. I zapomnijmy o tym, co było. Dobrze? Aż Piotr wróci!

- Lepiej, by nie wrócił nigdy! - warknął Dawid.

- W takim razie umarłabym z żalu - przerwała Marianna gwałtownie. - Bez niego wolałabym nie żyć.

Przez otwarte okno nadleciało monotonne zawodzenie kaleki. Marianna oparta o futrynę przechyliła się nieco, a Dawid, stojąc tuż za jej plecami, spojrzał ponad jej głową.

Garbus wracał znowu w ich kierunku, nie odrywając oczu od dwu wielkich łodzi, płynących ku nieruchomej barce.

- Dusza tego biedaka jest ułomna na równi z jego ciałem - zaczęła Marianna. - Przed laty, po strasznej burzy, Piotr znalazł go w ieszce. Przygniotło go padające drzewo, Piotr przyniósł go do domu na własnych barkach. Wyżył, ale pozostał taki, jaki jest. Piotr lubi go bardzo, a biedny Andrzej uwielbia Piotra i chodzi za nim jak wierny pies. Nazywamy go Andrzejem, choć jego prawdziwego imienia nikt nie zna. I zawsze, dniem i nocą, zadaje jedno pytanie: Czy kto widział Czarnego Rogera Audemarda? Jeśli pan kiedy zechce, panie Dawidzie, proszę mi opowiedzieć, co pan tak strasznie wie o tym Rogerze Audemardzie?

Uśmiechnęła się do niego pąsowymi wargami i znów patrzyła na rzekę i na czółna płynące pod rytmicznym naporem wiosł. Dawid, pochylony, chłonał aromat jej włosów. Wiatr wiejący od wody porwał lśniące pasma i muskał nimi jego twarz. Nie panując nad sobą, pochwyił ustami jedno takie pasmo i ucałował je.

Zrobiło mu się nagle wstyd i cofnął się pospiesznie o krok. Ale ona nie zauważyła nic. Pochyliła, robiła wrażenie ptaka porywającego się do lotu. Z czółen

zabrzmiała nagle wesoła junacka pieśń. Marianna spojrzała na Dawida promiennymi oczami.

- Moi ludzie są dziarscy! - krzyknęła. - Śmieją się i śpiewają nawet wśród burzy. Niech pan słuca! To „Ostatnia dziedzina”. To nasza pieśń. Mamy taką swoją ziemię w głuszy, gdzie nigdy nie trafia obcy człowiek. Tam są ich rodziny, więc się cieszą, że dziś znów popłyniemy o parę mil bliżej. Oni wcale nie są podobni do tych ponurych mieszczuchów z Quebecu, Montrealu czy Ottawy. To dzieci! Duże radosne dzieci!

Podbiegłszy do ściany wskazała sztandar Piotra Boulaina.

- Piotr jest za nami - tłumaczyła. - Spławia tratwy tych gatunków drzew, jakie u nas nie rosną. Ale co dnia robimy choć parę mil w dół rzeki. Nasi ludzie się cieszą, że to zawsze trochę bliżej. Teraz spieszą, żeby holować naszą barcę. Popłyniemy wolniutko i przy takim dniu jak dziś podróż będzie cudowna. Świeże powietrze dobrze panu zrobi, panie Dawidzie. Czy zechce pan wyjść ze mną na pokład, czy też woli pan pozostać sam?

Patrzyła na niego z przyjaznym uśmiechem.

- Będzie mi miło pani towarzyszyć - odpowiedział Carrigan.

Mówił z niejakim trudem, była bowiem zbyt urocza, zbyt nęcąca. Wargi miała dziwnie pąsowe i świeże. Świadom uroku, jaki nań rzuca ta kobieta, usiłował się bronić za pomocą pancerza sztucznej obojętności i - zdradzał się jeszcze bardziej. Marianna zauważyła jego zmieszanie, odgadła powód i poczerwieniała lekko.

- Chodźmy - rzekł Carrigan, biorąc ze stołu fajkę.

- Musi pan jeszcze trochę poczekać - odpowiedziała, na mgnienie oka opierając dłoń na jego ramieniu. Było to muśnięcie raczej, lecz wyczuł je w każdym nerwie. - Nepapinas przyrządza specjalny lek na pana ranę. Przyślę go tu, a potem może pan wyjść.

Junacki śpiew wioślarzy brzmiał niemal pod samym oknem. Marianna stąpiła ku drzwiom. W progu odwróciła się jeszcze.

- Moi ludzie się cieszą - powiedziała. - I ja cieszę się również. Świat jest taki piękny! Wie pan dlaczego? Bo złożył mi pan pewną obietnicę i wierzę, że pan jej dotrzyma.

Znikła.

Carrigan stał jakiś czas nieruchomo. Śpiew wioślarzy, pojedynczy dziki okrzyk, wreszcie chrzęst lin wzdłuż burty, dobiegały doń niby odgłosy z innego

świata. W mózgu miał bowiem straszny tumult. Nagłe zrozumienie wielkiej prawdy zalewało go niby powódź, wywracając z trudem wzniesione tamy. Pojął bowiem, iż ponad wszystko inne pragnie wziąć w ramiona i zachować na zawsze tę kobietę - żonę Piotra Boulaina!

Podczas gdy trwał pełen wstydu i męki, drzwi się otwarły i wszedł Nepapinas.

Rękawice bokserskie

W ciągu najbliższej pół godziny Dawid był równie milczący, jak stary indiański doktor. Nie czuł najmniejszego bólu, gdy Nepapinas, zdjawszy bandaż namaścił mu głowę przyniesionym balsamem. Przed nałożeniem świeżego opatrunku Carrigan przejrzał się w lustrze. Po raz pierwszy miał po temu możność i był pewien, że zobaczy własną twarz mocno zeszpeconą. Ku swemu wielkiemu zdumieniu dostrzegł tylko nad skronią lekko zaogniony guz. Nic nie rozumiejąc, wlepił pytający wzrok w starego Indianina.

Wyschnięta twarz Nepapinasa skurczyła się w uśmiechu.

- Kula odłupała kawałek skały - wyjaśnił - i ten kawałek, a nie kula, pana uderzył. Czaszka się wygięła do środka, prawie pękła, a ja zrobiłem palcami tak i tak i wszystko dobrze!

Pełen dumy, chichocząc, wykrzywił w powietrzu palce podobne szponom i wzruszał znacząco chudymi ramionami.

Dawid, milcząc, uściśnął mu dłoń, po czym starzec, nałożywszy nowy bandaż, wyszedł chichocząc **wciąż** dziwacznie, jakby rad z dobrego kawału, jaki wyrządził śmierci, wydzierając z jej paszczy białego człowieka.

Na zewnątrz trwała jakiś czas wzmożona ruchliwość. Śpiew ustał. Niski głos rzucał stanowcze komendy, a Dawid, wyjrawszy przez okno, stwierdził, iż barka półokrągłym ruchem oddala się od brzegu.

Pomimo silnej walki wewnętrznej w czasie opatrunku Carrigan nie zdołał dotąd opanować nerwów i stać się tym, kim dawniej - bezwzględny łapaczem ludzi. Przed paru dniami jeszcze krew wrzała w nim radością dzikiej gry jednego przeciw drugiemu. Prawo i bezprawie siedziały naprzeciw siebie mając pośrodku karty. To był wielki hazard. Ktoś musiał przegrać, a przegrana zawsze niemal znaczyła śmierć.

Gdyby mu ktoś powiedział dawniej, iż spotka człowieka wspominającego raz po raz imię Rogera Audemarda - drżałby z niecierpliwości w oczekiwaniu tej chwili.

Doskonale zdawał sobie z tego sprawę, chodząc tam i z powrotem po izbie. Lecz jeszcze wyraźniej czuł, że podobny dreszcz minął bezpowrotnie. Piotr Boulain obchodził go w danej chwili znacznie bardziej niż nieuchwytny zbrodniarz, a bardziej niż Piotr obchodziła go Marianna...

Oczy jego padły ponownie na zmiętą chusteczkę pozostawioną na fortepianie. Podniósł ją do warg i odrzucił czym prędzej. Zalał go żrący wstyd. Całe życie był czysty w myśli i uczynkach. Nienawidził uwodzicieli. A teraz, w domu obcego mężczyzny, sam stawał w obliczu najcięższej ze wszystkich walk.

Podszedł do drzwi, otworzył je i stanął w pełnym słońcu. Przyjemnie było czuć na twarzy pieszczotę gorących promieni i móc znów wciągnąć w płuca czyste powietrze. Barka, oddzieliwszy się od lądu, płynęła na środek rzeki. Batisi stał u olbrzymiego rudla. Ujrawszy więźnia, ku wielkiemu zdumieniu tegoż, uśmiechnął się.

- Wkrótce się już zmierzymy, proszę pana! - chichotał. - A gdy dojdzie do walki, to pan będzie przepiórką, a Ogórek-Batisi orłem!

Wyzywający wzrok Metysa zbudził we krwi Dawida gorący odzew. Carrigan, milcząc, wrócił do izby i schyliwszy się nad swymi rzeczami dobył dwie pary rękawic bokserskich. Poglądził je łagodnie, z uczuciem iście braterskim, a ich jedwabista gładkość lepiej ukołysła mu nerwy niż palony właśnie papieros. Ponad wszystkie inne sporty kochał boks i gdziekolwiek się udawał, dla przyjemności czy też z obowiązku, rękawice wędrowały razem z nim. Niejednokrotnie udzielał nauki walki na pięści samotnym traperom lub półdzikim Indianom, byle tylko móc je znów naciągnąć.

Trzymając je w garści, wyszedł z kajuty i potrząsnął nimi przed nosem Metysa.

Batisi przyjrzał się im ciekawie.

- Rękawice? - spytał. - Czy wojownicza przepiórka grzeje w nich zimą swoje łapki? Dostycie niezdarne. Ja uszyję lepsze ze skóry karibu!

Dawid wsunął do rękawicy prawą dłoń i zważył ją w pięść.

- Widzisz to Batisi?! - spytał. - To nie są zimowe rękawice dla ciepła. W nich będę z tobą walczył. A wiesz dlaczego? Bo nie chcę cię zbyt uszkodzić, przyjacielu Batisi! Nie chcę zrobić marmolady z twego szlachetnego oblicza, a zrobiłbym to na pewno, bijąc gołymi pięściami. Potem, kiedy się już nauczysz walczyć...

Bawoli kark Metysa sprawiał takie wrażenie, jakby miał lada chwila pęknąć. Oczy wylazły mu z orbit.

- Co, co? - ryknął. - Pan śmie to mówić mnie! Mnie, który nie ma sobie równego w dolinie trzech rzek!

Wyrzucał słowa jak potok, zachłystując się nimi w obrażonej godności; lecz raptem spojrzawszy poprzez głowę Carrigana, urwał. Coś w wyrazie jego oczu skłoniło Dawida do odwrócenia się. O trzy kroki od nich stała Marianna Boulain. Musiała słyszeć całą rozmowę. Przygryzała wargi i w głębi źrenic mjała wesołe iskierki.

- Nie kłóćcie się, dzieci - powiedziała wesoło. - Batisi, źle sterujesz!

Wyciągnęła ręce i Dawid bez słowa wręczył jej rękawice. Palcami i dłonią musnęła delikatną skórę, lecz na jej czole pojawiły się frasobliwe zmarszczki.

- Są ładne i miękkie - powiedziała. - Oczywiście nie mogą wyrządzić zbytnej krzywdy. Któregoś dnia, gdy Piotr przyjedzie, nauczy mnie pan się nimi posługiwać.

- Zawsze: gdy Piotr przyjedzie - odparł Dawid ze zniecierpliwieniem. - Czy długo będziemy na niego czekać?

- Dwa lub trzy dni, może nieco dłużej. Czy przejdzie pan ze mną na dziób statku?

Nie czekając na odpowiedź, ruszyła przodem, chwiejąc rękawicami w powietrzu. Dawid, podążając jej śladem, zdołał jeszcze raz rzucić okiem na Metysa. Batisi wykrzywił się okropnie, potrząsając w powietrzu olbrzymim kułakiem, a gdy skręciwszy za róg kajuty, weszli na wąski pomost leżący pomiędzy ścianą budowli a burtą - pogonił za nimi grzmiący wybuch jego śmiechu.

Po chwili stanęli na przednim pokładzie, szerokim na osiem stóp i na dziesięć stóp długim, ocienionym rozpostartym w górze płótnem. Leżało tu parę dywanów, stały fotele i mały stolik oraz wisiał wygodny hamak. Dawid był zdumiony. Na żadnej z trzech rzek nie widział nic podobnego; nie słyszał również o tak dużym i tak wytwornie urządzonym statku. Na wysokiej żerdzi, u szczytu kajuty, trzepotała z wiatrem biało-czarna chorągiew Piotra Boulaina.

Spojrzał na Mariannę. Była głęboko zamyślona i z jej oczu znikły płóche iskierki. Czoło miała wciąż lekko zmarszczone. Zmarszczyła je jeszcze bardziej, gdy od rufy doleciał nowy wybuch śmiechu Batisiego.

- Czy to prawda, że obiecał pan Batisiemu, że będzie z nim walczył? - spytała.

- Prawda! I widzę, że Batisi się bardzo cieszy!

- O tak! Ubiegłej nocy opowiedział wszystkim ludziom o tej nowinie. Ci, którzy rankiem pojechali na spotkanie Piotra, doniosą mu o niej. Ludzie się cieszą i robią zakłady. Obawiam się, że pan dał nieogłędną obietnicę. W ciągu ostatnich trzech lat żaden człowiek nie chciał się mierzyć z Batisim, nawet mój wielki Piotr, który, przyznaję, że Batisimu nie dałby rady.

- Muszą jednak istnieć pewne wątpliwości, skoro robią zakłady, bo do zakładu trzeba dwu chętnych - roześmiał się Dawid.

Czoło kobiety wypogodziło się i na jej wargach zamajaczył uśmiech.

- Tak, robią zakłady. Ale ci, co trzymają pana stronę, stawiają skóry szczurów piżmowych z nadchodzącej jesieni oraz suszoną rybę - przeciwko futrom rysim, kunim i wydrzym. Jest to tak, jak jeden do trzydziestu!

W oczach jej odmalowało się wyraźne politowanie. Dawid spąsował.

- Gdybym ja tylko miał coś do postawienia! - warknął.

- Nie powinniście w ogóle walczyć. Ja wam zabronię!!!

- W takim razie obaj z Batisim umkniemy w las i tam załatwimy sprawę bez świadków!

- Zmasakruje pana okropnie. Kiedy walczy, jest po prostu straszny, jak dzikie zwierzę. Pasjami lubi bójki i zawsze szuka przeciwnika. Mam wrażenie, że nawet mnie by porzucił dla dobrej bijatyki. Ale pan, panie Dawidzie...

- Ja również lubię walkę! - przyznał Dawid bezwstydnie.

Marianna przyglądała mu się chwilę z wielką uwagą.

- Z tymi? - spytała wreszcie, wyciągając rękawice.

- Tak, z tymi. Batisi może walczyć gołymi rękami, ale ja włożę rękawice, żeby go zbytnio nie uszkodzić. Ma i tak dość szpetną gębę!

Po raz drugi jej czerwone wargi drgnęły w wesołym uśmiechu. Potem, wręczywszy mu rękawice, wskazała głęboki fotel stojący obok.

- Proszę, niech pan spocznie. Mam coś do załatwienia w kajucie, ale wnet będę z powrotem.

Znikła, a Dawid zastanawiał się, czy nie poszła przypadkiem wprost do Batisiego, aby zakazać mu pojedynku. Prawdę mówiąc, wyzwiał Metysa dość lekko by walka mogła się istotnie odbyć, a tym bardziej, by miała się stać powszechną sensacją. Był jednak rad, że znalazł w Batisim godnego przeciwnika, mniej wyćwiczonego co prawda, lecz górującego bezsprzecznie siłą mięśni. Uśmiechnął się, obserwując zgięte karki wiosłujących ludzi. Zatem stawiają przeciwko niemu

trzydzieści do jednego. Piotr Boulain zapewne pójdzie za ich przykładem. Ano, zobaczymy.

Zrobiło mu się gorąco, a palce oparte o burtę drgnęły. Patrzył na rzekę nie widząc; jakby szalona możliwość poznana raptem zakryła sobą cały świat. Posiadał pewną rzecz, przeciwko której Piotr i jego żona gotowi będą postawić połowę swego dobytku. Więc, jeśli rzuci owe coś na szalę - zwycięży!

Począł przebiegać pokład tam i z powrotem, tak pogrążony w zadumie, że nie posłyszał lekkich kroków powracającej Marianny i dopiero, odwróciwszy się na zakręcie, znalazł się tuż przed nią. Niosła koszyk z robótką, który widział poprzednio na stole. Siadłszy w hamaku wyjęła rozpoczętą koronkę i poczęła szybko przebierać drutami.

- Czy pani wie - zaczął Dawid wolno, spoglądając znów uparcie na wodę i błyskające w słońcu wiosła - że mam wrażenie, iż po powrocie Piotra Boulaina nastąpią dziwne rzeczy. Pójdę z nim o zakład, że potrafię zwyciężyć Batisiego. Oczywiście, on zakład przyjmie. A gdy już będzie po wszystkim, jestem bardzo ciekaw, co pani powie!

Nastąpiła krótka cisza.

- Ja w ogóle nie chcę, żeby się pan bił z Batisim - rzekła nieoczekiwanie Marianna.

Dawid odwrócił się i spojrzał na nią. Druty szybko migały w powietrzu, a długie rzęsy kryły głębieć oczu i to, co przed chwilą mógłby z nich wyczytać.

W kniei

Poranek minął dla Carrigana niby sen. Siedział tak blisko Marianny, że często czuł jej zapach, jak woń kwieciana. Był to oddech dzikich fiołków. Wyobrażał ją sobie brodzącą po głębokim lesie, zapadającą raz po raz stopami w puszysty mech i wyszukującą cierpliwie drobne, ciemne kwiatki. Musiała je potem suszyć w małych woreczkach, o ileż bardziej uroczych niż sztywne flakony wielkomijskich perfum.

Marianna zdawała się absolutnie nie domyślać, co się dzieje w sercu towarzysza. Uśmiechnięta, pracowicie licząc oczka, opowiadała, jak to Piotr budował barkę największą ze wszystkich w dolinie trzech rzek. Wykonał ją całkowicie z suchego cedru, toteż unosiła się na powierzchni niby korek i przechodziła wszędzie, gdzie tylko mogła przejść zwykła płaskodenna łódź. Mówiła także, jak to Piotr

sprowadził fortepian z Edmonton i uchronił go przed wpadnięciem do rzeki przy przeprawie przez porohy, dźwigając cały ciężar na własnych ramionach. - On jest strasznie mocny! - podkreśliła z nutą dumy w głosie, a potem dodała:

- Czasem, kiedy mnie ściska, mam wrażenie, że zgniecie mnie na śmierć!

Te słowa ugodziły Carrigana w serce niby cios nożem. Oczyma wyobraźni ujrzał tę śliczną kobietę przytuloną do szerokiej piersi Piotra Boulaina tak ciasno, że oddechu jej braknie. Szybko odwrócił wzrok ku dalszemu brzegowi, gdzie panoszyła się bezludna dzicz. Ogarnął zielone morze sosen, choin i cedrów, nad którego ciemnym bezmiarem widniały tu i ówdzie jaśniejsze wierzchołki topól i brzoź. Dalej, roztopiony w słonecznej mgle, majaczył łańcuch górski, strażnik ostatniej dziedziny. Urok dziewiczego kraju przemówił doń ze zdwojoną siłą, kuszący i pełen obietnic. Z wolna przeniósł wzrok na wioślarzy w czółnach, potem znów spojrzął na Mariannę.

Ona również błędziła oczyma po krajobrazie. Nagle rzekła:

- Chciałabym tam pójść. Jak najdalej...

- A ja... chciałbym pani towarzyszyć!

- Lubi pan ten kraj?

- Tak, proszę pani. Spojrzała nań badawczo.

- Dlaczego „pani”? Przecież pozwoliłam panu mówić mi po imieniu.

- Ale sama nazywasz mnie „pan”.

- Bo pan mnie wcale nie prosił, żeby mówić inaczej!

- No to proszę: teraz!

- Dziękuję. I, prawdę mówiąc - tu roześmiała się wesoło - dziwiłam się dawno, dlaczego nie jesteś równie uprzejmy jak ja. Nie znoszę „panów” i „pań”. Będę ci mówiła - Dawid!

Porwała się nagle z hamaka i włożyła do koszyka koronkę, druty i nici.

- Zupełnie zapomniałam o obiedzie. Muszę się na chwilę zamienić w kucharkę. Piotr nazywa mnie czasem kuchareczką, gdyż ogromnie lubię przyrządzać różne dobre potrawy. Dzisiaj zrobię wspaniały pieróg!

Drzwi kuchni zamknęły się za nią i Carrigan, wstawszy również, oparł się o burtę. Z czółen na przedzie leciały gromkie okrzyki. Batisi na rufie odpowiadał donośnym wrzaskiem. Barka podchodziła już do brzegu i Metys wykręcał ciężki rudel z siłą parowej maszyny. Skrócono liny holownicze. Jeszcze parę uderzeń wiosłami i ludzie, z nogami bosymi do kolan, skoczyli do wody i zaczęli ciągnąć statek naporem muskularnych ramion.

Dawid spojrział na zegarek. Była dziesiąta. Nigdy jeszcze dotąd czas nie upłynął mu tak szybko, jak właśnie dziś rano. Obecnie miał szaloną ochotę wyjść na łód, uczuć znów pod nogami twardą ziemię. Nie czekając więc, by Batisi przerzucił kładkę, jednym skokiem znalazł się na przybrzeżnym piasku. Działął z pozwolenia Marianny, jednak odwrócił się wnet ciekaw, jak też Batisi przyjmie podobny postępek.

Twarz Metysa skrzepla - w ponurą maskę. Żaden dźwięk nie wypływał spośród grubych warg, lecz oczy gorzały niebezpiecznym ogniem. Słowa były zbyteczne. Wzrok siłacza mówił wyraźnie, co się stanie, jeśli Dawid na czas nie wróci. Carrigan skinął głową. Zrozumiał. Marianna wierzyła mu, lecz ten ciemnoskóry drab był pełen podejrzeń.

Lekkim krokiem minął resztę ludzi i wszyscy, co do jednego, odprowadzili go wzrokiem nieufnym i badawczym. Były to wspaniałe typy. Carrigan nigdy dotąd nie widział jednocześnie tylu tak pięknych okazów. Natychmiast spostrzegł, iż nie jest to przygodna zbieranina rozbitków życiowych. Szczupli, wysocy, o dobrze wyrobionych mięśniach, pochodzili z krwi dawnych zdobywców. Byli młodzi i zręczni. Starsi musieli wczoraj odpłynąć na spotkanie Piotra Boulaina. Carrigan od razu pojął przyczynę tak nierównego podziału. Każdy z dwunastu mężczyzn tu obecnych mógł mu sprostać w biegu. Nawet gdyby się o parę godzin od nich odsądził, każdy z nich dognałby go przed upływem dnia.

Minąwszy ich, stanął i obejrzał się na statek. Na przednim pokładzie Marianna oparta o burtę patrzyła w ślad za nim. Nawet z tej odległości zauważył, że twarz jej jest poważna i skupiona. Gdy uklonił się kapeluszem, odpowiedziała mu bez uśmiechu lekkim skinieniem głowy.

Dawid skręcił i wszedł pomiędzy iglaste drzewa gęsto pokrywające brzeg już o pięćdziesiąt kroków od wody. Idąc po miękkim mchu rozestłanym w miejscach niemal nigdy nie nawiedzanych przez słońce, czuł na nowo radość życia. Mijał wyniosłe kolumny sosen i olbrzymie cedry stojące tak zwartym szeregiem, że przez splecione konary niepodobna było dostrzec niebios. Trafił potem na wyższy grunt, gdzie na przemian ze szpilkowymi drzewami rosły również topole i brzozy.

Wokoło brzmiały harmonijne głosy. Ćwierkały wróble, nuciły śpiewnie ptaszęta, z dala klóciły się drozdy. Wielkookie kanadyjskie sójki przyglądały mu się ciekawie, podlatując nieraz tak blisko, że go muskały niemal w tym nieopatrzonym locie. Tuż obok niego, z chrzęstem rozsuwając gałęzie, poczłapał jeżozwierz.

Carrigan dotarł wreszcie do ścieżki połączonej z siecią innych drożyn, mocno ubitej w wilgotnym gruncie racicami karibu i losi. Tu siadł na zwałonym pniu, oddalony o pół mili od barki i zakurzywszy fajkę nasłuchiwał mowy umiłowanej kniei.

Wtenczas właśnie doznał dziwnego wrażenia, że nie jest sam, że obserwują go nie tylko oczy ptaków i zwierząt. Uczucie to potęgowało się z każdą chwilą. Niewidzialne istoty obmacywały go wzrokiem. Zbudzony z krótkiego letargu instynkt tropiciela ludzi przeobraził pierwotne podejrzenie w niemal absolutną pewność.

Począł notować zmiany w szczebiocie poszczególnych ptaków. O sto jardów w prawo sójka, najbardziej gadatliwa spośród leśnych mieszkańców, darła się zupełnie innym głosem niż zazwyczaj. Po drugiej stronie, w kępie zwartej jedliny, jakiś mały śpiewak uciął nagle rozpoczętą arię. Usłyszał podniecony protest wróbla, któremu ktoś naruszył spokój gniazda - i wstał z wolna, z uśmiechem nabijając fajkę świeżym tytoniem. Marianna mogła mu wierzyć na słowo, lecz Batisi i jego towarzysze woleli świadectwo własnych oczu.

Dochodziło południe, gdy wrócił nad rzekę. Nie trzymał się już udeptanej ścieżki, lecz rozmyślnie wędrował bokami po wilgotnej ziemi i mchu. Pięciokrotnie znalazł ślady stóp obutych w mokasyny.

Kiedy po kładce wszedł na statek, Batisi, zakasawszy rękawy po łokcie, z przejęciem szorował pokład.

- Są tu karibu i losie. Obawiam się tylko, że przeszkodziłem waszym myśliwym - powiedział Carrigan, przesyłając Metysowi kpiący uśmiech. - Chociaż to w ogóle niezdarni łowcy i nawet ptaki zdradzają każdy ich ruch. Podejrzewam, że jutro przyjdzie nam się obyć bez świeżego mięsa.

Batisi zrobił taką minę, jakby go kto niespodziewanie zdzielił w łeb maczugą i nie odpowiedział nic. Carrigan skierował się na przedni pomost. Marianna, siedząca pod płóciennym daszkiem, powitała go okrzykiem ulgi.

- Rada jestem, że wróciłeś, Dawidzie - rzekła.;

- I ja również jestem rad, Marianno - odpowiedział. - Tutejszy las nie nadaje się do dłuższych spacerów.

Obiad zjedli we dwójkę. Po obiedzie Dawid również nie odstępował Marianny, opowiadając o swych przygodach i włóczęgach. Wyznał, iż kocha Północ i zamierza tu życia dokonać. Na te słowa oczy jej rozbłysły. Z kolei wspomniała, jak bardzo tęskniła do puszczy w czasie dwuletniego pobytu w Montrealu, i jaka była szczęśliwa, mogąc tu wreszcie wrócić.

Po południu Dawid wysiadł na ląd. Tam, napelniwszy piaskiem wór z reniferowej skóry, uwiesił go u gałęzi drzewa i w ciągu trzech kwadransów obrabiał pięściami ku wielkiej uciesze ludzi Piotra Boulaina. Ta próba przekonała Dawida, iż nie stracił niemal nic z dawnej sprawności i upewniła go, że we właściwej porze potrafi sobie dać radę z Batisim. Pod wieczór Marianna przysłała go odnaleźć i dobre pół godziny przechadzali się wspólnie nad brzegiem rzeki. Kolację przyrządził Batisi. O zmierzchu siedli razem na pokładzie i Dawid zapalił jedno z cygar Piotra.

Obóz flisaków leżał o dwieście jardów poniżej, zakryty cyplem lądu gęsto porośłym starodrzewem. Nie było więc go widać wcale i czasem tylko dolatywał splełtany chór głosów lub weselszy wybuch śmiechu. Natomiast Batisi siedział na tylnym pokładzie, Nepapinas łąził po brzegu, wśród cieni, sam do cienia podobny, a i kaleka Andrzej włóczył się w pobliżu. Wreszcie kucnął na piasku, by tak pozostać tragiczny i samotny.

Na świat spłynęła senna cisza. Z głębi lasu dobiegało jedynie cykanie świerszczy i ostatnie pokrzyki ptasząt. Potem ozwały się głosy nocy. Wielki cień przeciął rzekę w pobliżu barki; była to jedna z ogromnych krwiożerczych sów poszukujących łupu. W miarę jak zmrok gęstniał, coraz to inne stworzenia odpowiadały na wezwanie gwiazd. O milę szczechnął kojot; z zachodu nadbiegło wycie wilka; w toni pstrągi pluskały ostro jak bijące wodę ogony bobrów; z gęstwiny chrapliwie ryknął byk łosi rzucający bojowe wyzwanie. A ponad lasem wyglądał już księżyc, gwiazdy skrzyły się coraz gęściej i między pniami drzew na cyplu błyskał ogień flisaków.

Garbaty Andrzej wstał raptem, chwilę majaczył w mroku jak koślawy pień, potem skręcił w las i utonął w ciemności.

- On przeważnie tak błądzi po nocach - rzekła Marianna.

Dawid zamyślił się na chwilę i powiedział:

- Prosiła pani kiedyś, bym opowiedział o Czarnym Rogerze. Mogę to uczynić teraz, jeśli pani sobie życzy?

Skinęła głową twierdząco.

- To był diabeł w ludzkim ciele, ten Roger Audemard - zaczął Carrigan. - Przewano go później Czarnym Rogerem ze względu na barwę jego duszy.

I mówił dalej. Opisał faktorię nad rzeką Hachet, gdzie dramat miał miejsce. Pewnego dnia doszło do bójki między agentem i jego dwoma synami z jednej strony, a Rogerem Audemardem z drugiej. Dawid przyznawał chętnie, iż walka nie była

uczciwa; szlachetni ludzie nie idą w trzech przeciw jednemu. Lecz tego, co stało się później, nic nie może usprawiedliwić. Audemard został pobity. Umierający nieomal powlókł się w las. Aż wrócił, pewnej burzliwej nocy, wiodąc trzech przyjaciół. Kim byli ci przyjaciele, policji nie udało się nigdy dowiedzieć. Rozgorzała nowa walka, w czasie której Roger Audemard wciąż nakazywał swoim oszczędzać życie agenta i jego synów. Mimo to jeden z młodych poległ. Teraz nastąpiło najokropniejsze.. Dwu pozostałych mężczyzn skrepowano umiejętnie i wtrącono do domu, po czym dom podpalono z czterech stron. Czarny Roger, stojąc na zewnątrz, chichotał niby wariat, nasłuchując coraz cichszych jęków swych ofiar. O tej porze myśliwi zwiedzali linie sideł i paru ludzi zaledwie pozostało w osadzie. Tych, gdy usiłowali bronić palonych żywcem, Czarny Roger zamordował własnoręcznie. W ten sposób jednej nocy zabił pięciu ludzi, w tym dwóch z wyrafinowanym okrucieństwem.

Umilkłszy na chwilę, by uspokoić wzburzone nerwy, Carrigan opowiedział jeszcze, jak to w ciągu wielu lat prawo daremnie ścigało zbrodniarza; jak raz Czarny Roger, wytropiony przez policjanta, zabił swego prześladowcę. Wreszcie nadeszły wieści, że Audemard zginął i dano pokój obławie. Ale niedawno okazało się, że to była plotka i że morderca żyje. Wtenczas on, Dawid Carrigan, dostał rozkaz przychwylenia go za wszelką cenę.

Kiedy skończył, zapadła krótka cisza, po czym Marianna wstając rzekła cicho:

- Ciekawa jestem, jakby sam Roger Audemard opowiedział to wszystko, gdyby tu był.

Oddalając się już, odwróciła głowę i szepnęła:

- Dobranoc.

- Dobranoc - odpowiedział Dawid.

Nasłuchiwał jej kroków, aż ucichły i długi czas potem nie mógł usnąć.

Poprzednio jeszcze nastawał, by objęła z powrotem w posiadanie kajutę; dla niego Batisi wyniósł teraz parę koców. Rozesławszy je pod namiotem, położył się wreszcie, a gdy zadrzemał, zjawiała się przed nim natychmiast jej śliczna, blada twarz.

* * *

Po południu czwartego dnia wydarzyły się dwie rzeczy. Jednej z nich Carrigan oczekiwał co prawda, druga jednak była tak niespodziewana, że przez chwilę miał wrażenie, iż ziemia rozstępuje mu się pod nogami.

Udał się wraz z Marianną na spacer, w głąb boru, o pół mili od rzeki.

Nazbierawszy kwiatów, wracali inną drogą. Trafili na płytki strumień, który musieli

przebyć. Marianna, stojąc nad wodą, z uśmiechem spoglądała na drugi brzeg. We włosy wpięła parę dzikich róż. Policzki miała rozkosznie zarumienione. Szczupła, giętka postać tchnęła zdrowiem i radością życia.

Potem zwróciła się do Carrigana, śląc mu czarujący uśmiech:

- Musisz mnie przenieść na drugą stronę.

Nie odpowiedział nic. Przysunął się bliżej, drżąc cały. Uniosła nieco rękę, czekając. Wtenczas podniósł ją z ziemi. Miał ją tuż przy piersi. Gdy wkraczał w wodę, oparła mu dłonie na ramionach. Poślizgnął się i uczuł mocniejszy chwyt jej palców. Pośrodku strugi woda doszła mu do kolan; Marianna śmiała się wdzięcznie. Przygarnął ją ciaśniej i, najgłupiej w świecie, poślizgnął się znów. Wreszcie znalazł się na brzegu i postawiwszy ją na ziemi, sam szybko postąpił wstecz w obawie, że ona posłyszycie zbyt głośne bicie jego serca. Ale Marianna, odwracając głowę, patrzyła gdzieś w bok.

- Dziękuję - szepnęła.

Poza sobą usłyszeli raptem tupot nóg i plusk. Jeden z flisaków pędem przelatywał strumień. W tejże chwili znad rzeki buchnął wielogłosy chór wrzasków. Krzyczało najwidoczniej nie dwunastu ludzi, lecz co najmniej pół setki. Marianna znieruchomiawszy nagle, wlepiała błyszczące oczy w twarz posłańca.

- To Piotr Boulain! - zawołał posłaniec. - Przygnał ogromną tratwę! Proszę spieszyć, jeśli pani chce go powitać, nim wysiądzie na ląd!

W tejże chwili Dawid doznał wrażenia, że Marianna zapomina całkowicie o jego istnieniu. Krzyknawszy lekko z uciechy, skoczyła w las niby sarna. Carrigan spojrział na flisaka. Lekkonogi posłaniec z uśmiechem ścigał wzrokiem drobną sylwetkę migającą wśród drzew. Dopiero, gdy zginęła mu z oczu, przemówił:

- Chodźmy, proszę pana. I nam również należy powitać Piotra Boulaina.

Piotr Boulain

Dawid z wolna kroczył za flisakiem. Nie miał ochoty spieszyć. Nie szło mu bynajmniej o to, by oglądać powitanie Marianny z Piotrem Boulain. Przed chwilą dopiero trzymał ją w ramionach; czuł na twarzy pieszczotę jej włosów. A teraz bez słowa pożegnania odbiegła, by lecieć na spotkanie męża.

Ponuro wymijając drzewa stojące mu na drodze, dotarł wreszcie do zwartej gęstwy brzozy i topoli, porastającej brzeg rzeki. Przedarł się przez nią i

znieruchomiawszy na połogim piachu, spojrzął na Athabaskę.

Zobaczył piękny i niezapomniany obraz. O ćwierć mili w górę rzeki, niesiona prądem płynęła potężna tratwa. Carrigan widywał poprzednio wiele tratw na Mackenzie, Athabasce i Saskatchewan, nigdy jednak takich jak ta. Miała sto stóp szerokości i przynajmniej podwójną długość, a w jaskrawym słońcu robiła wrażenie arabskiej osady. Pokrywały ją szałas i namioty białe, szare lub malowane w pasy purpurowe i żółte. Pośród nich stała chata z mocnych bali, ponad którą na wysokim drągu trzepotał sztandar Piotra Boulaina.

Tratwa wrzała życiem. Ludzie krzatali się pomiędzy namiotami. Olbrzymie rudle lśniły srebrzyście. Wioślarze, rozmieszczeni w czterech czółnach, naprężali nagie ramiona i barki wlokąc za sobą tę potworną masę drzewa. Z daleka, niby brzęczenie, nadlatywał chóralny śpiew.

Gdzieś, znacznie bliżej, rozległa się nagle odpowiedź. Dawid szybko okrążył kępę drzew i stanął, mając wolny widok na przycumowaną do brzegu barcę. Marianna siadała właśnie do czółna. Batisi zepchnął je na wodę, a czterech ludzi poczęło pracować wiosłami. Dwie inne łodzie były już w pół drogi do tratwy; w jednej z nich Dawid poznał kalekiego Andrzeja. Potem Marianna stanęła w czółnie, powiewając chustką.

Tratwa gnana prądem i siłą wiosł zblizała się coraz bardziej. Na jej krawędź wystąpił raptem samotny człowiek. Jego sylwetka rysowała się w słońcu z wyrazistością posągu. Był olbrzymiej postawy. Z rękawami koszuli zakasany do łokci, z gołą głową, nie odrywał oczu od nadpływających czółen. W pewnej chwili zamachał rękoma i krzyknął tak gromko, że jego głos, pokrywając ogólny tumult, jak grzmot przetoczył się nad wodą. W odpowiedzi chusteczka Marianny trzepotała coraz żywiej. Dawid zacisnął wargi. Serce biło mu nierówno. Zrozumiał, że widzi wreszcie legendarnego Piotra Boulaina, męża kobiety, którą kochał.

Wczorajszego dnia właśnie przypiął do pasa lornetkę. Dziś Marianna parokrotnie obserwowała przez nią okolicę i ta nowa zabawa była dla niej źródłem nieustannej radości. Teraz Dawid podniósł szkła do oczu, uśmiechając się ni to smutno, ni to drwiąco.

Kiedy zobaczył Piotra Boulaina, uśmiech znikł z jego twarzy. Miał go na pozór zupełnie blisko, po prostu na odległość ręki. Nigdy jeszcze nie widział takiego człowieka. Był to istny wiking - zdobywca mórz sprzed wielu stuleci. Ruda czupryna rozwiewała się na wietrze. Krótka ciemna broda lśniła w słońcu. Śmiał się,

wyciągając ramiona ku płynącym czółnom. Zdawało się, że lada moment nie zdzierży i buchnie w wodę na spotkanie umiłowanej.

Dawid patrzył wciąż, mocno zaciskając szczęki. Musiał widzieć powitanie tych dwojga. Miało to być dlań lekarstwem na bezrozumną miłość oraz karą za chwilę zapomnienia.

Czółno dobijało już do tratwy. Marianna własnoręcznie cisnęła mężowi linę. Potem burta otarła się o drewniany pomost. W następnej chwili Piotr pochylił się i unosząc żonę, postawił ją obok siebie. Dawid nie widział nic oprócz tych dwojga. Brodaty olbrzym tulił w ramionach szczupłą dziewczęcą sylwetkę, a ona obu dłońmi miłośniczo pieściła mu twarz. Potem podała mu usta.

Carrigan gwałtownie odwrócił się od rzeki i chowając lornetkę do futerału, zamknął go z trzaskiem. Od barki nadchodził jakiś człowiek. Był to ten sam flisak, który pierwszy przyniósł wieść o przybyciu wodza. Dawid ruszył mu na spotkanie, a zrównawszy się z nim, stanął, by raz jeszcze spojrzeć na rzekę. Piotr obejmując Mariannę w pół, prowadził ją właśnie do chaty.

Co dalej?

Dawid odgadł bez trudu, dlaczego flisak go szukał. Wokół barki krzątali się ludzie, a Batisi, stojąc na rufie, z wielkim drągiem w łapach, grzmiącym głosem rzucał komendy. Gdy Dawid zręcznie skoczył na pokład, statek odbijał już od brzegu. Metys, na widok jeńca, uśmiechnął się szeroko.

- Źle pan wygląda - przemówił półgłosem, wyraźnie tylko dla uszu Dawida. - Blady pan i smutny. Czy przez szkła zobaczyło się coś przykrego? A może o to idzie, że wkrótce ma pan walczyć z Batisim? Ech, mój czupurny cietrzewiu, dobrze zgadłem?!

- Słuchaj Batisi - rzekł Dawid krótko. - Czy to prawda, że Piotr Boulain nie może ci sprostać?

A Metys wypiął pierś i odpowiedział chępliwie:

- Żaden człowiek w dolinie trzech rzek mi nie sprosta!

- Jednak to potężny chłop! - szepnął Carrigan sam do siebie, mierząc Metysa wzrokiem od stóp do głów. - Ale, Batisi, my będziemy się bić i bądź pewien, że dam ci łupnia!

Nie czekając na odpowiedź, wszedł do kajuty i za mknął drzwi za sobą.

Drwiąca nuta w głosie Batisiego podziałała mu na nerwy. Czy możliwe, by Metys wywęszył rzeczywisty stan rzeczy? By odgadł uczucie jakie żywi do Marianny Boulain? Twarz mu spąsowiała; uczył żrący wstyd.

Stojąc w oknie, spojrzął na tratwę. Płynęła nadal środkiem rzeki, a barka płynęła także, równolegle do niej, najwyraźniej wcale nie usiłując się przybliżyć. Carrigan myślał nad tym, co się dzieje obecnie w chacie, w której znikł Piotr Boulain wraz z żoną. Zapewne Marianna opowiada mężowi, co zaszło przed tygodniem. Malował sobie w wyobraźni gorączkowe podniecenie, z jakim zrzuca z serca gniotący ciężar. Widział, jak ciemnieje twarz Piotra. A między nimi na podłodze siedzi kaleki Andrzej, powtarzając jękliwie:

- Czy widział kto Czarnego Rogera Audemarda? Carrigan uśmiechnął się złowieszczo. Uprzytomnił sobie swój właściwy charakter i powód, który go pchnął na daleką Północ. Należało skończyć z romantyzmem, roztkliwieniem, pomyśleć o obowiązku i służbie. Marianna, Piotr Boulain i potworny kaleka Andrzej byli stanowczo związani w jakiś sposób z Rogerem Audemardem, najbardziej zbrodniczym typem w tych stronach. Batisi zapewne również coś wiedział...

Pomyślał o czekającej go walce, o tym, co nastąpi w razie wygranej i rysy mu stwardniały. Ponurym wzrokiem obwiódł kajutę. Wspomnienie Marianny wyzierało zewsząd, jednak postanowił już, iż bez względu na nią, doprowadzi grę do końca.

Gdy nieco później wyszedł na pokład, Batisi cały spocony pracował u rudla. Rzuciwszy wzrokiem na policjanta, natychmiast dostrzegł w nim ogromną zmianę. Stanowczo Carrigan wyglądał teraz zupełnie inaczej niż przed godziną i Metys, mający już na końcu języka zjadliwy dowcip, nie odważył się przemówić. Carrigan pierwszy przerwał milczenie.

- Kiedy ten Piotr Boulain przyjdzie się ze mną zobaczyć? - spytał. - Jeśli każe mi długo czekać, sam go odwiedzę.

Twarz Metysa spochmurniała na moment. Potem zgięty nad rudlem, odpowiedział chichocząc ironicznie:

- Doprawdy, wybrałby się pan do niego, przeszkadzać zakochanym? To nieładnie!

Był odwrócony plecami, więc nie mógł widzieć, jak na policzki Dawida buchnęła fala krwi. Ale Carrigan miał pewność, że Batisi wypowiedział tych parę zdań nie przypadkowo, a rozmyślnie. Ogarnęła go wściekłość i szalona chęć natychmiastowego rękoczynu. Położył ciężką dłoń na ramieniu Metysa. Batisi

odwrócił głowę, spojrział w oczy policjanta i zrozumiał.

- Aż do chwili obecnej nie sądziłem, doprawdy, że walka z tobą sprawi mi tak wielką przyjemność - spokojnie przemówił Carrigan. - Jeśli chcesz, spotkanie może nastąpić jutro. Powiadom Piotra Boulaina, że proponuję rnu zakład. Postawię sam na siebie tak znaczną stawkę, iż wątpię, czy zechce ją pokryć. Bo, między nami mówiąc, podejrzewam, iż ten Piotr jest przede wszystkim wielkim fanfaronem, blagierem, jak i ty, Batisi. Mam go także za tchórza! Zapamiętaj moje słowa, Batisi. Piotr Boulain złąknie się mojej stawki.

Batisi nie odpowiedział nic. Uparcie patrzył ponad głowę Dawida. Zdawał się prawie nie słyszeć słów policjanta. Lecz raptem przemówił głosem pełnym radosnego podniecenia:

- E, do diabła, panie cietrzewiu! Zachowaj lepiej wielkie słowa na inną okazję. Patrz, Piotr Boulain sam spieszy, dać ci odpowiedź. Mam nadzieję, że ci karku nie skręci, gdyż to by nam zepsuło jutrzejszą zabawę!

Dawid odwrócił się w kierunku tratwy. Pomimo znacznej odległości rozróżnił Piotra Boulaina, wsiadającego właśnie do czółna. Znajdował się już w nim jeden człowiek, skurczony dziwacznie: niewątpliwie garbaty Andrzej. Marianny nie było nigdzie widać.

Batisi delikatnie trącił Carrigana w ramię.

- Proszę wejść do kajuty - powiedział. - Jeśli cokolwiek się stanie, lepiej, żeby tego nie widziało wielu ludzi. Rozumie pan, panie policjancie?

Dawid skinął głową.

- Rozumiem - rzekł poważnie.

Szalony zakład

W kajucie Dawid czekał.

Nie wyglądał oknem, by obserwować zbliżającego się Piotra Boulaina. Usiadł w fotelu i wziął do ręki jedno z pism ilustrowanych zalegających stół. Był teraz chłodny jak lód. Krew krążyła w nim normalnie i puls uderzał w regularnych odstępach. Nigdy bodaj jeszcze tak doskonale nie panował nad własnymi nerwami.

Piotr przybywał, by rozpocząć walkę. Na razie może niekoniecznie fizyczną, ale, tak czy inaczej, spotkanie nie mogło się skończyć pokojowo. Obecnie, gdy rozgrywka miała się lada chwila zacząć, Dawid był niemal pewien, że Boulain nie

pójdzie na lep jego propozycji. Mając więźnia absolutnie w swojej mocy, byłby szalonym ryzykantem, przystając na jakikolwiek targ. Istniało przecież rozwiązanie proste i łatwe, to, które proponował Batisi: kamień u szyi i koniec!

O burtę statku zachrobotało małe czółno. Carrigan usłyszał głosy; jeden z nich musiał należeć do Piotra Boulaina. Rozprawiano najpierw donośnie, później coraz ciszej. W ten sposób upłynęło pięć minut. Wreszcie drzwi otwarły się szeroko i Piotr wszedł.

Dawid wstał wolno i bardzo spokojnie, podczas gdy Piotr Boulain zamykał za sobą drzwi. Był gotów do walki, pewien, że wrogie kroki rozpoczną się zaraz, toteż zachowanie przeciwnika zdziwiło go, choć niczym nie okazał tego zdziwienia.

W jaskrawym świetle zachodu, płynącym przez otwarte okno, Piotr Boulain trwał bez ruchu, spoglądając na Carrigana. Nosił szarą, flanelową koszulę, rozchełstaną na szerokiej piersi; wspaniała głowa, uwieńczona rudawą czupryną, była osadzona na potężnych barach. Lecz przede wszystkim przykuwały uwagę oczy - głębokie, siwe, odbijające blask słońca niby polerowana stal. W chwili obecnej jednak nie zdradzały żadnych wrogich zamierzeń. Najwidoczniej olbrzym nie był ani podniecony, ani zły. Postawa Carrigana nie zdawała się też go irytować. Uśmiechał się. Na twarzy miał wyraz chłopięcej niemal ciekawości. Nagle stąpił naprzód, przyjaźnie wyciągając dłoń.

- Jestem Piotr Boulain - rzekł. - Słyszałem o panu bardzo dużo, sierżancie Carrigan. Stanowczo nie miał pan szczęścia ostatnimi czasy!

Gdyby przeciwnik zaczął od gróźb, Dawid czułby się o wiele mniej zmieszany, lecz to wesołe pozdrowienie było jednocześnie beczelnie rozbrajające. Nie pokazał jednak po sobie żadnego z szarpiących nim uczuć. Był po dawnemu chłodny i surowy. Ani myślał podać ręki, co widząc Piotr najnaturalniej w świecie skierował wyciągniętą rękę ku skrzynce cygar.

- To zabawne - przemówił jakby sam do siebie. - Wracam do domu, znajduję ma belle Jeanne w I najgorszych tarapatkach, w jej pokoju mieszka obcy mężczyzna i ten drab nie chce mi nawet podać ręki! Do pioruna! Komedia, mówię! A przecież ocaliła mu życie, piekła mu ciastka, dała mu swoje własne łóżko i spacerowała z nim po lesie. Ach, cóż za niewdzięcznik!

Roześmiał się tak szczerze, że cały pokój zdawał się huczeć.

- Pan nosi chyba przy sobie kawał sznura z szubienicy! Bo daję słowo, ma pan kapitalne szczęście. Znam jednego tylko człowieka, dla którego moja Jeanne

zrobiłaby coś podobnego. Mógł pan zginąć za tą skałą... Mógł pan trafić do rzeki z kamieniem u szyi... Mógł pan...

Urwał wzruszając ramionami.

- A po tylu dowodach przyjaźni z naszej strony - ciągnął dalej po chwili - patrzy pan na mnie jak na wroga. Do licha, nic nie rozumiem!

Uśmiechnął się i Dawid odpowiedział również uśmiechem, choć bardziej chłodnym. Musiał przyznać, że Piotr Boulain to nie byle przeciwnik. Lubił zaś mieć do czynienia z ludźmi pełnymi sprytu i humoru, nawet wówczas, gdy wiedział, iż winien skończyć na założeniu im kajdan.

- Jestem sierżant Carrigan z Dywizji N. Królewskiej Północno-Zachodniej Konnej Policji - rzekł, powtarzając tradycyjną formułę. - Siadaj, Piotrze Boulain, chcę ci powtórzyć, co zaszło. Po czym...

- Nie, nie, to zbyteczne! Słuchałem już całą godzinę, a nie znoszę, by mi po dwakroć powtarzano jedno i to samo. Pan należy do policji? Uwielbiam policję! To dzielni ludzie, a wszyscy dzielni ludzie są moimi braćmi. Tropi pan tego łotra Rogera Audemarda, nieprawdaż? Nad rzeką został pan ranny? Ma belle Jeanne usiłowała pana zabić? Pomyliła się. Myślała, że to kto inny. Dalej także wiem wszystko. Batisi zdurniał. Powiem mu parę przykrych słów za to, że chciał pana utopić. Zresztą i tak musiał słuchać Marianny. Ona ma miękkie serce, a pan taki ładny i dzielny chłop. Nie zazdroszczę panu, broń Boże! Zazdrość powoduje kwasy i waśnie! A my musimy zawrzeć przyjaźń. Tylko jako mój druh może pan trafić do zamku Boulainów nad Jellowknife. Właśnie tam jedziemy!

Carrigan uśmiechnął się i przysuwając sobie krzesło, siadł. Myślał, że skoro zdołał zachować dobry humor, leżąc skulony za skałą, pod gradem kul - potrafi to uczynić i teraz. A kto wie, czy wtenczas, czy w chwili obecnej był bliższy śmierci. Pochylony przez stół rzekł:

- Nie jedziemy wcale do zamku Boulainów. Zatrzymamy się w forcie MacMurray, gdzie ty, Piotrze Boulain, i twoja żona odpowiecie na szereg pytań. A oto pierwsze dwa pytania: dlaczego ona usiłowała mnie zabić i co oboje wiecie o Czarnym Rogerze Audemardzie?

Oczy Piotra Boulaina, wciąż uparcie wlepione w twarz Carrigana, zmieniły się raptem. Z błękitnych stały się stalowe. I głos jego, gdy przemówił, był mniej dźwięczny, jakby tający coś: obawę, nienawiść czy groźbę.

- Po co przekomarzać się jak dzieci? - zaczął wolno. - Dlaczego nie mówić

raczej otwarcie, po męsku? Idzie panu o tego kalekę Andrzeja i jego nieprzytomny bełkot? Toż Marianna wyjaśniła przecie, że znalazłem go w lesie, niespełna rozumu. A co do niej samej, powtarzam, to była pomyłka. Co za pomyłka, dlaczego w ogóle strzelała, nie powiem, raczej zginiemy obaj. A co pan by zrobił, będąc na moim miejscu?

- Walczyłbym! - odparł Carrigan bez namysłu. Czuł, że zrećźnie zarzucił sieć i że zdobycz w nią wpadnie. - Na swoim miejscu będę walczył również. Zna pan nasze prawo? Albo umrzeć, albo spełnić obowiązek. Nie jestem głupcem i doskonale ogarniam sytuację. Może się pan mnie pozbyć bardzo łatwo, ale wątpię, by pan to uczynił. Nie robi pan wrażenia mordercy!

Urwał, czekając. Boulain, uśmiechnięty znowu, wzruszył ramionami.

- Oczywiście, mógłbym pana zabić - rzekł pogodnie. - Sądzę jednak, że istnieje lepsze wyjście. Nie tylko umarli milczą. I coś mi się zdaje, panie Carrigan, ba, nawet pewien jestem, że w krótkim czasie z dobrej woli zachowa pan w tajemnicy to, co zaszło w ciągu ostatnich dziesięciu dni. Będzie pan milczeć jak grób, choć i bez przymusu.

Wstał, przeciąwszy pokój podszedł do fortepianu, ujął ostrożnie leżącą na klawiaturze batystową chusteczkę i po chwili umieścił ją znów na dawnym miejscu.

- Więc myślę tak! - kończył. - Zabiorę pana do naszego zamku i jeśli po dwumiesięcznym pobycie zechce pan jeszcze służyć prawu - pozwolę sobie w łeb strzelić. Zgoda?

- Mam lepszy plan - odparł Dawid wolno. - W każdym razie mniej przewlekły. Ale najpierw chciałbym wiedzieć, kim tu właściwie jestem. Jeńcem?

- Gościem, zaledwie trochę ograniczonym w ruchach - poprawił uprzejmie Piotr Boulain.

Spojrzenia ich spotkały się, patrzyli obaj bez drgnienia powiek.

- Jutro mam się bić z Batisim! - rzekł Carrigan. - Takie małe spotkanie dla rozrywki pańskich ludzi. Tu mówią, że Batisi jest najlepszym zapaśnikiem w dolinie trzech rzek. Otóż nie lubię, by w mojej obecności ktokolwiek przywłaszczał sobie ten tytuł.

Piotr Boulain po raz pierwszy zdradził pewien frasunek. Twarz mu ściemniała i z goryczą wzruszył ramionami. Gdy przemówił, głos jego brzmiał smętnie. Ruchem głowy wskazując okno, rzekł:

- Proszę pana, gdy moi ludzie dowiedzieli się, że jakiś obcy gotów jest

walczyć z Batisim, przestali niemal spać i jeść. Robili zakłady na ślepo, nie widząc pana nawet, aż postawili wszystko, co mieli, nie wyłączając łańców na grzbiecie. Modlą się prawie, by Batisi niezbyt szybko pana zjadł, by było na co popatrzeć. Dawno już nikt nie zgadzał się mierzyć z tym siłaczem. Serce mi krwawi, że muszę tego spotkania zabronić!

Skończywszy przemowę wstał i podszedł do okna. Nie usiłował bynajmniej ukryć złego humoru. Wyglądał jak chłopak pozbawiony ulubionej rozrywki.

Dawid uśmiechnął się.

- Widzę, że i pan również żałuje tej zabawy? - zagadnął.

Boulain odwrócił się szybko, oczy mu błyszczały.

- Na Boga! Pewno, że żałuję! - wybuchnął. - Dałbym pół życia, by widzieć wasze spotkanie, byle Batisi nie zakończył go zbyt prędko. Co może być piękniejszego nad dobrą walkę dla sportu, gdy w grę nie wchodzi nienawiść!

- W takim razie będzie pan miał tę przyjemność.

- Batisi pana zabije, panie Carrigan. Jakże się panu równać z takim siłaczem?

- Nic mi nie zrobi! Przeciwnie, ja go będę bił poty, aż się ukorzy!

- Nie zna pan tego Metysa. Sam zmagalem się z nim dwukrotnie po przyjacielsku i pobił mnie!

- A jednak ja go zwyciężę! - rzucił Carrigan, ostro wybijając słowa. - Jestem tego tak pewien, że stawię o zakład nawet życie własne.

Twarz Piotra pojaśniała, lecz po chwili zmierzchnęła znowu.

- Marianna kazała mi przyrzec, że nie dopuszczę do walki - bąknął.

- Po co się wtrąca do spraw, które powinny obchodzić jedynie mężczyzn?

Boulain parsknął nieszczerym uśmiechem. - Ma dobre serce! Poza tym był pan niedawno chory...

- A jednak będziemy walczyć! - upierał się Dawid. - Chyba że nam pan zwiąże nogi i ręce. Co do mojej stawki...

- Mam nadzieję, że pan zrozumie, że...

- Prawda! Cóż pan takiego chce postawić?

- Nie byle co! Bo też walka bez zakładu jest jak fajka bez tytoniu!

- Racja! No, więc...

Dawid zbliżył się nieco i oparł dłoń na ramieniu przeciwnika.

- Czy wy rozumiecie, co właściwie ryzykuję ze swej strony? - zaczął. - Jeśli Batisi mnie zmoże, przepadnę w lasach i nigdy nie wspomnę nikomu o tym, co zaszło

za skałą i później, aż po dziś dzień. Prawo nie dowie się nigdy o usiłowanym morderstwie ani o tym, że pewien garbus pyta wciąż o Rogera Audemarda.

Umilkł i czekał. Piotr Boulain milczał, lecz jego twarz, wyrażająca najpierw silne zdumienie, poczęła się z wolna rozpalać wewnętrznym ogniem. Słowa policjanta musiały go głęboko dotknąć.

- Natomiast jeśli wygram - ciągnął Dawid niedbale, czyniąc pół obrotu w stronę okna - chciałbym otrzymać w zamian rzecz równie cenną. Jeśli wygram, będzie pan musiał mi wyznać, dlaczego pańska żona usiłowała mnie zabić, oraz będzie musiał opowiedzieć wszystko, co panu wiadomo o Rogerze Audemardzie. Oto i cała rzecz! Stawki są bodaj równe, choć sam pan przyzna, że zapaśnicy równi nie są.

Nie patrzył na przeciwnika. Słyszał natomiast jego ciężki oddech. Jakiś czas milczeli obaj. Na zewnątrz cicho pluskała woda, z dala słychać było ludzkie głosy, na tratwie naszczekiwał pies.

Dawid miał wrażenie, że cała jego przyszłość zależy od wyniku tych paru chwil. Ukradkiem spojrzął na Piotra. Rudowłosey olbrzym nie odrywał wzroku od drzwi kajuty. Zdawało się, że przez deski usiłuje dojrzeć potworną sylwetkę Batisiego, schyloną nad ruf dłem.

Raptem odwrócił się do Carrigana.

- Niech pan mnie posłucha - zaczął. - Dzielny z pana chłop. Prawdziwy mężczyzna, przyznaję. Więc zrobimy obaj zakład, po męsku. Po co do tych spraw mieszać kobiety. Ustalmy tak: jeśli pan zwycięży Batisiego, co jest wierutnym absurdem, powiem panu wszystko, co wiem o Czarnym Rogerze Audemardzie. Ale nic ponad to! Zgoda?

Dawid z wolna wyciągnął rękę. Ich prawice zacisnęły się jak stalowe kleszcze.

- Zatem spotkanie nastąpi jutro! - powiedział Piotr. - Dostanie pan takie cięgi, że ślady przetrwają do końca życia. Przykro mi. Wolałbym widzieć w panu przyjaciela, a nie wroga. A i Marianna nigdy mi tego nie daruje. Za to moi ludzie... Do pioruna! Ci się dopiero ucieszą!

Ręce ich się rozplotły. Boulain skręcił ku drzwiom i po chwili Dawid został sam. Trwał czas jakiś w zadumie. Nagle drgnął. Z pokładu, dźwięcznie i donośnie, buchnął junacki wesoły śmiech Piotra Boulaina.

O zmroku

Dawid stał dłuższy czas w oknie i obserwował łódź oddalającą się w kierunku tratwy i dwu ludzi siedzących w niej: Piotra Boulaina oraz garbatego Andrzeja. Płynęli wolno, jak gdyby Piotr zwlekał rozmyślnie, czy też był pogrążony w zadumie.

Zaduma ta nie musiała być jednak smutna. Toć przed chwilą jeszcze rudowłosy olbrzym śmiał się beztrąsko jak dzieciak. Był widać pewien, że wbrew wszelkim komplikacjom ostateczne zwycięstwo przypadnie właśnie jemu.

Carrigan przeniósł oczy z łodzi na tratwę, a z tratwy na morze zieleni, porastające brzeg; wzrok ginął w jasnych wierzchołkach topoli i brzoź oraz ciemniejszych czubkach drzew iglastych. Puszcza roztaczała się w krąg, na cztery strony świata, tając w swej głębi niezliczone tragedie. Dawid pomyślał raptem, iż powinien właściwie dać nurka w tę topiel i przepaść na zawsze. To było bodaj jedyne rozwiązanie - najuczciwsze.

Z tylnego pokładu huknął śpiew. Batisi pełną pierśią wywodził jakąś dziką pieśń. Ten głos przywołał Carrigana do rzeczywistości. Wzdrygnął się. Dobrze tu myśleć o ucieczce w knieję. Ba, a prawo? A ta, tak zwana sprawiedliwość, której służy?

Przeniósł znów oczy na łódkę. Mknęła teraz szybciej. Andrzej skulony na rufie, zapalczywie robił wiosłem. Piotr Boulain, wyprostowany, machał dłonią w kierunku tratwy. Z chaty wyszła jakaś postać. Dawid rozróżnił kobietą suknię i biały płatek na głowie. Marianna, oczywiście! Przygryzł wargi i odstąpił od okna.

W ciągu następnej godziny rozmyślał nad tym, co się dzieje obecnie między mężem a żoną. Barka wyprzedzała nieco tratwę, trzymając się wciąż w jednakowym, nieznacznym oddaleniu, i Carrigan dwukrotnie przykładał do oczu lornetkę, lecz nikt się nie pojawiał. O zmierzchu dopiero Piotr Boulain wyszedł z chaty, sarn jeden.

Jego donośny głos huknął nad rzeką i tratwa wnet zawrzała życiem. Ludzie wysypywali się zewsząd. Umocowano około tuzina dodatkowych wiosł, które poczęły wnet błyskać w zachodzącym słońcu. Pracy towarzyszył najpierw hałaśliwy gwar, potem, jak na komendę, buchnęła pieśń.

Po chwili ludzie z barki zaczęli również śpiewać, a Piotr Boulain, widoczny z daleka, grzmącym głosem ciskał rozkazy. Dawid bez trudu domyślił się, co nastąpi dalej. Olbrzymia tratwa gotowała się do nocnego postoju. O ćwierć mili na przedzie rzeka poszerzała się znacznie, a jeden jej brzeg schodził ku wodzie szerokim pasmem piachu. Tam właśnie kierowano tratwę. Parę czółen wysforowało się na przód, by

zarzuciwszy kotwice holować bliżej ciężki, drewniany pomost. Po upływie dwudziestu minut pierwsi flisacy skoczyli na ląd, opasując linami najbliższe drzewa.

Dawid z uśmiechem obserwował wyteżoną pracę i dopiero po pewnym czasie zdał sobie sprawę z raczej dziwnego faktu. Barkę cumowano również do brzegu, lecz z innej strony; pomiędzy nią a tratwą legła zatem cała szerokość rzeki.

W miarę jak mrok gęstniał, Carrigan coraz silniej odczuwał przykrą samotność. Oparty o futrynę okna obserwował ogniska zapalające się naprzeciw. Spirale dymu krążyły w powietrzu. Raz po raz dolatywały wesole krzyki. Wieczorna pora była dla flisaków chwilą radosnego wytechnienia.

Carrigan spojrział na zegarek. Minęła siódma. Po upływie godziny mniej więcej jakiś obcy drab przyniósł mu kolację. Zjadł, nie bardzo rozumiejąc, co je. Po trzydziestu minutach tenże człowiek przyszedł zabrać naczynia.

Gdy powrócił do okna, noc jeszcze nie zapadła. Ogniska na drugim brzegu płonęły jaskrawiej. Było mu rozpaczliwie smutno. Myślał o Mariannie, o tym, co ona teraz robi. Czy zapomniała, czy mogła zapomnieć chwile spędzone wspólnie: rozmowy, spacer po lesie i to przejście przez strumień...

Niebo ciemniało gwałtownie. Po jasnym dniu chmury gromadziły się na horyzoncie, gasząc światelka gwiazd. Gdy Dawid odwrócił się od okna, w izbie było tak czarno, że nie widział nic. Nie zapalając lampy, po omacku, dotarł do jednej z otoman i ciężko usiadł.

Las szumiał uroczyście. Woda chlupotała o burty. Jakieś nocne ptaki pokrzykiwały w gąszczu. Dawid siedział długi czas pogrążony w zadumie. Nagle usłyszał szereg dźwięków: ludzkie głosy i plusk wiosł. Pod jego oknem przemknęła łódź, dążąc w stronę brzegu. Po chwili wróciła tą samą drogą i za chwilę nastąpiła cisza.

Wtem Carrigan drgnął, wyprostował się i przez mrok począł szukać oczyma drzwi. Nagle doznał takiego wstrząsu, że aż serce poczęło wyczyniać niesamowite harce. Oto po drugiej stronie ściany usłyszał Mariannę rozmawiającą z Batisim.

Ktoś ostro stuknął w drzwi i otworzył je szeroko. Na jaśniejszym tle zamajaczyła kwadratowa sylwetka.

- Panie! - ozwał się głos Metysa.
- Jestem! - odparł Carrigan.
- Nie położył się pan jeszcze?
- Nie!

Ciężkie kroki zadudniły po pokładzie. Batisi oddalił się, ale we drzwiach ktoś mimo to pozostał, ktoś szczupły i drobny.

Carrigan czuł, że robi mu się gorąco. Sekundy płynęły w milczeniu. I raptem...

- Proszę zapalić lampę - przemówił dźwięczny kobiecy głos. - Chcę wejść, ale boję się ciemności Carrigan wstał, sztywnymi palcami niezdarnie szukając w kieszeni zapalek.

Noc

Zapaliwszy pierwszą z wielkich lamp, Carrigan nie odwrócił się do Marianny. Natomiast podszedł do drugiej lampy i zapalił ją również, zalewając tę część izby potokiem światła.

Wtenczas dopiero spojrzał na kobietę. Stała wciąż jeszcze w progu, obserwując go badawczo. Doznał wrażenia, że jest nieco blada i oczy ma jakby strwożone. Poza tym jednak nie wyglądała na istotę nieszczęśliwą.

Dawid uśmiechnął się i skinął jej głową; odpowiedziała również uśmiechem i skinieniem. Potem spytała:

- Dlaczego siedzi pan w ciemności? Czy nie oczekiwał pan wcale mojej wizyty? A jednak powinnam była przecież przyjść i przeprosić, że tak niespodzianie pozostawiłam pana samego w lesie! To było niegrzecznie i wstydziłam się bardzo. Ale chwilowo straciłam zupełnie głowę.

- Ależ naturalnie, rozumiem - przerwał jej spiesznie. - Mąż pani to dopiero szczęśliwy człowiek. A pani jest szczęśliwą kobietą, że ma takiego męża.

- Wyrzuca mi, że zostawiłam pana bez pożegnania. Dowodzi, że nieładnie obchodzić się w ten sposób z gościem. Toteż wróciłam, by przeprosić...

- To było zupełnie zbyteczne!

- Ale pan tak siedział zupełnie sam w ciemności. Zresztą, jak pan wie, moja sypialnia również się **tu** znajduje, więc przyszłam powiedzieć dobranoc...

Dawid postąpił krok naprzód.

- Doprawdy, strasznie mi przykro - zaczął - Niechże pani zrozumie... Z jakiej racji ja znów zajmuję ten pokój? Proszę mi pozwolić spać w kuchence, na podłodze, gdzie bądź... A pani z mężem...

- Piotr nie porzuci tratwy - przerwała Marianna, odwracając się od stołu i poczynając przerzucać nagromadzone pisma. - A ja lubię tę malutką izdebkę.

- Mąż pani...

Uciał w pól zdania, widząc, jak policzki kobiety pokrywa szkarłatny rumieniec. Czuł, że jeszcze parę słów i powie głupstwo, o ile już głupstwa nie powiedział. Teraz dopiero przyszło mu na myśl, że wizyta Marianny u niego, bezpośrednio niemal po powrocie męża, nie jest rzeczą normalną. Na tratwie musiało coś zająć. Coś przykrego dla obu stron, a może tylko dla jednej...

Dostrzegł, że kąciki ust Marianny drgają, jakby z trudem powstrzymywała uśmiech. Gdy spojrzała wreszcie na niego, w oczach jej igrały wesołe ogniki. Potem siadła w fotelu, wzięła z koszyka robótkę i poczęła migotać drutami. Wczorajszego dnia pochwalił jej uczesanie, inne niż zazwyczaj. Dziś, zapewne rozmyślnie, ułożyła włosy w ten sam sposób i wpięła w nie parę pąsowych kwiatów wspólnie zebranych w lesie.

- Piotr przywiózł mnie tutaj ■-■ zaczęła. - Jest teraz na brzegu. Omawia z Batisim jakieś ważne sprawy. Wstąpi nam powiedzieć dobranoc przed powrotem na tratwę.

Podniosła na Dawida oczy czyste jak oczy dziecka.

- A może by pan wolał zostać sam i pójść spać? Przecząco ruszył głową.

- O nie! Rad jestem, że pani przyszła. Obawiałem się...

Urwał zmieszany.

- Obawiał się pan, że co? - nacierała, nie zdejmując z niego wzroku.

- Że nie zechce mnie już pani więcej odwiedzić. Czy mąż mówił pani o naszej rozmowie?

- Szczegółowo nie! Wspominał tylko, że z pana dzielny chłop. Ma rację!

- A powiedział pani, że moje spotkanie z Batisim będzie miało miejsce jutro rano?

- Tak!

Wymówiła to słowo z pełnym spokojem, nawet bez szczególnego zainteresowania. Patrząc na nią, trudno mu było uwierzyć, że kiedykolwiek kwestia jego walki z Metysem mogła, ją żywiej obchodzić.

- Obawiałem się, że pani zaprotestuje - powiedział. - W obecności kobiety podobne rzeczy nie powinny właściwie mieć miejsca.

- Albo w obecności kobiet. Ale skoro Piotr twierdzi, że tak powinno być, zatem wszystko w porządku.

I raptem usta jej się zatrzęsły, a oczy przybrały wyraz pełen żalości.

- Nie trzeba o tym mówić, nie trzeba! - wybuchnęła gwałtownie. - On pana strasznie pokaleczy. Dość będzie zmartwienia jutro. Dziś myślmymy o czymś innym!

Skoczyła do fortepianu, usiadła i jęła przebierać palcami po klawiszach. Potem zaśpiewała. Głos miała słaby i nie uczony, za to tak miły i dźwięczny, że Dawid mimo woli prawie podszedł bliżej. Widział jej profil, bardzo piękny w bocznym oświetleniu; chwilami, gdy przechylała głowę w tył, włosami muskała mu ubranie.

Nuciła cicho, jakby wyłącznie dla niego. Niejednokrotnie słyszał pieśń kanadyjskich wioślarzy, nigdy jednak nie robiła na nim tak silnego wrażenia, jak obecnie.

- Z daleka, bardzo cicho, wieczorny płynie dzwon.

Rytmicznie pluszcza wiosła i głosy nucą w ton. Gdy mgła pokryje brzegi, aż po wierzchołki drzew, Na cześć patronki naszej chóralny zabrzmie śpiew. Wiosłujmy bracia raźniej, prąd coraz szybciej mknie.

Porohy tuż przed nami, a dzień już kończy się.

Przestała śpiewać. Smukłe palce drżały na klawiaturze. Dawid pochylił się nieco ku przodowi. Zapach fiołków uderzał mu w twarz i mącił zmysły.

- To pani pieśń... - szepnął, nie wiedząc, co mówi.

Pochylił się jeszcze niżej... I raptem uczuł, że nie są już sami, że w izbie znajduje się ktoś trzeci. Spojrzał ku drzwiom. Musiały się przed chwilą otworzyć bezszelestnie, gdyż stał w nich Piotr Boulain. W oczach miał dziwny wyraz.

- Do pioruna, ponure z was towarzystwo! - przemówił gromko. - Cisza i półmrok. Ech, Marianno, zaśpiewaj coś wesołego. Choćby moje ulubione „En roulant ma boule”.

I nagle huknął sam tak donośnie, że się ściany zatrzęsły:

- Swobodnie, rześko wicher dmie,

En roulant ma boule.

Kochanka piękna czeka mnie.

Rouli, roulant ma boule roulant.

Źródło za chatą mieni się.

Po wodzie dzika kaczka mknie.

Królewski syn na łów iść chce.

Karabin cały srebrzy się.

Dawid patrzył na Mariannę. Wstała i śmiejąc się, zatkała palcami uszy. Nie

wyglądała bynajmniej na zmieszaną, tylko w głębi oczu miała jakąś ukrytą myśl, której nie mógł wyczytać.

Piotr umilkł wreszcie i niedbale poklepał żonę po ramieniu jedną ze swych olbrzymich łap.

- Masz rozkoszny głosik, kochanie, najmilszy pod słońcem. A teraz dobranoc ci, muszę wracać na tratwę!

Marianna ściągnęła brwi z pewnym niezadowoleniem.

- Coś ci się bardzo spieszy?

- Masz rację. Spieszy mi się istotnie. A cóż ty zamierzasz robić?

- Powiedzieć panu dobranoc i iść spać. Odprowadzisz mnie przynajmniej do mego pokoju, Piotrze?

Wyciągnęła rękę po dłoń Dawida i uściśniła ją serdecznie. Patrzyła mu w oczy przyjaźnie i bez zmieszania.

Wyszli. Po chwili głos Piotra Boulaina zahuczał znów na pokładzie, niby spiżowy dzwon. Dawid słyszał, jak otwierają się i zamykają drzwi drugiej kajuty, a w minutę później plusk wioseł obwieścił mu, że Piotr odpływa od barki.

Jakiś czas trwała cisza, po czym znad mrocznej toni, między statkiem a tratwą, rozbrzmiał znów junacki śpiew:

- En roulant ma boule...

Carrigan wychylony przez okno chwycił słowa pieśni i wydawało mu się, że tuż obok jakiś głos jej odpowiada.

Przez okno

Wraz z nadchodzącą burzą niepokój Carrigana rósł. Ogniska na przeciwnym brzegu rzeki zamierały jedno po drugim. Z dala huczał niski grzmot. Powietrze stało się ciężkie i gęste. Las milczał: żadne zwierzę ani ptak nie śmiało naruszyć groźnej ciszy. Dawid zgasił lampy w kajucie i siedząc przy oknie - dumiał.

Nie czuł najmniejszej chęci snu; był pewien, że choćby się położył, nie zaśnie. Nerwy i mięśnie natarczywie żądały ruchu i czynu. Trudno mu było uwierzyć w to, co widział i słyszał, lecz trudniej jeszcze zaprzeczyć świadectwu rzeczywistości.

Miłość Piotra Boulaina do żony była co najmniej - dziwna. Traktował ją nie jak kobietę, którą się kocha, lecz jak drogie dziecko. Był pobłażliwy i niedbały, bez cienia namiętności. Zazdrość zdała się w nim nie istnieć zupełnie.

Przypomniął sobie żalony wyraz oczu Marianny i wydało mu się, że rozumie jego znaczenie. Musiała teraz płakać samotna w swej izdebce. A Piotr Boulain wrócił na tratwę, śmiejąc się i śpiewając na całe gardło.

Lecz jakże pogodzić zachowanie Piotra z radosną tęsknotą Marianny? Czekwała niecierpliwie powrotu męża, głęboko wierząc, iż ten rudowłosy olbrzym zaradzi wszystkim trudnościom i rozwikła wszystkie zagadnienia. Musiała go niezmiernie kochać, podczas gdy on sam był tylko łaskawym władcą, obojętnym, i niemal brutalnym w swej wyższości.

Silny łoskot grzmotu uprzytomnił Carriganowi bliskość nadchodzącej burzy. Wstał, nie zdejmując oczu ze ściany poza którą musiała spoczywać Marianna. Roześmiał się. Głupi był, zaprzatając sobie głowę rodzinnymi sprawami tych dwojga. Głupi i niedyskretny. Gdyby Marianna wiedziała, o czym on teraz myśli, poradziłaby mu zapewne, by się raczej zajął własnym losem.

Odsunął siatkę i wychylił się do pół ciała przez okno. Było tak ciemno, że nie mógł dostrzec wody, płynącej niemal na odległość ręki. Natomiast poprzez rzekę widział jeden żółty punkt: nikłe światło płonące na tratwie. Musiało gorzeć w okienku chaty, a w tej chacie był zapewne Piotr Boulain.

Na dłoń pacnęła mu wielka kropla deszczu; nad lasem słyszał już szumiący pochód ulewy. Gdy nawałnica nadeszła, jednolitej czerni nie rozjaśniła żadna błyskawica. Potop runął tak zwartymi strumieniami, że zdawało się, że można je ciąć nożem.

Carrigan cofnął się nieco w głąb izby i zaczął zrzucać odzież. Po krótkiej chwili stał znów w oknie, całkiem nagi. Grzmot huczał teraz donośnie i błyskawice darły niebo. Przy ich świetle Carrigan usiłował dostrzec tratwę. Opanowała go szalona chęć, by korzystając z burzy skoczyć w wodę i zobaczyć, co też porabia Piotr Boulain. Myślał, iż podobne przedsięwzięcie nie nastreczy zbyt trudności, będzie natomiast swego rodzaju treningiem na jutro.

Jak borsuk wyłazący ze zbyt ciasnej jamy, Carrigan wyslizgnął się na zewnątrz. Jaskrawa błyskawica schwytała go przy tej czynności, toteż co prędzej przywarł do ściany w obawie, że inne oczy mogą również obserwować burzę. W czasie ciemności, jaka wnet na stała, ostrożnie podpełzł ku rzece, dał nurka i popłynął, kierując się ku przeciwległemu brzegowi.

Skoro wynurzył się na powierzchnię, nowa błyskawica płonęła na niebie. Carrigan wybrał punkt nieco powyżej tratwy i cicho, a silnie rozgarniając wodę, jął

się posuwać naprzód. W ciągu dziesięciu minut przecinał nurt, nie unosząc głowy. Potem, w obawie iż zmyli kierunek, dał się wlec prądowi, czekając nowej błyskawicy. Gdy ta odeszła, dostrzegł tratwę oddaloną zaledwie o sto jardów. W ciągu następnego okresu zupełnej ciemności namacał krawędź związanych bali i wydzwignął się na pomost.

Grzmoty uporczywie posuwały się na zachód. Dawid skulony czekał, by nowa błyskawica ukazała mu otoczenie. Błysnęło wreszcie, lecz tak daleko, że można było zaledwie rozróżnić mgliste zarysy namiotów i schronisk. Ale i to starczyło dla określenia, gdzie stoi chata Piotra Boulaina.

Dawid przeleżał jednak dłuższy czas bez ruchu. Wszędzie panowały cisza i ciemności. Flisacy musieli zapewne głęboko spać. Prawdę rzekłszy, nie miał określonych projektów co do dalszego ciągu swej eskapady. Wymknął się z barki nieco na oślep, podświadomie licząc na jakieś ciekawe odkrycie. Ale trudno było przecież zapukać wprost do drzwi chaty i prosić gospodarza o rozmowę.

Zaledwie to pomyślał, skądś lunął potok światła, zasłonięty wnet szerokim cieniem. Dawid błyskawicznie zwrócił oczy w kierunku nieoczekiwanej jasności. Drzwi chaty były otwarte, a w progu stał Piotr Boulain, mając poza sobą płonąca lampę.

Rudowłosy olbrzym badał najwidoczniej pogodę. Carrigan usłyszał po chwili jego stłumiony śmiech i głos przeznaczony dla kogoś innego, znajdującego się w głębi izby.

- Ależ ciemno - mówił. - Choć nożem krajać.

Jednak chmury idą na zachód. Za parę godzin, kochanie, zaświecą gwiazdy.

Cofnął się do chaty, zamykając drzwi. Dawid czuł, jak mu zdumienie zapiera oddech w piersi. Kogóż to Piotr Boulain nazwał „kochanie”? Mariannę oczywiście! Zadrwili z niego nie wiadomo po co i pod osłoną nocy odjechali razem na tratwę.

Wstał i prostując się, otarł z twarzy ciepłe strugi deszczu. Uśmiechnął się złowrogo. Zdziwienie łączyło się z gwałtowną chęcią natychmiastowego czynu. Po chwili namysłu doszedł do przekonania, że hipokryzja przeciwników miała głębsze podłoże. Widocznie stanowiła określony system gry. Jako przedstawiciel władzy miał obecnie obowiązek stwierdzić, co ich skłoniło do podobnego postępowania. Od właściwej oceny ich wzajemnego stosunku mógł zależeć wynik walki.

Przed godziną jeszcze dałby sobie raczej rękę uciąć, niż się zgodził, szpiegować Mariannę. Teraz, sunąc w kierunku chaty, nie czuł żadnych wyrzutów

sumienia. Przewrotność tej kobiety dozwalała na użycie wszelkiej możliwej broni.

Deszcz niemal całkiem ustał i w jednym z pobliskich namiotów Dawid ułowił senną gawędę. Lecz nie; bał się wcale, że go spostrzegą. Wiedział, że noc po - jaśniej nieprędko, a bosymi stopami stąpał tak cicho, że najbardziej czujny pies nie usłyszałby go z odległości paru metrów. Dotarłszy do chaty, przystanął w pobliżu drzwi, w ten sposób jednak, że ktoś wychodzący niespodzianie nie mógł go zauważyć.

Wyraźnie słyszał głos Piotra, choć nie umiał rozróżnić słów. Po chwili zadźwięczał wesoły śmiech kobiecy. Dawid doznał wrażenia, że chłodna dłoń gniecie mu serce. W śmiechu brzmiało samo szczęście.

Piotr zbliżył się do drzwi, przez co głos jego stał się bardziej wyraźny:

- Kochanie - mówił - to doprawdy najlepszy kawał mego życia. Jesteśmy bezpieczni. W najgorszym razie nawet znajdę jakieś wyjście. A ona, w swej naiwności, która mnie tak bawi, ani podejrzewa...

Oddalił się znów i Dawid daremnie usiłował uchwycić końcowe wyrazy. A rozmowa trwała nadal, przerywana wybuchami śmiechu.

Carrigan był pewien, że mówią o czymś ważnym i koniecznie chciał wiedzieć, o czym. Pomyślał, że chata posiada oczywiście okno i że to okno musi być otwarte. Muskając ręką ścianę, począł chatę okrążyć.

Wąska smuga światła częściowo potwierdziła jego przypuszczenia. Okno było jednak zamknięte i zawieszona firanką. Tylko że firanka, opuszczona niedbale, nie sięgała końca szyby.

Dawid przykucnął pod oknem, mając nadzieję, że wobec ciszy, która nastąpiła po ulewie, zechcą je przecież, otworzyć. Głosy dobiegały tu jeszcze słabiej; natomiast kobieta śmiała się raz po raz cichutko i melodyjnie, zupełnie inaczej niż poprzednio przy nim. Słuchając, mocno zaciskał szczęki i spoglądał w górę, na świetlistą smugę. Tamtędy mógł zajrzeć do środka. I postanowił, że tak uczyni. Ostatecznie były to rzeczy wchodzące w zakres jego praw i obowiązków.

Był rad, że firankę spuszczone tak nisko. Z własnego doświadczenia wiedział, że z wnętrza oświetlonej izby niepodobna go będzie zauważyć przez istniejącą szczelinę. Toteż bezpieczny zupełnie uniósł głowę, aż oczy jego znalazły się na odpowiednim poziomie.

W prostej linii przed sobą miał żonę Piotra Boulaina. Siedziała odwrócona plecami, zatem twarzy nie mógł dojrzeć. Była na wpół rozebrana i warkocze miała

rozplecione. Przypomnił sobie, iż mówiła mu kiedyś o złocistych ogniach, jakie się pojawiają w jej włosach, przy pewnym rodzaju oświetlenia. Widywał je istotnie w słońcu, ale nigdy nie były tak silne jak teraz. Nie zdejmował z niej oczu. Piotr Boulain, stojący obok żony, wyciągnął raptem rękę i pełną dłonią uchwycił migotliwe sploty. Roześmiał się. Kobieta wstała, zarzucając mu na szyję białe nagie ramiona. On przygarznął ją bliżej i pochylił głowę. Trwali tak długo, bez ruchu.

Potem kobieta cofnęła się, zalotnie wymykając z objęć mężczyzny i zwróciła twarz ku oknu. Carrigan z trudem zdławił w gardle krzyk. O krok zaledwie miał jej oczy, obnażoną szyję i piersi. Ukląkł, a potem nisko zgięty poczłapał na krawędź tratwy. Tu, mając rękę u samych nóg, przystanął. Nie mógł złapać tchu. Poprzez ciemność nocy szukał oczyma barki. Marianna Boulain, kobieta którą umiłował, była jednak tam, sama jedna, ze złamanym sercem.

W chacie, niepomny nakazów obowiązku i uczciwości, znajdował się Piotr Boulain, najpodlejszy człowiek pod słońcem, a z nim razem, kusząc go i pieszcząc, siostra powieszzonego zbrodniarza - Carmen Fanchet!

Zniewaga

Wstrząs, spowodowany niespodziewanym odkryciem, był równie nieoczekiwany, jak silny. Gdy oczy Carrigana padły na wpół obnażoną postać Carmen, policjant instynktownie odsunął się od okna. Teraz rozumiał, iż pośpiech był zgoła zbyteczny. Należało zostać i starać się ułować jaką cenną informację.

Nie miał jednak zamiaru wracać i na nowo podglądać przez szybę lub też nasłuchiwać u drzwi. Obraz, który mu się przewiniął przed oczyma, zanadto go wzburzył. Siedząc na krawędzi tratwy, z nogami w wodzie, nerwowo zaciskał pięści. Rzecz sama w sobie nie była nowa, przeciwnie, stara jak rzeka, lecz w danym wypadku oszołomiła go. Na razie nawet fakt, iż tą drugą okazała się Carmen Fanchet, cofnął się na drugi plan.

Duszą i sercem leciał poprzez toń ku barce, gdzie żona Piotra Boulaina pozostawała sama ze swym cierpieniem. W pierwszej chwili chciał mknąć ku niej; w następnej zamierzał wpaść do izby i tak jak stał, nagi i bezbronny, wyzwąć olbrzyma na śmiertelny pojedynek. W czasie służby policyjnej nie zdarzyło mu się nigdy dotąd nieszczęście zabicia człowieka, ale czuł, że teraz potrafi zabić bez skrupułów. Wpijał palce w oślizgłe bale i patrząc w ciemność leżącą pomiędzy nim a kobietą, którą

kochał, świecił oczyma jak wilk.

- Co Marianna wie - ta myśl obchodziła go przede wszystkim. Przypomniawsobie, jak mówiąc o jutrzejszej walce, wyraził ubolewanie, iż odbędzie się ona w obecności kobiety. Odpowiedziała na to zdaniem, którego nie zrozumiał i na które nie zwrócił na razie specjalnej uwagi. Obecnie pojął, że Marianna, robiąc aluzję do innej kobiety, miała na myśli Carmen.

Wiedziała zatem, że rywalka znajduje się na tratwie, ale, oczywiście, dziecięco czysta, nie podejrzewała prawdy. Dlaczegoż by bowiem broniła Carmen, gdy Carrigan potępiał ją w związku ze sprawą jej brata?

I, jak pogodnie, bez cienia niepokoju, wyglądała powrotu męża. Dopiero dziś wieczór, kiedy ten zegnał ją zbyt pospiesznie, zdradziła pewien żal.

A Piotr Boulain, ten potworny hipokryta, wyzuty z honoru i czci, jak sprytnie grał komedię. Nie dość sprytnie jednak. Carrigan przypomniał sobie obojętność, z jaką olbrzym traktował żonę, niedbały ton, z jakim wspominał o jej sympatii do jeńca. Ale Marianna, Marianna...

Po cichu zsunął się z tratwy w wodę i popłynął w kierunku barki. Miast gwałtownie przecinać prąd, jak to czynił za pierwszym razem, pozwolił mu się wlec i wylądował o ćwierć mili poniżej statku. Tu odczekał chwilę, podczas gdy gęstwa chmur nad głową rzedła, filtrując siny półmrok. Przy tym niepewnym oświetleniu odnalazł zwirowe pasmo ścieżki, wiodące ponad brzegiem. Zręczny i cichy niby cień dotarł potem do barki, by wleźć z powrotem przez swoje okno.

Zapaliwszy lampę, skręcił jej płomień jak najniżej i począł nacierać muskuły. Był gotów do jutrzejszej walki o to poczucie napęgnięto go dziką radością. Umiłowanie sportu skusiło go do wyzwania Batisiego - pół żartem zresztą, pół serio - ale teraz daleki był od podobnych pobudek. Bliskie spotkanie przestało być mało znaczącym wypadkiem; głupią awanturą, na którą się dobrowolnie porwał. Stawało się najważniejszym wyczynem mięśni, koroną życia, toteż czekał ranka z niecierpliwością czworonożnego drapieżcy, który wie, iż o świcie nie minie go zdobycz.

Wyobrażał sobie w podnieceniu, co za lawinę ciosów spuści na łeb przeciwnika. Ale twarz, którą widział, nie była twarzą Batisiego. Metys stał mu się w chwili obecnej doskonale obojętny. Nie czuł względem niego antypatii ani tym bardziej nienawiści. Skoro legł, usnął niemal natychmiast, a we śnie jawiło mu się raz po raz oblicze Piotra Boulaina.

Zbudził się, mając jeszcze świeżo w pamięci tę wizję. Słońce jeszcze nie wstało, ale odbłaski świtu barwiły już niebo na wschodzie. Dawid przyodział się szybko i starannie, na próżno nasłuchując odgłosów zza ściany. W małej izdebce na dziobie barki panowała zupełna cisza. Natomiast brzeg rzeki huczał gwarem. Ponad rzeką szły dalekie śpiewy, a przez okno widział białe słupy dymu, bijące z wczesnych ognisk.

Nieco później drzwi się otwały i Nepapinas wniósł śniadanie. Po upływie pół godziny, zachowując uparte milczenie, wrócił, by zabrać talerze.

Zjadłszy, Carrigan oddał się cały gorączce oczekiwania. Nie miał żadnych złych przeczuc. Każdy jego nerw i mięsień był gotów do walki. Przesycała go ufność w samego siebie, przekonanie o nieuniknionej wygranej, niebezpieczna niemal pewność bliskiego triumfu mimo fizycznej przewagi przeciwnika. Kilkanaście razy bodaj przykładął ucho do przepierzenia, dzielącego jego kajutę od izdebki Marianny, ale po drugiej stronie panowała wciąż niepodzielnie cisza.

Była ósma, gdy jeden z flisaków, pojawiwszy się we drzwiach, spytał, czy Carrigan jest gotów. Dawid, potwierdziwszy ochoczo, spiesznie wyszedł na pokład. Zapomniał o miękkich rękawicach spoczywających w plecaku, myślał jedynie o twardych pięściach i o ich bolesnych ciosach.

Idąc w ślad za przewodnikiem, wskoczył do łodzi, a flisak, ujmując wiosła, skierował się natychmiast ku przeciwnemu brzegowi. Gdy odbijali od barki, Dawid ułowił drgnięcie firanek w okienku kajuty Marianny. Uśmiechnął się i wykonał ręką powitalny ruch. Na to firanka rozsunała się całkowicie i choć Carrigan nie mógł zajrzeć do wnętrza izdebki, był pewien, że Marianna śledzi go wzrokiem.

Tratwa opustoszała zupełnie, lecz nieco poniżej, na szerokiej piaszczystej wydmie, wygładzonej i ubitej wiosenną powodzią, znajdował się tłum ludzi. Dawida zdziwił spokój ich zachowania, gdyż przyzwyczajony był do żywiołowych wybuchów namiętności tych pierwotnych natur. Podzielił się swym spostrzeżeniem z towarzyszem, który, wzruszając ramionami, odparł z uśmiechem:

- Piotr Boulain dał taki rozkaz. Piotr mówi, że na tym - jakże go? - pogrzebie należy zachować ciszę. Bo to będzie jeden wuelki pogrzeb, proszę pana.

- Rozumiem - skinął Dawid głową, ale bez uśmiechu.

Obserwował tłum. Oderwała się odeń właśnie olbrzymia postać, wolno zstępując ku wodzie. Był to Piotr Boulain. Zaledwie dziób czółna zgrzytnął na piasku, Dawid dał susa na brzeg i ruszył na spotkanie. Za Piotrem kroczył Batisi. Metys,

obnażony po pas, nosił krótkie spodnie, kończące się u kolan. Jego goryle łapy zwisały swobodnie, a potężne mięśnie barków lśniły w słońcu niby rzeźbiony mahoń. Wyglądał, jak grizzli wspięty na tylnych łapach, tak był pełen zwierzęcej siły. Należało go obejrzyć z daleka i cofnąć się przed nim.

Ale Dawid ledwie go zauważył. Natknąwszy się niemal na Piotra, stanął, przegradzając mu drogę.

Znajdowali się na odległość głosu od tłumu flisaków. Piotr uśmiechał się. Wyciągając szeroko rozwartą prawicę, tak jak wczoraj w kajucie, wymówił słowa powitania.

Carrigan nie odpowiedział nic; ani patrzył na podawaną rękę. Na chwilę oczy obu mężczyzn spotkały się, po czym ramię Dawida błyskawicznie strzeliło ku przodowi i dłonią z całej siły uderzył Piotra w twarz. Policzek trzasnął donośnie, jak wiosło bijące na płask po wodzie. Usłyszeli go wszyscy i podczas gdy Boulain się zataczał straciwszy równowagę - flisacy wydali jeden przeciągły okrzyk zdumienia.

Batise tkwił w miejscu oszołomiony zupełnie. Ale Piotr już w następnej chwili odzyskał przytomność i sprężył się do skoku niby dziki zwierz. Oczy mu płonęły, rysy wykrzywiła zwierzęca wściekłość. Wobec wszystkich swoich ludzi doznał najstraszliwszej obelgi. Każdą inną obrazę wolno było wybaczyć, ale nie tę. Nie pomszczony policzek kładł piętno hańby na całą rodzinę, do drugiego i trzeciego pokolenia włącznie. Nawet dzieci drwiły z tchórza, który nie zażądał satysfakcji, i ściagały go okrzykiem: „żółte plecy, żółte plecy!”

W chwili gdy olbrzym miał już runąć na policjanta, Batise zrozumiał wreszcie, co się dzieje i z głębi piersi dobył rozpaczliwy pomruk. Nadzieja walki upadła. Nikt na całej dalekiej Północy nie mógł zabronić Piotrowi Boulainowi prawa pierwszeństwa.

Dawid czekał, gotów odparować atak szaleńca. Lecz raptem spostrzegł, iż w duszy przeciwnika wre szalony bój. Piotr tkwił w miejscu, nieruchomo. Twarz jego wy pogodziła się, choć ogromne ręce wciąż były zwarte w pięści. Przemówił, zwracając się wyłącznie do Carrigana:

- To był żart, proszę pana! Prawda, że to był żart?

- To było na serio - syknął mu Dawid niemal usta w usta. - Jesteś tchórz i skunks! Ubiegłej nocy przepłynąłem do tratwy, zajrzałem przez okno i - wiem wszystko! Właściwie uczciwy człowiek nie powinien z tobą walczyć, jednak ja ci stanę, o ile tchórz cię nie obleci i, o ile nasz wczorajszy zakład - trwa!

Żrenice Piotra Boulaina rozszerzyły się i patrzył chwilę tak dziwnie, jakby nie człowieka oglądał przed sobą, tylko jego obnażoną duszę. Mięśnie ogromnego cielska zwiotczały z wolna; pięści się rozwarły. Flisacy stojący opodal, wytrzeszczyli oczy, nie mogąc pojąć tych zmian.

- Pan przypląnął do tratwy - zaczął Boulain półgłosem, jakby nie mogąc uwierzyć temu, co słyszy - zajrzał przez okno i zobaczył - co?

Dawid skinął głową. Gdy przemówił, głos jego był pełen nienawiści i pogardy:

- Tak, zajrzałem przez okno! Zobaczyłem ciebie i najpodlejszą kobietę w dolinie trzech rzek, siostrę złoczyńcy, którego oddałem w ręce kata!

- Dosyć!

Słowo to strzeliło niby grzmot. Boulain stąpił o krok bliżej. Był biały jak płótno i oczy mu płonęły. Ale już w następnej chwili opanował się znowu. I raptem, niby widząc coś, czego Dawid nie mógł dojrzeć, uśmiechnął się, a Batisi, niemy świadek rozmowy, śmiał się nawet szeroko.

Piotr, patrząc przez rzekę na barkę, stojącą u drugiego brzegu, spytał:

- Pan żałuje jej, czy tak? I o nią chce pan walczyć?

- O nią! O najczystsza kobietę, jaka kiedykolwiek stapała po tej ziemi! O twoją żonę!

- Komedia - Piotr Boulain mówił jakby sam do siebie, nie spuszczać oczu z barki. - Doprawdy, komedia, ma belle Jeanne! On chce się ze mną bić, bo sądzi, że ciebie zdradzam. Uparł się, więc cóż mam począć? Stłukę go, aż nie będzie mógł iść o własnych siłach, a potem odeślę tobie na kurację. I ze względu na to, kochanie, sądzę, że przyjmie karę bez szemrania. Prawda, proszę pana?

Zwrócił się do Dawida uśmiechnięty i nie podniecony ani trochę:

- Będę się z panem bił, panie Carrigan. Zakład nasz stoi. Ale w godzinie walki bądźmy uczciwi i szczerzy, jak prawdziwi mężczyźni. Pan kocha Mariannę, a ja kocham Carmen, tę Carmen, której brata zawiódł pan na szubienicę. Teraz, skoro pan chce tego stanowczo, możemy zaczynać!

Począł zdejmować koszulę, a Batisi pospieszył w stronę flisaków, by ich powiadomić o zaszłych zmianach.

Walka na pięści

Ściągając koszulę, Carrigan wiedział, że pod jednym względem przynajmniej trafił na godnego siebie przeciwnika. W okresie służby policyjnej poznał wielu ludzi z żelaza i stali, ludzi, których silnych nerwów groza śmierci nawet nie umiała nadwerężyć. Jednak Piotr Boulain przerastał tamtych wszystkich i jego samego również.

Oto przed chwilą jeszcze rudowłosy olbrzym wrzał niby wulkan - a jednak pohamował wybuch. Obecnie uśmiechał się nawet, stojąc na wprost przeciwnika, obnażony po pas. Nie zdradzał cienia namiętności miotających nim bezspornie. Chłodne, siwe oczy patrzyły nawet przyjaźnie, podczas gdy Batisi zakreślał na piasku krąg, stanowiący granicę areny. Flisacy stłoczyli się wnet wokół, a Boulain przemówił cicho, dla Dawida wyłącznie:

- Proszę pana, wstyd mi doprawdy, że muszę walczyć. Niezmiernie pana lubię. Lubilem zawsze ludzi gotowych bronić honoru kobiety. Będę się też starał nie nadużywać zbyt swego przewagi, tyle tylko, by panu przemówić do rozumu i by wygrać zakład. Nie zabiję pana, jak by to mógł uczynić Batisi. Nie oszpecę pana ze względu na Mariannę. Choć gdyby Carmen wiedziała, że nas pan ubiegłej nocy szpiegował, życzyłaby panu jak najszybszej śmierci. Od kiedy brat jej zginął, znienawidziła pana. Jednak, zapewniam, to anielska dusza!

Carrigan uśmiechnął się złowrogo, pełen pogardy dla człowieka łączącego w ten sposób imiona żony i kochanki. Ruchem głowy wskazał krąg widzów.

- Czekają już przedstawienia! Gadać to pan umie! Zobaczymy, jak pójdzie reszta!

Lecz Boulain wahał się jeszcze.

- Doprawdy, wstyd mi... - zaczął.

- Gotów pan czy nie?

- To nieuczciwe i Marianna nie wybaczy mi nigdy. Jestem o połowę cięższy od pana!

- Przede wszystkim jest pan tchórzem i łotrem!

- To zupełnie tak, jakby dorosły człowiek mierzył się z chłopakiem!

- Jednak stanowczo uczciwiej niż zdradzać żonę dla ładaczniczki, która, na dobrą sprawę, powinna była także wisieć!

Twarz Piotra pociemniała. Cofnął się o kilka kroków i krzyknął na Batisiego. Natychmiast krąg widzów zamarł, a Metys, zerwawszy z głowy chustę, wyciągnął ją przed sobą. Lecz Carrigan odczuł od razu, że oprócz podniecenia mającym nastąpić

widowiskiem, coś jeszcze zaprzęta umysły ludzi. Pomimo napięcia rysów i badawczego wyrazu źrenic brakło istotnej ciekawości. Z warg do warg niosły się krótkie szepty. Sprawa była jasna. Litowano się nad nim.

Teraz, gdy stał obnażony po pas, o parę kroków zaledwie od Piotra, jaskrawa nierówność szans przeniknęła nawet tępą mózgownicę Batisiego. Spośród wszystkich obecnych jedynie sam Carrigan wiedział, jak podobne stali są jego mięśnie. Lecz, w oczach innych, porównywany do tego olbrzyma, wyglądał istotnie na słabo rozwiniętego chłopca. Toteż wyraźnie spodziewano się natychmiastowego pogromu, nie zaś walki.

Carrigan uśmiechnął się, spostrzegłszy, że Batisi waha się rzucić chustę i z szybkością wytrawnego zapaśnika ustalił plan walki, zanim jeszcze barwna szmata dotknęła ziemi.

- Nie śmieję się nigdy przy spotkaniu! - uczył go kiedyś wytrawny mistrz ringu.
- Nigdy nie okazuj gniewu! Jeśli potrafisz, nie zdradzaj w ogóle żadnych wzruszeń!

Carrigan myślał, co by też powiedział stary mistrz, widząc go w chwili obecnej, jak cofa się przed następującym nań olbrzymem. Wiedział, że na twarzy jego malują się, czytelne dla wszystkich, niepewność i zmieszanie. Bacznymi, choć na pozór pełnymi niepokoju oczyma, obserwował wrażenie, jakie na przeciwniku wywiera ten podstęp.

W pogoni za wciąż uciekającym Carriganem, Piotr dwukrotnie opasał wyznaczoną arenę. Z wolna stalowy połysk jego źrenic zamigotał iskrami śmiechu, a skupione twarze widzów wyraźnie pojaśniały. Tu i ówdzie począł się zrywać tłumiony chichot. Cofając się wokół kręgu po raz trzeci, Carrigan ukradkiem spojrzął na Batisiego i flisaków. Śmieli się już otwarcie. Metys miał gębę rozwartą od ucha do ucha, a w całej postawie wyraz ogromnego zdumienia.

To nie była walka, to była czysta komedia, jakby kogut ganiał wróbla po podwórku - bowiem Dawid biegał już truchtem, wymykając się i uskakując na boki, z zachowaniem bezpiecznej wciąż odległości. Batisi buchnął śmiechem i śmiech jak salwa przetoczył się po widzach. Boulain stanął uśmiechnięty szeroko, mając olbrzymie ręce zwieszono luźno ku dołowi, podczas gdy Carrigan to przyskakiwał bliżej, to znów rejterował pospiesznie. Lecz nagle...

Batisi zawył. Flisacy wydali zdławiony syk, jakby im zabrakło powietrza. Szybciej, niż najzręczniejszy z ludzi, Carrigan skoczył. Ułowili cios. Usłyszeli dźwięk.

Zobaczyli, jak głowa Piotra przechyla się do tyłu. Drugi cios, trzeci, czwarty - wszystkie błyskawicznie prędkie i Boulain zwał się na ziemię niby trup.

Człowiek, z którego wszyscy drwili, w niczym już nie przypominał wróbla. Czekał, pochylony nieco ku przodowi, z mięśniami nabrzmiętymi jak postronki. Byli pewni, że skoczy na powalonego przeciwnika i wzorem leśnych zabijaków pocznie go kopać, obrabiać pięściami lub dławić za gardło. Lecz Dawid rozmyślnie zwlekał do czasu, aż Piotr Boulain chwiejnie stanął znów na nogach.

Usta olbrzyma pełne były krwi i piasku, a ponad okiem nabrzmięwał już potężny guz. Jego twarz płonęła morderczym ogniem. Niby obłąkany bawół runął na przeciwnika, który go zwiódł i poniżył. Tym razem Carrigan nie cofnął się, lecz dotrzymał placu i Batisi zawył radośnie widząc, jak lawina ludzka wali się na drobną sylwetkę policjanta.

Wtem Carrigan schylił głowę i podczas gdy ramię Piotra, niby dębowa maczuga, przemknęło mu nad karkiem, jego własna pięść strzeliła prosto w żołądek wroga. Był to cios, zwany „bawole oko”, zadany z siłą parowego młota. Boulain jęknął głucho i stanął w miejscu, rozrzucając ręce. Pięść Carrigana uderzyła po raz drugi w szczękę i olbrzym powtórnie runął na piasek, gdzie pozostał bez ruchu, nie próbując nawet wstać.

Batisi, szeroko rozdziawiwszy wielką gębę, stał dłuższą chwilę jak skamieniały. Można było odnieść wrażenie, że cios oszołomił go na równi z jego panem. Lecz raptem jednym susem znalazł się u boku Carrigana.

- Do diabła, do pioruna! Nie walczył pan dotąd jeszcze z Batisim! - Zawył dziko. - Zadrwił pan sobie ze mnie, umknął przed walką z najsilniejszym człowiekiem w dolinie trzech rzek. Podły tchórz! Niechże pan stanie do walki ze mną wreszcie!

Dawid nie słuchał dłużej. Zamachnął się i, wydając coś na kształt pomruku, Metys runął na piasek obok Piotra Boulaina. Lecz teraz Carrigan nie czekał. Zaledwie Batisi usiłował wstać, już nowy cios w szczękę powalał go na ziemię. Trzykrotnie ponawiał próbę i wciąż z jednakowym rezultatem. Wreszcie siadł chwiejnie i trwał w tej pozycji, mrugając powiekami niby ogłuszone prosię. Niewidzące oczy wlepił to w Carrigana, który przygięty czekał ponad nim, to w krąg flisaków, wybałuszających ślepią i powstrzymujących oddech z podziwu. A po chwili Piotr Boulain poruszył się również i także siadł w piasku, półprzytomnie spoglądając na obecnych.

Carrigan podjął z ziemi koszulę i ruszył ku rzece; flisak, który go tu

przywiózł, towarzyszył mu milcząc. Poza nimi panowała cisza. Dla samego Dawida nawet wynik spotkania stanowił szaloną niespodziankę i rad był się wymknąć możliwie szybko, nie czekając, aż ktokolwiek wezwie go na nową próbę.

Śmiać mu się chciało. Miał ochotę głośno dziękować Stwórcy za ową bajeczną falę powodzenia, która mu przyniosła zwycięstwo tak prędkie i tak kompletne. Spodziewał się co prawda wygranej, ale po wielu wysiłkach i trudach. Tymczasem właściwie nie było żadnych zmagania. Wracał nie drażniony nawet, mając jedynie trochę zwichrzone włosy, choć pobił nie tylko Piotra Boulaina, ale i potwornego Metysa.

Komedia, lecz komedia mogąca się łatwo zamienić w dramat, jeśli tylko jeden z dwu olbrzymów pojmie właściwy stan rzeczy. Gdyż w takim razie wypadnie mu się ponownie z nimi mierzyć, a był dość uczciwy, by zeznać, iż podobna perspektywa bynajmniej go nie nęci. Teraz, gdy oglądał obu siłaczy obnażonych po pas, odeszła go ochota do dalszej rozmowy na pięści. Ostatecznie przecież fortuna nie zawsze jest ślepa.

W głębi duszy podejrzewał, że sprawa nie zakończy się tak prosto. Co do Piotra Boulaina można było jeszcze przyjąć, że spotkanie odbyło się według wszelkich reguł, a on sam zawinił jedynie zbyt nierozważnie. Natomiast z Batisim rzecz przedstawiała się inaczej. Wystawił niby na pokaz swą wielką szczękę, ani myśląc jeszcze o obronie, a Carrigan po prostu skorzystał z okazji. Cios, jaki z całej siły zadał, ogłuszyłby wołu. Tymczasem trzy podobne ciosy nawet nie przyprawiły Metysa o omdlenie.

Dopiero, gdy się znaleźli w pół drogi między jednym brzegiem a drugim, Carrigan odważył się rzucić wzrokiem przez ramię, by stwierdzić, jak się do całej sprawy odnosi jego towarzysz. Był to rosły drab o szczerym wejrzeniu i potężnych mięśniach, który w chwili obecnej śmiał się od ucha do ucha.

- No i co, kolego? Co o tym sądzisz? Tamten wesoło wzruszył ramionami.

- Mój Boże, Słyszał pan kiedy o chłopie imieniem Joe Clamart? Nie? Ja jestem Joe Clamart, a byłem niegdyś najlepszym zapaśnikiem w tych stronach. Jednak Batisi zbił mnie pięciokrotnie. Przed wielu laty widziałem w Montrealu podobną rzecz - zawodowego boksera i dlatego rozumiem. Ale Renee Babin przegrał do mnie piętnaście najlepszych skórek kunich, przeciwko którym postawiłem trzy wytarte lisy. Liniały mocno, inaczej bym ich nie ryzykował. Zabawne, proszę pana!

- Zabawne! - potwierdził Dawid ochoczo. - Szkoda tylko - dodał po namyśle -

że trwało to zbyt krótko. Co byś na to powiedział, Joe, gdyby tak wrócić i pokazać im, co umiemy naprawdę, ty i ja?

Uśmiechnięta gęba flisaka spoważniała momentalnie.

- O, nie! - zaprotestował gorąco. - Dostyc już było bijatyki! A ja muszę zachować swoją twarz dla Antoniny Roland, która nienawidzi złamanych nosów i wybitych zębów. Nie, nie!

Głębiej zanurzył wiosło w wodę, a z serca Carrigana spadł wielki ciężar. Joe Clamart robił wrażenie draba gotowego na wszystko, więc jeśli on wolał nie ryzykować walki, to zapewne tamci dwaj uznają się również za pokonanych, a Piotr Boulain bez dalszych prób zapłaci stawkę.

Barka sprawiała wrażenie zupełnie pustej, gdy się wdrapywał na pokład. Rzuciwszy wzrokiem przez ramię, stwierdził, że od przeciwległego brzegu odbiły dwa nowe czółna. Uczyniwszy parę spiesznych kroków, otworzył drzwi kajuty i wszedł. Zamknąwszy je za sobą, spojrzął ku oknu i - zamarł.

W pełnym świetle poranka, oparta o futrynę, stała Marianna Boulain. Patrzyła na niego. Policzki miała różowe. Krasne wargi rozchylone nieco. Oczy jej płonęły ogniem, którego nie usiłowała zataić. W ręku trzymała jeszcze lornetkę, której Carrigan zapomniał wychodząc i zostawił na stole. Łatwo było odgadnąć, iż przez te szkła widziała cały przebieg walki.

Dawid uczuł nagły przyływ wstydu i odwrócił oczy. Raptem drgnął. Na stole spostrzegł rozłożoną całą apteczkę Nepapinas. Były tu także miski pełne wody, pasma białego płótna, wata, bandażę i szereg innych rzeczy mogących się przydać przy opatrunku. A poza stołem, skulony tak silnie, że prawie niewidoczny, siedział w kucki sam Nepapinas, którego twarz, podobna do oblicza mumii, zdradzała silne rozczarowanie.

Trudno się było mylić. Mieli absolutną pewność, że Carrigan wróci bliższy śmierci niż życia i Marianna przygotowała wszystko na tę okoliczność. Nawet łóżko zostało już posłane, a świeża pościel oczekiwała pacjenta.

Dawid przeniósł znów oczy na żonę Piotra Boulaina i serce załomotało w nim gwałtownie. Nie znać było po niej mieszaniny ani chęci śmiechu z racji zbędnych przygotowań. Miała twarz skupioną i uroczystą. Położywszy lornetkę na stole, szła ku niemu wolno. Wyciągając dłoń, musnęła jego rękę palcami jak atlas.

- To było wspaniałe! - rzekła miękko. - To było doprawdy wspaniałe.

Stała tuż obok, dotykając go prawie piersią. Palcami sunęła wolno w górę jego

rąk, aż oparła mu dłonie na ramionach. Szkarłatne wargi oddychały koło jego twarzy.

- To było doprawdy wspaniałe - powtórzyła raz jeszcze.

I raptem, uniósłszy się na czubkach palców, pocałowała go. Stało się to tak szybko i niespodziewanie, że uciekła już, nim Dawid wyczuł na ustach drżenie jej ust. Niby jaskółka pomknęła do drzwi, otworzyła je, zamknęła za sobą i kroki jej zadudniły po pokładzie.

Carrigan z wolna przeniósł oczy na Indianina. Nepapinas nieruchomy i spokojny patrzył w ślad za Marianną.

Czarny Roger Audemard

Wiele sekund, długich jak minuty, Carrigan przetrwał bez ruchu, podczas gdy Nepapinas mrużąc gramolił się na nogi, zbierał swój dobytek, by wymknąć się wreszcie przez drzwi kajuty.

Carrigan był ledwie świadom obecności Indianina, bowiem dusza mu płonęła jak ognisko. Dobrowolnie, wspiąwszy się na palce, żona Piotra Boulaina pocałowała go. Zarumieniona ślicznie podała mu szkarłatne usta. Czuł na wargach żar. Bezmyślnie spoglądał ku oknu, jakby chcąc ją tam jeszcze dojrzeć. Lecz nagle oprzytomniał i skoczywszy do drzwi, otworzył je szeroko. Ale Marianna znikła i Nepapinas znikł również. Na rufie siedział jedynie Joe Clamart, gorliwie pełniący straż.

Do barki zbliżały się dwie łodzie; w jednej było dwóch ludzi, w drugiej - trzech. Carrigan domyślił się od razu, iż są to dodatkowi strażnicy przysłani przez Piotra. Ale od przeciwległego brzegu odbiło trzecie czółno i Dawid poznał skuloną na rufie sylwetkę garbatego Andrzeja. Olbrzym robiący wiosłem był bez wątpienia Piotrem Boulainem.

Carrigan wrócił do izby i stanął przy oknie w miejscu, skąd Marianna obserwowała przebieg walki. Powiódłszy wzrokiem wkoło, stwierdził, że Nepapinas zabrał jedynie swoje medykamenty. Na stole pozostały miski z wodą, wata i bandaże, a posłane łóżko bieleło zdradliwie.

Drzwi się otworzyły i Piotr Boulain wszedł. Lecz Dawid, pomimo iż czuł na ustach wciąż pocałunek Marianny, nie doznał najmniejszego zmieszania. Pomiedzy nim i Piotrem stała postać widziana ubiegłej nocy, postać Carmen Fanchet, z rozpuszczonymi włosami i na wpół naga. Spotkali się oczyma. Carrigan miał ochotę

głośno oświadczyć, co zaszło przed chwilą, by raz wreszcie dać poznać przeciwnikowi, jak niebezpieczna jest jego gra. Ale natychmiast zrozumiał, że podobna wiadomość bynajmniej olbrzyma nie dotknie. Boulain powiódł jednym zdrowym okiem po izbie - drugie znikło niemal zupełnie pod ogromnym guzem - zobaczył opatrunki zalegające stół, posłane łóżko i błysnął białymi zębami w wesołym uśmiechu.

- Do pioruna! - rzekł. - A mówiłem, że będzie pana pielęgnować jak najczulej! Widzisz, cóżś stracił, panie Carrigan?

- Otrzymałem coś, co dłużej zostanie mi w pamięci niż najczulsza opieka! - zjadliwie odparł Dawid. - Lecz na razie obchodzi mnie przede wszystkim, czy ma pan zamiar zapłacić przegraną?

Boulain chichotał tajemniczo.

- To było wspaniałe! Doprawdy, to było wspaniałe - oświadczył, bezwiednie powtarzając słowa Marianny. - A Joe Clamart mi mówił, że ona wybiegła stąd czerwona na twarzy jak sierpniowa różyczka i milcząc umknęła na brzeg między brzozy.

- Była oszołomiona pańską porażką!

- E, gdzie tam! Była wesoła jak skowronek. Nagle dostrzegł lornetkę i pytająco spojrzał na Dawida.

- Tak, widziała wszystko - skinął Dawid głową. Piotr usiadł ciężko przy stole i biorąc w dwa palce jeden z bandaży oświadczył:

- Więc wie, że dostałem smary, a jednak nie czekała, by mnie opatrzyć! Nie czekała, co?

- Sądziła może, że Carmen Fanchet uczyni to lepiej!

- Właśnie! Tylko że wstyd mi stawać przed Carmen z tym guzem na czole. I ponadto wymaga pan jeszcze, bym zapłacił przegraną?

- Tak!

Twarz Piotra pociemniała.

- Mam więc powiedzieć, co wiem o Rogerze Audemardzie?

- Taka była umowa!

- Ale, gdy powiem, - co potem? Czy dałem panu jeszcze jakąś obietnicę, panie Carrigan? Czy powiedziałem, że puszcę pana wolno? Czy zapewniłem, że nie utopię pana? Jeśli obiecałem coś podobnego, wywietrzało mi to już ze łba!

- Chyba jesteś potworem, zbrodniarzem, nie tylko...

- Dosyć! Proszę mi nie wypominać znów tego, co pan widział przez okno, bo to nic nie ma jedno do drugiego! I nie jestem wcale potworem, tylko człowiekiem. W przeciwnym razie zabiłbym pana natychmiast, gdy zastałem pana w tej kajucie. Nie grożę panu śmiercią, ale jednak, kto wie, czy da się tego uniknąć, skoro powiem, co wiem. Rozumie pan? W tych stronach morderstwo, dla ważnej przyczyny oczywiście, uważane jest za mniejszą zbrodnię, niż odmowa zapłacenia przegranej. Jestem bezradny. Skoro pan nalega, zapłacić muszę. Ale póki jeszcze czas, ostrzegam!

- To znaczy, że...

- Na razie jeszcze nic nie znaczy! Nie mogę wiedzieć obecnie, co przyjdzie uczynić potem. W danej chwili mam gotowy plan, ale może będę zmuszony go zmienić. Przestrzegam jedynie, że to poważny hazard, że igra pan z ogniem, którego pan nie zna, bo dotychczas nie parzył!

Carrigan wolno zajął miejsce na krześle, po drugiej stronie stołu.

- Traci pan czas, usiłując mnie nastraszyć! - zawyrokował krótko. - Żądam uregulowania wygranej!

Przez chwilę na twarzy Piotra znać było wyraźnie zmieszanie. Potem zacisnął szczęki, by wreszcie uśmiechnąć się dziwnie..

- Przykro mi, panie Dawidzie. Lubię pana. Jest pan bojowy chłop, bez cienia tchórzostwa i chętnie stawałbym z panem w ciężkich okazjach ramię przy ramieniu. Toteż mówię i powtarzam, nie tyle dla mnie, ile dla pana właśnie, byłoby lepiej, bym ja wziął górę w tym spotkaniu.

- Jednak los zrządził inaczej! Co z tym Rogerem Audemardem? Czemu się pan waha?

- Wahać? Ja się wcale nie waham! Daję panu tylko ostatnią szansę!

Wyciągnął na stół olbrzymie ręce i pochylił się bliżej.

- Żąda pan stanowczo?

- Żądam stanowczo!

Ręce Piotra Boulaina zwały się w sękate pięści.

- Zatem płacę, proszę pana - rzekł głucho. - Ja jestem Roger Audemard!

W dół rzeki

Usłyszawszy to niesłychane oświadczenie, Dawid zaniemówił kompletnie. Domyślał się już co prawda, że między Piotrem Boulainem a ściganym złoczyńcą

istnieje jakiś związek, nigdy jednak nie przypuszczał, by stanowili jedną i tę samą osobę. A Roger Audemard powoli rozprężając pięści, z czymś na kształt uśmiechu wokół warg, czekał, by policjant otrząsnął się ze zdumienia.

Carrigan, czując, jak mu serce zamiera w piersi, patrzył na olbrzyma przed sobą, ale widział Mariannę Audemard, żonę zbrodniarza. Chciał krzyknąć głośno, iż to fałsz, iż tak ohydna rzecz jest niemożliwa, lecz nie mógł dobyć głosu. Jednak powoli dusza w nim krzepła, mózg jaśniał i gdy przemówił wreszcie, głos miał zupełnie opanowany. Uśmiechał się nawet.

- Przyznaję, że mnie ta wiadomość zaskoczyła - powiedział.

- Miło mi, że pan ją bierze na wesoło! - odparł Roger Audemard, uśmiechając się również tak pogodnie, jak mu na to zapuchnięte oko mogło pozwolić. - W obliczu śmierci nie należy być zbyt poważnym. Gdybym miał zginąć na szubienicy, śpiewałbym do ostatniego tchu, byle pokazać światu, że niekoniecznie trzeba się smucić idąc na tamtą stronę.

- Rozumie pan zapewne, że w krótkim czasie dam panu możliwość wprowadzić tę teorię w czyn! - zauważył Dawid.

Czarny Roger przechylił się szybko przez stół..

- Jest pan pewien, że zdoła mnie oddać w ręce kata?

- Jestem pewien.

- Może znów pójdziemy o zakład?

- Nie czyni się zakładów ze skazanymi na śmierć!

Audemard zachichotał wesoło i zatarł ręce.

- Więc założę się sam ze sobą, proszę pana! - rzekł raźnie. - Twierdzą, że nim liście spadną z drzew, poprosi pan o przyjaźń Rogera Audemarda i pokocha pan Carmen Fanchet całym sercem. Co do Marianny zaś...

Urwał i wstając, przegarnął palcami czuprynę.

- Ponieważ idę sam ze sobą o zakład, nie mogę pana zabić, panie Dawidzie, chociaż byłoby to może najlepsze rozwiązanie. Zabiorę więc pana do zamku Boulainów, który stoi w lasach za Great Slave. Nic pana złego nie spotka, jeśli nie będzie pan usiłował umknąć. Jeśli pan jednak spróbuje ucieczki - umrze pan na pewno!

Roześmiał się i wyszedł z izby, zamykając za sobą drzwi. Metaliczny szcęk klucza po tamtej stronie był dostatecznie wymowny.

Dawid siedział jeszcze jakiś czas przy stole, pogrążony w zadumie. Wobec

Rogera Audemarda nie zdradził się, jak dalece wstrząsnęło nim jego wyznanie, ale pozostawiony sam ze sobą nie potrzebował grać komedii. Był w mocy zbójczej szajki, dowodzonej przez człowieka bez czci i wiary, a Carmen Fanchet i Marianna wchodziły w skład bandy. Tacy ludzie znali jedynie własny interes, a w ich interesie leżało bezsprzecznie, by policjanta jak najrychlej zgładzić.

Rozumiał teraz powód zamachu nad rzeką. Dowiedziawszy się, że sierżant Carrigan tropi Czarnego Rogera, urządzono nań zasadzkę. To było logiczne. Ale dlaczego miał dać mu skonać z gorączki i upływu krwi, usiłowano go ratować? Dlaczego? Dlaczego?

Raptem serce skoczyło w nim jak szalone. Zaczynał pojmować. Marianna miała dosyć tego otoczenia, podłości i zbrodni, toteż, bezwiednie może, garnęła się ku niemu, jak ku zjawie z lepszego świata.

Wstał i począł nerwowo przebiegać kajutę. Na zewnątrz słyszał kroki, potem uczuł, że podłoga pod stopami drga i wreszcie przez okno dostrzegł, jak brzeg poczyna się z wolna oddalać. Nie widział nigdzie Marianny, ale na piasku obok dużej łodzi stał Czarny Roger, mając u nóg skuloną postać kalekiego Andrzeja. Po drugiej stronie tratwa płynęła już z prądem.

W ciągu następnej pół godziny zaszło parę rzeczy, świadczących dobitnie, iż więźnia przestają darzyć specjalnymi względami. Przy obu oknach po dwóch ludzi pracowało pilnie, a gdy skończyli pracę, okien nie dało się już otworzyć więcej niż na parę cali.

Nieco później w drzwiach zgrzytnął klucz i, ku wielkiemu zdumieniu Carrigana, wszedł Batisi. Twarz jego nie zachowała żadnych śladów potężnych uderzeń ani niedawnego oszołomienia. Zarys szczęk był jak poprzednio wyzywający, natomiast z oczu i postaci znikł wszelki cień gniewu. Nie wyglądał też na człowieka, który się wstydzi. Ciekawie patrzył na Dawida. Oglądał go tak, jak mały chłopak ogląda niepojęty fenomen. Carrigan zrozumiał, co się dzieje w zakutym łbie Metysa, i uśmiechnął się.

- Mój Boże, gdyby pan tak był mi przyjacielem! - zaczął gorąco. - Gdybyśmy jeno byli towarzyszami broni, *Ventre saint gris!* Toż najdzielniejsi ludzie dalekiej Północy zmykaliby nam z drogi, jak króliki przed lisem. Pan, pan, który zbił z nóg Batisiego, i Batisi, który gołymi rękami dusi polarne niedźwiedzie, wrywa drzewa z korzeniami, a gdy mu tytoniu zabraknie, żuje lufę fuzji!

Podniósł głos do krzyku niemal i raptem spoza drzwi buchnął czyjś serdeczny

śmiej. Batisi urwał, z trzaskiem zamykając usta.

- Zbiłem go już pięciokrotnie, tego Joe Clamarta - zaryczał po chwili - a teraz wytlukę go po raz szósty! Niech wie, co znaczy taki morowy chłop, jak ja! Potem zaś przyprowadzę panu wszystkich, których położyłem kiedyś, mocnych drabów, jednego po drugim, a pan da im pieprzu. Co, zgoda?

- Bardzo by to było przyjemnie, Batisi! - odparł Carrigan spokojnie. - Obawiam się jednak, że twoje plany wezmą w łeb. Widzisz, ten wasz dowódca, Czarny Roger Audemard...

- Co? - Batisi podskoczył, jakby go ukłuła osa. - Co pan wie?...

- Mówię że Roger Audemard, Czarny Roger, ten, którego zwiecie również Piotr Boulain...

Nie dodał nic więcej. To, co miał rzec, było głupstwem, w porównaniu z wrażeniem, jakie pierwsze słowa wywarły na Batisim. W oczach Metysa błysnął morderczy ogień i Dawid nagle zdał sobie sprawę, iż w pewnych wypadkach zakuta mózgowica kolosa pracuje niezmiernie szybko.

Batisi stał chwilę milcząc, potem przemówił wolno i surowo:

- Panie, przychodzę w poselstwie od Piotra Boulaina. Okna zamknięte, drzwi zamknięte. Po obu stronach kajuty straż będzie czuwała dzień i noc. Jeśli pan spróbuje uciec - zabijemy, jak Bóg na niebie. Jest nas pięciu. Mamy fuzje. Zrozumiano?

Nie czekając odpowiedzi odwrócił się ponuro i wyszedł, przekręcając za sobą klucz w zamku.

Przez cały dzień barka mknęła chyżo w dół rzeki.

Wiosła skrzypiały nieustannie, nawet na najszybszym prądzie. Dawid zgadywał, iż tratwa, idąca znacznie wolniej, musiała pozostać daleko w tyle. Pod jednym z uchylonych okien ułowił rozmowę dwu ludzi w tej chwili właśnie, gdy barka wpadała między porohy Brule Point. Dowiedział się w ten sposób, że tratwa Audemarda składa się z trzydziestu siedmiu pól, wiązanych po siedem w rzędzie i że na przestrzeni między Brule Point i Jellowknife trzeba ją będzie dzielić dziewięciokrotnie, by każde pole z osobna przeprowadzić przez niebezpieczne wody. Była to piekielna praca, powolna i uciążliwa, że zaś życiu Dawida nie groziło bezpośrednie niebezpieczeństwo, miał więc przed sobą sporo czasu na obmyślenie dalszych planów. Na razie osądził, że najlepiej będzie oczekiwać spokojnie, obserwując bieg wydarzeń. Ostatecznie cała sprawa nie była pozbawiona pewnej

dozy humoru. Zawsze marzył o wycieczce statkiem w dół rzeki. No i miał ją teraz!

W południe dozorca przyniósł mu obiad. Nie przypominał sobie, by widział poprzednio tego draba: wysoką, gibką postać stworzoną na szybkobiegacza, z groźnym nożem wetkniętym za pas. Kiedy drzwi się otwały, zamajaczyło w pobliżu jeszcze dwu ludzi o szerokich barach i mięśniach sposobnych do ciężkiej pracy lub walki. Jeden siedział na pokładzie, mając karabin złożony w poprzek kolan; drugi stał z fuzją w ręku.

Ten, który przyniósł obiad, nie tracił słów daremnie. Bąknąwszy krótkie „dzień dobry”, postawił naczynia na stole i znikł. Carrigan, zabierając się do posiłku, pomyślał, iż Roger Audemard nie darmo przydał mu podobnych opiekunów. Oczy tych ludzi, gdy szło o wypatrzenie zdobyczy i posłanie kuli, musiały być niechybne, jak źrenice sępa. Twarze bynajmniej nie zachęcały do poufałości.

Kolację przyniósł znów ktoś obcy, po czym w ciągu dwóch godzin jeszcze barka płynęła nadal w dół rzeki. Przybili do brzegu o zmierzchu. Lecz dziś załoga milczała ponuro, nikt nie śmiał się ani nie śpiewał.

Carrigan, patrząc przez okno, czuł groźbę wiszącą w powietrzu. Ogarniało go przygnębienie. By je rozproszyć, zapalił dwie lampy, gwizdał jakąś nutę. I wreszcie wyběniwszy na fortepianie popularną piosenkę, siadł w fotelu z fajką w zębach. W tej chwili byłby rad towarzystwu Batisiego, Joe Clamarta, a nawet któregośkolwiek z zupełnie obcych flisaków. Usiłował czytać, lecz drukowane słowa plątały mu się i nie mógł ułoić ich sensu.

Była dziesiąta i ciemne chmury powlekły niebo, gdy posłyszał wołanie, lecące znad rzeki. Powtórzyło się dwukrotnie, nim ludzie z barki odpowiedzieli nań i Carrigan poznał głos Rogera Audemarda. Wkrótce czóno zachrobotało o burzę, po czym nastąpiła rozmowa tak przyciszona, że niepodobna było nic ułoić i wreszcie klucz zgrzytnął w zamku.

Wszedł Roger Audemard, niosąc pod pachą indiański koszyk pleciony z trzciny. Dawid nie wstał, by go powitać. Przybysz nie przypominał zresztą w niczym uśmiechniętego przyjaciela Piotra Boulaina; twarz miał surową i skupioną, choć bez cienia groźby. Malowało się na niej pewne znużenie; Dawid był pewien, że nie znużenie fizyczne.

Czarny Roger przeniknął snadź myśli jeńca. Skinąwszy głową, potwierdził:

- Tak, miałem ciężkie przejścia. A to dla pana! Postawił koszyk na stole.

Wypełniało go do samej góry coś, co było ukryte pod naciągniętym po wierzch

plótnem.

- I pan jest temu winien - mówił dalej Audemard, zajmując miejsce w fotelu i przeciągając się z wyrazem znużenia. - Powinienem był pana zabić, a zamiast tego przynoszę tyle dobrych rzeczy. Pół dnia grzebała się nad tym koszykiem, potem wymogła, żebym go panu dostarczył. Uczyniłem to zresztą, by mieć okazję powiedzenia panu pewnej rzeczy. Żał mi jej. Podejrzewam, że znajdzie pan tutaj tyleż łez, ile ciastek, gdyż serce ją boli i wstyd ją gryzie, że się tak zachowała dziś rano.

Splatał i rozplatał wielkie dłonie, a Dawid widząc na czole olbrzyma głębokie zmarszczki, czuł również ból w sercu. Czarny Roger nie patrząc na jeńca ciągnął dalej:

- Naturalnie, wyznała mi sama. Mówi mi przecież wszystko. Ale gdyby wiedziała, że to panu powtórzę, chyba popełniłaby samobójstwo. Chcę, żeby pan zrozumiał. To nie taki gatunek kobiety, jak pan sobie może wyobraza. Ten pocałunek dały najczystsze w świecie usta, panie Carrigan.

Dawid usłyszał własny głos, dochodzący dziwnie z daleka.

- Wiem! Ona była rada, że pan nie splamił swoich rąk moją krwią!

Tym razem Audemard uśmiechnął się; mimo to wyglądał o dziesięć lat starzej niż wczoraj.

- Niech się pan próżno nie trudzi, panie Carrigan. Chcę tylko, by pan zrozumiał, że Marianna jest czystsza niż gwiazdy. Postąpiła źle, ale jeśli człowiek idzie za popędem serca, nie można tego nazwać grzechem. Wszystko szło na opak, od kiedy pan tu przybył. Jednak nikogo nie potępiam, z wyjątkiem...

- Carmen Fanchet? Audemard skinął głową.

- Tak. Toteż oddaliłem ją. Teraz Marianna mieszka w chacie na tratwie. Ale i Carmen nie mogę potępić, gdyż trudno jest ganić bezwzględnie kogoś, kogo się miłuje. Mam rację, prawda? Pan musi to wiedzieć! Pan kocha Mariannę! Czy ma pan do niej jakiś żal?

- To nieuczciwe! - zaperzył się Dawid. - Marianna jest przecież pańską żoną! Czy możliwe, by pan jej nie kochał!

- Kocham ją!

- No, a Carmen Fanchet?

- I tę kocham również. Takie są do siebie niepodobne. Kocham obie. Czyż tak wielkie serce jak moje nie potrafi kochać dwu istot naraz?

Z pomrukiem dzikiej bestii Dawid porwał się na nogi, skoczył do okna i

wyjrzał w ciemność nocy. Po czym nie odwracając głowy, rzekł:

- Czarny Rogerze, uchodziłeś już od dawna za jednego z najpodlejszych zbrodniarzy. Ale twoje poprzednie postęпки są niczym w porównaniu z tym, co czynisz obecnie, w porównaniu z twoim stosunkiem do żony i... do tamtej. Nie chcę kłamać. Kocham Mariannę, przyznaję, kocham ją tak mocno, że złożyłbym w ofierze ciało i duszę, byłeś ty, jej mąż, był od początku człowiekiem uczciwym, a nie łotrem przeznaczonym na szubienicę!

Czarny Roger wstał bardzo cicho i przez chwilę, tkwiąc bez ruchu, spoglądał z tyłu na Dawida. Ktoś patrzący z boku mógł odnieść wrażenie, iż olbrzym chce coś powiedzieć i nie może czy nie śmie. Nim Dawid się odwrócił, Audemard był już przy drzwiach. Z dłonią na klamce czekał.

- Zobaczymy się dopiero, gdy staniemy u celu. Wtenczas dowie się pan, co ma być dalej. Wtenczas, zapewne, zrozumie pan również wiele rzeczy. Ale na razie muszę pana uprzedzić, że wszelkie próby ucieczki są daremne. Dobranoc panu, panie Carrigan!

- Dobranoc - skinął Dawid głową. Drzwi zamknęły się za wychodzącym.

Zamek Boulainów

Następnego dnia barka minęła fort MacMurray i nim słońce zaczęło opadać ku zachodowi, Carrigan dostrzegł zielone stoki wzgórz Thickwood oraz stoki Gór Brzozowych.

Roześmiał się głośno na myśl o kapralu Andersonnie i szeregowcu Frazerze z fortu MacMurray, do których obowiązków należał przede wszystkim dozór wodnego szlaku. Jakżeby wytrzeszczyli oczy, gdyby wzrok ich mógł przebić, zamknięte na klucz, drzwi jego więzienia! Nie pragnął zresztą nawet, by go ktoś teraz uwolnił, gdyż miał pewność, że u kresu podróży znajdzie rozwiązanie wielu dręczących go tajemnic.

Cieszyło go więc, że załoga nie marudzi po drodze. W południe nie zatrzymywali się wcale, a barkę cumowano na noc dopiero wtenczas, gdy gasły już ostatnie blaski zorzy zachodniej. W ciągu doby musieli zrobić przynajmniej sześćdziesiąt mil, podczas gdy tratwa, według obliczeń Dawida, mogła pokonać zaledwie trzecią część tej przestrzeni.

I tak mijał dzień po dniu. Piątego dnia minęli wąskie, zachodnie ramię jeziora

Athabaska, nocą przemknęli obok fortu Chippewyan i weszli na rzekę Slave. Po dwóch tygodniach od chwili rozpoczęcia podróży wpłynęli na jezioro Great Slave, a w dwie doby później, gdy mrok słał się już gęsto między murami borów porastających Jellowknife - Dawid zrozumiał, że dotarli wreszcie do ujścia ciemnej i tajemniczej wody, wiodącej ku bardziej jeszcze zagadkowej siedzibie Czarnego Rogera Audemarda.

Tej nocy załoga barki szalała z radości. Na brzegu rozpalono wielki stos, a ludzie, rzucając w płomień naręcze suszu, śmiali się, śpiewali i pokrzykiwali wesoło. Opodal rozniecono mniejsze ognisko, ponad którym zaskwierczały wnet patelnie i zabulgotały kotły. Garnek kawy o pojemności dwóch galonów rozsiewał aromatyczny zapach, przesycając powietrze pełne już woni sosen i cedrów.

Dawid oglądał to wszystko przez swoje okno, a gdy Joe Clamart wszedł niosąc kolację, przekonał się, iż mięso zarumienione nad ogniem jest świeżą pieczenia łosia.

Ogniska zapłonęły znów przed świtem i gwar licznych głosów zbudził Dawida ze snu. Stanąwszy w oknie, spostrzegł, iż zamiast czterech ludzi kręci się po brzegu przeszło dwunastu. Gdy rozedniało nieco, nie poznał żadnej twarzy. Wszystkie były obce. Po chwili zrozumiał, co ich tu przywiodło. Jak dotąd barka płynęła na północ i z prądem. Teraz, jakkolwiek dążąc wciąż ku północy, miała iść w górę biegu rzeki i trzeba ją było holować. Uchwycił zarys dwu wielkich łodzi i sylwetek sześciu wioślarzy w każdej.

Godzinami Dawid krążył od jednego okna do drugiego i coś na kształt lęku poczynano go przygniatać. Miał wrażenie, że szlak wodny jest drogą wiodącą do zakazanej ziemi, rozległego rejonu nieprzeniknionych zagadek, krainy złych czarów, może śmierci - głuchą zaporą oddzielonej od reszty świata. Rzeką stawała się coraz węższa, a bór tak gęsto porastał brzegi, że oko nie mogło przeniknąć w głąb łądu. Splątane konary tworzyły nad głową ciemny baldachim, siejąc ponury półmrok. W tym mroku woda była czarna i oleista niby ropa, a strzały słoneczne, przelatując tu i ówdzie, muskały toń jak księżycowa poświata. Wielką ciszę naruszał jedynie monotony plusk wioseł i chrobot prądu o burtę. Ludzie przestali śpiewać i śmiać się, a porozumiewali się chyba szeptem. Ptaki leśne milczały. Raz Dawid dostrzegł przez okno twarz Joe Clamarta; była surowa, skupiona, jak oblicze człowieka, który mija wrota piekieł i wie o tym.

Lecz nagle zaszła gwałtowna zmiana. W okna uderzył blask słońca i

momentalnie huknęły głosy, śmiech, gwizdanie, a Joe Clamart rozpoczął ulubioną piosenkę o biednym skowronku. Carrigan uśmiechnął się mimo woli. Dziwny to był lud ci mieszkańcy dalekiej Północy, pełen mocno zakorzenionych przesądów. Lecz w głębi serca przyznawał, że i on sam poddał się na krótko bezrozumnej trwodze.

Przed zapadnięciem nocy Batisi i Joe Clamart odwiedzili jeńca, przynosząc pęk rzemieni. Sprawnie skrepowali mu ręce na plecach i wyprowadzili go na brzeg. W powietrzu brzmiał huk wodospadu. W ciągu dwu godzin Dawid obserwował, jak ludzie, wywłókszy barkę na ląd, przetaczali ją na gładkich pniach brzoźowych po z dawna ubitym szlaku, by po pewnym czasie znów spuścić na wodę. Wodospad pozostał w tyle, lecz gdy Carrigan, oswobodzony z więzów, kładł się spać, grzmot huczał wciąż jeszcze.

Nazajutrz Jellowknife nie robił już wrażenia rzeki, lecz raczej wąskiego stawu, a trzeciego dnia w południe dotarli do Krainy Dziewięciu Jezior. Aż do zmierzchu barka kluczyła po splątanych kanałach, wśród niedostępnych kniei, by przycumować wreszcie u skraju dużej poręby. Załoga zdradzała ogromne podniecenie, ale ciemność nie dozwalała Dawidowi - zrozumieć, o co chodzi. Wołania krzyżowały się w powietrzu, naszczekiwały psy. Wreszcie parę głosów zabrzmiało tuż za ścianą, zgrzytnął klucz w zamku i drzwi się otwały. Dawid zobaczył najpierw Batisiego i Joe Clamarta, lecz potem, ku swemu największemu zdumieniu, dostrzegł trzecią postać i poznał Czarnego Rogera. Olbrzym przyjaźnie skinął głową.

- Witam pana w siedzibie Boulainów - powiedział. - Pan zdziwiony? Cóż? Wyprzedziłem was o sześć godzin - w czólnie, proszę pana. Obowiązek gospodarza!

Wysunął się obok swych ludzi. Zza jego pleców obaj flisacy szczerzyli zęby w uśmiechu. Potem Joe Clamart skoczył naprzód i podjął z ziemi plecak Carrigana.

- Jeśli zechce pan nam towarzyszyć?...

Zeszli na brzeg. Audemard kroczył obok Dawida, Batisi i Joe Clamart tworzyli straż tylną, a w mroku smygało jeszcze kilka ludzkich cieni. Wołania umilkły, psy przestały szczeleć. Obszerną porębę zamykał czarny mur lasu. W głąb kniei wiodła ubita ścieżka. Dążyli nią milcząc.

Po upływie mili drzewa poczęły się rozbiegać na dwie strony i wkrótce znaleźli się na skraju dużej polany. W mroku Dawid odetchnął silniej. Tuż przed sobą o strzał karabinowy zaledwie miał zamek Boulainów. Był tego pewien, choć Czarny Roger nie wymówił ani słowa. Zgadywał, co to jest, już choćby po dwudziestu

oknach jaskrawo oświetlonych, których blasku nie tłumila nawet firanka.

U jego boku Audemard roześmiał się pełen dumy.

- Nasz dom! - powiedział. - Jutro, we dnie, przyzna pan, iż jest to najwspanialszy zamek na dalekiej Północy, cały zbudowany z cedru i brzozy, tak że nawet najgłębszą zimą mamy zapach wiosny!

Dawid nie odpowiedział, a Audemard po chwili ciągnął dalej:

- Jedynie na Boże Narodzenie, Nowy Rok, uroczystości chrzcin i ślubów urządzamy podobne iluminacje. Dziś w nocy to na pańską cześć, panie Dawidzie. Ktoś tu na pana czeka, kogo się pan wcale nie spodziewa.

Serce Dawida zabiło mocno. Czarny Roger mówił ze specjalnym naciskiem. Oczywiście chodziło o Mariannę. Musiała przybyć wraz z mężem.

W miarę jak podchodzili bliżej, Dawid rozróżniał jeszcze inne budynki ukryte niemal zupełnie w głębokim mroku. Tu i ówdzie blada struga światła zdradzała obecność mieszkańców. Front dworu zajmowała wielka weranda, o ścianach z drobnej siatki, mającej bronić latem przed plagą much i komarów. Weszli na nią po szerokich brzozowych stopniach, po czym Czarny Roger otworzył drzwi, tak masywne i ciężkie, że sprawiały wrażenie zamkowej furty. Przystanęli na chwilę w obszernej sieni, a ze ściany spojrzwały na nich wypchane łby dzikich zwierząt, jakby zdumione niespodziewaną wizytą. I nagle Carrigan usłyszał niskie, melodyjne dźwięki fortepianu.

Spojrzał na Czarnego Rogera. Audemard uśmiechał się; miał wysoko uniesioną głowę i oczy pełne radosnej zadumy. Kładąc dłoń na ramieniu jeńca, bez słowa pociągnął go dalej, podczas gdy Batisi i Joe Clamart pozostawali w sieni. Nogi Carrigana grzęzły w miękkich futrach; ściany lśniły kunsztowną cedrową i dębową boazerią. Po chwili znaleźli się przed zamkniętymi drzwiami, spoza których właśnie dobiegała muzyka. Czarny Roger otworzył je bardzo cicho, jakby nie chcąc spłoszyć grającej.

Weszli i Dawid wstrzymał oddech. Izba była ogromna; miała przynajmniej trzydzieści stóp długości i szerokość mało co mniejszą. Zalewało ją jasne światło, przepych bił zewsząd i woń dzikich kwiatów przesycala powietrze. W głębi, znad olbrzymiego kominka, patrzył szklanymi oczyma wielki łeb łosi. Potem Dawid dostrzegł postać przy fortepianie i coś zaczęło go dławić w gardle. To nie była Marianna. Biała, miękka suknia spowijała śliczną kibić, a włosy lśniły szczerem złotem...

Roger Audemard przemówił:

- Carmen!

Kobieta przy fortepianie odwróciła głowę, zaskoczona nieco, potem szybko wstała i Dawid miał przed sobą Carmen Fanchet.

Nigdy nie widział jej tak pięknej; w białej sukni, złotowłosa, robiła wrażenie anioła. Lecz najbardziej zdziwił go wyraz jej twarzy. Uśmiechała się. Ta kobieta, której brata oddał szubienicy, uśmiechała się do niego! Podeszła bliżej i wciąż z uśmiechem, bez cienia dawnej nienawiści, wyciągnęła rękę. Carrigan machinalnie ujął jej palce. Usłyszał miękki głos:

- Witam pana w zamku Boulainów, panie Carrigan.

Schylił głowę, bełkocząc jakieś niezrozumiałe wyrazy, lecz Roger Audemard pociągnął go wstecz. Wychodząc, raz jeszcze rzucił wzrokiem na Carmen. Stała bez ruchu tam, gdzie ją zostawił. Usta miała czerwone, za to twarz bladą jak płótno.

Gdy szli potem na piętro, po krętych schodach, Czarny Roger rzekł:

- Dumny jestem z mojej Carmen, panie Carrigan. Czy jakkolwiek kobieta podałaby w ten sposób rękę mordercy swego brata?!

Dawid nie odpowiedział nic. Stanęli przed jakimiś drzwiami. Audemard otworzył je i wskazał oświetlony pokój. W oczach miał wesołe ogniki.

- Proszę! I, jak pan sądzi, czy jakkolwiek kobieta może się równać z Carmen?

- A co pan zrobił ze swoją żoną, z Marianną? - spytał Dawid głucho.

Trudno mu było mówić, a gdy dostrzegł w oczach olbrzyma niepojęty wyraz dzikiej uciechy, miał wrażenie, że żelazna dłoń ścisną mu gardło.

- Jutro się pan dowie, na pewno! Dziś nic panu nie powiem. Proszę czekać do jutra!

Skinął głową, cofnął się i zamknął drzwi. Klucz zgrzytnął w zamku.

Ucieczka i pogoń

Carrigan powiódł z wolna wzrokiem po pokoju. Niewielkie drzwi prowadziły do głuchego schowanka; były poza tym dwa okna, oba zasłonięte firankami. Podniósł je szybko i wnet na twarz wypłynął mu ponury uśmiech. Poza szybą białe mocne brzoźowe żerdzie, przybite gwoździemi od zewnątrz. Kora była świeżo odarta i całe urządzenie pochodziło najwidoczniej z dzisiejszego dnia. Czarny Roger i Carmen

Fanchet przyjęli go uprzejmie w swym dworzyszczu, lecz oczywiście nie mieli zamiaru dać mu umknąć.

A gdzie była Marianna? Myśl ta poczynała go dręczyć. Machinalnie wodził oczyma po izbie, jakby chcąc odszukać ślady jej obecności. Pokój był dziwnie pusty, niezwyczajnie pusty, jak to natychmiast zauważył. Podłogę zaścielały piękne futra: dwie skóry wilcze i trzy czarne niedźwiedzie. Na ścianach wisiały łby dwu jeleni i wspaniałego karibu. Ze śladów na podłodze wywnioskował, iż stało tu kiedyś łóżko. Obecnie usunięto je, dając w zamian niski, miękki tapczan. Brakowało stołu i krzeseł, słowem wszystkiego, z czego można by sporządzić oręż.

Zbliżył się znów do okien i podniósł szyby. Chłodne aromatyczne powietrze leśne uderzyło go w twarz. Do poprzecznych żerdzi przybito siatki przeciw moskitom. Dawid uśmiechnął się. Zabawnie było widzieć, iż dbają tak o wygody człowieka skazanego na śmierć. Nie wątpił bowiem ani chwili, iż wyrok śmierci został już wydany.

Po upływie godziny Dawid obserwował przez okno świat zalany księżycowym blaskiem. Widział ciemny mur lasu z daleka opasujący dworzyszczę oraz tu i ówdzie rozsiane po polanie zarysy budowli. Niebo było pełne gwiazd i cisza panowała ogromna. Z dołu dolatywała czasem woń dymu tytoniowego; najwidoczniej pod oknem czuwał strażnik.

Nieco później Carrigan zrzucił ubranie i zgasiwszy światło, wyciągnął się - pomiędzy chłodną bielą prześcieradeł. Usnął dość szybko, ale dręczyły go zmy. Budził się dwukrotnie i za drugim razem miał wrażenie, że czuje dym mocniejszy i w ogóle odrębny od dymu fajki. Nie wstawał i znów zadrzemał, lecz po pewnym czasie coś kazało mu ocknąć się, usiąść na posłania i wreszcie skoczyć na równe nogi.

Było ciemno, ale skądś dolatywał gwar. Tworzyły go głosy nie stłumione bynajmniej, lecz przeciwnie donośne, o znamionach podniecenia i komenderowania. Pokój był pełen dymu; dym napełniał płuca i boleśnie gryzł oczy.

Carrigan, przetarłszy powieki, z głośnym krzykiem skoczył raptem do okna. Od północy i od wschodu świat był jednym morzem ognia.

Księżyc znikł. Szary brzask, przymglony pożogą, zapowiadał nadejście dnia. Jakieś cienie ganiały to tu, to tam, ginąc nieraz w oddaleniu. Nawoływania kobiet i płacz dzieci łączyły się z wyciem psów. Ponad wrzawą górował donośny głos Czarnego Rogera. Na jego komendę grupy ludzi mknęły na spotkanie ognia i nie pokazywały się więcej.

Carrigan przyodział się szybko i znów skoczył ku oknu. W pobliżu przelatywało właśnie kilkunastu ludzi, dorosłych mężczyzn i chłopaków pod wodzą Joe Clamarta; na ramionach nieśli piły i topory. Wiatr stężał i Dawid zauważył, że dmie prosto z serca ognia ku dworzyszczu. Niebo jaśniało od łuny i od wstającego dnia.

Powietrzem płynął dźwięk, zdający się pochodzić z odległości wielu mil, tak mało był wyraźny. Dawid natężył słuch, chcąc go lepiej ułoić, i rozróżnił ni to płacz, ni to jęk pochodzący - o dziwo - spod jego okna. Ktoś zawodził niby dziecko, a jednak Carrigan wiedział, że to nie dziecko łka. Nie kobieta również. Od ściany oderwała się z wolna jakaś postać skulona niesamowicie i Dawid poznał garbatego Andrzeja. Kaleka lamentował boleśnie, wyciągając ramiona ku gorejącej puszczy. Lecz raptem, rzucając wyzywający okrzyk, pomknął przez polanę ku lasowi.

Dawid patrzył w ślad za nim, doznając dziwnego ucisku serca. Zupełnie jakby widział dziecko idące na niechybną śmierć. Krzyknął, chcąc przywołać straż i wysłać kogoś za obłąkanym, ale straż znikła.

Natychmiast przyszło mu na myśl, że tym samym, jeśli tylko wyłamie zapórę, będzie miał wolną drogę przed sobą. Całą siłą napał na brzozowe żerdzie, uderzając ramieniem, jak taranem. Nie ustąpiły ani na cal, mimo to ponawiał ciosy, aż mu ramię zdrętwiało. Wtenczas przerwał, by raz jeszcze, spokojnie, zbadać przeszkodę. Jedno mogło ją poruszyć: jakikolwiek lewar.

Obejrzał się, lecz w izbie nie było żadnej rzeczy, mogącej do tego celu służyć. Potem wzrok jego padł na wspaniałe rogi karibu. Tu przenikliwość Audemarda wyraźnie zawiodła i teraz Carrigan, bez zwłoki, zdjął czaszkę ze ściany.

Nie był mu obcy sposób, w jaki leśni ludzie wyłamują rogi z osady, jednak, wobec braku zwalonego pnia lub mocnych korzeni, operacja ta zajęła mu sporo czasu. Nim stanął znów przy oknie, z rogami w ręku, minął kwadrans od chwili, gdy widział po raz ostatni potwornego kalekę.

Nie potrzebował już natężyć słuchu, by ułoić wycie płomieni, a czarne kłęby dymu piętrzyły się nad szczytami drzew, jakby je kto wydmuchiwał z potwornej fajki.

Carrigan wsunął koniec rogu między dwie brzozowe żerdzie, lecz nim zdołał go nacisnąć, usłyszał dochodzący zza węgła donośny głos. Ktoś wzywał garbusa. W chwilę potem przed dom wypadł Czarny Roger i zwrócony twarzą do ognia wrzasnął:

- Andrzeju! Andrzeju!

Dawid przyłożył twarz do zapory i krzyknął. Audemard podniósł głowę. Był

bez kapelusza, ręce miał obnażone powyżej łokci i oczy mu świeciły gorączkowo.

- Przeszedł tędy przed dwudziestu minutami! - wołał Dawid. - Znikł w lesie, o, tam, gdzie widać martwą sosnę. Płakał... płakał jak dziecko!

Gdyby zamierzał dodać coś jeszcze, Roger już by go nie usłyszał. Biegł bowiem właśnie do lasu, we wskazanym kierunku. Teraz Dawid napał na róg i z wolna jeden z brzozowych konarów ustąpił. Carrigan zabrał się do drugiej żerdzi, potem do trzeciej, aż miał cały dół okna wolny. Wysunąwszy głowę stwierdził, że na odległość wzroku nie ma nikogo. Wtedy, nogami naprzód, wysunął się na zewnątrz, przez chwilę wisiał na rękach, aż skoczył.

Bez szwanku stanął na ziemi. Patrząc w kierunku, w którym pobiegł Roger Audemard, uczył dziki dreszcz. Teraz była jego kolej! Na razie miał ochotę zawrócić, wdrzeć się do wnętrza domu i trzymając Carmen Fanchet za gardło, spytać - co ona i jej kochanek zrobili z Marianną? Lecz przeważyła szalona chęć porachowania się najpierw z Czarnym Rogerem. Złoczyńca pognał w las sam, bez eskorty. Okazja nadarzyła się znakomita.

Był pewien, że Marianna pozostała na tratwie, toteż los dworzyszczka Boulainów nie obchodził go wcale. Ogień mógł je strawić doszczętnie.

Pędem ruszył przez polanę, po drodze unosząc z ziemi mocny kij. Szlak, na który wnet trafił, był ledwo przetartą ścieżką, bardzo wąską, kluczącą wśród nawisłego krzewia - toteż Dawid wiedział, że korzysta się z niej bardzo rzadko. Biegnąc jak najszybciej, po upływie pięciu minut wybiegł raptem znów na wolną przestrzeń, gdzie powietrze gęste było od dymu i tu zrozumiał, dlaczego sadybie Boulainów nie grozi żadne niebezpieczeństwo.

Stał pośród szerokiej na karabinowy strzał poręby, wolnej od trawy i chaszczki i częściowo zaoranej; zataczała półkole w obie strony, jak daleko wzrok mógł sięgnąć. Czarny Roger zabezpieczył w ten sposób swą posiadłość od ognia, dostarczając jednocześnie ludziom uprawnej roli.

Biegnąc dalej, z prawa i z lewa słyszał podniecone głosy. Pilnowano widocznie właśnie tej przesieki, dbając, by ogień się przez nią nie przerzucił. Nikt nie zastąpił mu drogi. Na miękkiej ziemi widział ślady nóg: odbicia stóp dwu ludzi biegnących, garbatego Andrzeja i Rogera Audemarda.

Po coraz mniej wyraźnej ścieżce wiodły dalej w las, na spotkanie pożogi. Dawid nie ustawał w pościgu. Daleki huk ognia przeszedł w niskie wycie; dym gęstniał. Carrigan gnał dobrą milę, aż stanął, widząc, że się znajduje u wrót zagłady.

Ponad sobą miał skłębiony chaos. Ryczący prąd powietrza zginał wierzchołki drzew, niby podmuch burzy. Powietrze było z każdą chwilą gorętsze. Odpoczywał czas jakiś, dysząc ciężko. Gdzież się podziali tamci? Co za tajemniczy nakaz wiódł obu w paszczę śmierci? A może skręcili w bok? Może tylko jemu grozi śmierć?

Jakby w odpowiedzi daleko przed nim huknęło wołanie. Był to głos Czarnego Rogera raz po raz powtarzający gromko:

- Andrzej! Andrzej! Andrzej!

Coś w tym krzyku uderzyło Carrigana. Drżała w nim nuta grozy i rozpacz. Dawid już poprzednio miał ochotę zawrócić, rozumiejąc, iż i tak zbyt się zbliżył do pożaru, lecz ów krzyk podciął go niby biczem. Runął przed siebie, w zawieruchę dymu, nie widząc nawet ścieżki pod nogami. Głos Audemarda, powtarzający się co chwilę, kierował jego krokami. Namiętność łowcy ludzi rozpalala jego żyły. Człowiek, którego poządał, znajdował się na przedzie, toteż strach przed śmiercią lub kalectwem nie miał już doń przystępu. Tam, gdzie przeszedł Czarny Roger, on mógł przejść również, więc ściskając kij w garści mknął wśród niskich krzaków, boleśnie tnących twarz i ręce.

Dotarł do stóp pagórka; wiedział, iż Czarny Roger nawoływał z jego szczytu właśnie. Było to spore wzniesienie o trzydzieści metrów przynajmniej górujące ponad lasem, i gdy dobrnął do wierzchołka, dyszał ciężko, z trudem chwytając powietrze. Miał wrażenie, że znalazł się raptem przed paszczą rozpalonego pieca. Las słał się przed nim ku północy i ku wschodowi, lecz dym zasłaniał mu widok. Ale i przez dym widział dość, by rozpaczliwie trąć oczy, usiłować zobaczyć coś więcej. O milę, być może o dwie, pożar zdawał się rozdzwajać na ostrzu olbrzymiego klina. Z prawa i z lewa słyszał łoskot ognia, ale na przodzie szalała jedynie zawierucha gorącego wiatru, dymu i popiołu. Stamtąd właśnie bił krzyk.

- Andrzej! Andrzej! Andrzej!

Ruszył znów brzegiem poprzez spieczoną ciemność. Góry żywicznego dymu, czarne niby atrament, kłębiły się po obu bokach trójkąta. Pod tym śmiertelnym całunem niewidzialne dla oka płomienie cwałowały po wierzchołkach sosen i cedrów niby wyścigowe rumaki. Carrigan wiedział, że jeśli się zejda poza jego plecami, nastąpi koniec.

Serce łomotało mu o żebra, gdy mknął w kierunku głosu Czarnego Rogera. Wołanie powtarzało się stale i zawsze na przedzie. Dążyło ku wierzchołkowi trójkąta. Lecz dopiero o milę od wzgórza, przystanąwszy na mgnienie nad szeroką strugą,

Dawid pojął, w jaki sposób stworzył się ów klin.

Rzeczka dzieliła się tu na dwoje ramion, obejmujących znaczną połąć lasów, a wzdłuż jej brzegów rozległym pasem wyrąbano drzewa i chaszczę. Najwidoczniej w przewidywaniu pożaru chciano tu stworzyć coś na kształt bezpiecznej wyspy.

Carrigan przemył oczy; woda była ciepła. Potem rzucił wzrokiem przed siebie. Ogień przeleciał już, dalej; dym rzedł. Bez przeszkody oglądał teraz to, co było kiedyś zieloną puszcza: świat spalony do cna i czarny. Zgliszczą kurzyły się jeszcze. Drobne języki płomienia lizały nadal na wpół zetlałe kłody. Wiatr ucichł i tylko z daleka niósł się łoskot pożogi.

Lecz raptem spoza rzeczki, rozbrzmiał straszliwy krzyk. To Czarny Roger, nawet wśród tej martwej pustki, przyzywał wciąż garbatego Andrzeja.

Płonący las

Carrigan skoczył w wodę; sięgnęła mu tylko do piersi. Na brzegu zobaczył ślad stopy Czarnego Rogera, głęboko odbity w tłących węglach i popiele. Ruszył tym tropem. Powietrze, które wciągał w płuca, było rozpalone, pełne dymu, kurzawy i sadz. Następował na gorące żagwie i czuł woń smalonego juchtu. Szkielety cedrów i jodeł skwierczały jeszcze, wybuchając raptownymi jęzorami ognia. Twarz go paliła, w oczach rósł żrący ból, zdawał się wdychać sam płomień - gdy nagle przed sobą dostrzegł Rogera Audemarda.

Olbrzym nie nawoływał już; milcząc parł przez żar i dym, niby zwierzę jednocześnie obłąkane i ślepe. Dwukrotnie Dawid wyminął stopy płonących głowni, przez które Audemard brnął wprost. Po raz trzeci, dążąc w ślady szaleńca, uczył, jak mu płomień gryzie stopy. Tłumiąc jęk bólu, chciał już krzyknąć na Rogera, lecz w tejże chwili Audemard stanął. Dawid pospieszył do jego boku i zatrzymał się również.

Las zdawał się tu kończyć. Czarne zbocze, stromo umykające spod nóg, opadało ku zwęglonej dolinie. Czarny Roger patrzył w dół i coś na kształt jęku dobyło się z jego piersi. Ogromne, nagie ramiona były znaczone ogniem; koszula wisiała w strzępach, włos spopielał. Dawid przemówił i na dźwięk jego głosu

Audemard zwrócił ku niemu twarzą podobną do okopconej maski. Potem, tragicznym gestem, wskazał przed siebie.

Dawid wyteżał wzrok, lecz zbolące oczy nie mogły nic dojrzeć. Wtem uczył,

że grunt usuwa mu się spod nóg. Zetlałe korzenie nie mogły utrzymać ciężaru i urwisko się zapadło. Obaj, Carrigan i Czarny Roger, polecieeli w dół, podczas gdy deszcz gorącej ziemi, popiołu i węgla sypał się na nich.

Dawid leżał chwilę ogluszony. Potem, bezładnie macając rękami, trafił dłonią na żarzącą głownię i z dzikim wrzaskiem porwał się na nogi. Na razie, na wpół oślepiony, nie mógł nic dojrzeć. Lecz oto zobaczył Czarnego Rogera. Audemard na kolanach i rękach włókł się pośród rudych zgliszczy. Dotarłszy do zwęglonego pnia, runął nań całym ciałem, jęcząc:

- Andrzeju! Andrzeju!

Dawid pospieszył ku niemu i wzięwszy olbrzyma pod ramiona, dopomógł mu wstać. Wtedy dopiero spostrzegł, iż to nie pień, ale zetlałe zwłoki ludzkie.

Ze zgrozy - oniemiał. Czarny Roger spojrział na Carrigana i odetchnął głęboko, jakby łkając. Po chwili, opanowawszy się, chwycił dłoń policjanta osmalonymi i okrwawionymi palcami.

- Wiedziałem, że on tutaj dąży! - rzekł, a słowa wychodziły z trudem spośród obrzmiałych warg. - Przybył do domu, by umrzeć...

- Do domu?

■- Tak! Tu przed trzydziestu laty niemal pochowani zostali jego rodzice, których ubóstwiał. Przyjrzyj mu się, przyjrzyj się bacznie, bowiem to jest człowiek, na którego polowałeś tak uparcie, najlepszy z ludzi - Roger Audemard! Gdy zobaczył ogień, przybiegł, by osłonić przed zniszczeniem mogiłę matki i ojca. A teraz nie żyje!

Zawył boleśnie i byłby upadł, gdyby go Dawid nie podtrzymał.

- Więc ty, Audemard?... - krzyknął. - Więc ty?... Mów, na miłość Boską!

- Ja... ja, proszę pana... Cóż, jestem tylko jego bratem, Piotrem.

Głowa mu zwisała i ociążał w ramionach Carrigana jak martwy.

W jaki sposób Dawid powrócił wreszcie nad brzeg rzeczulki, niosąc na plecach bezwładne ciało Piotra Audemarda - pozostało dla niego samego dręczącą zagadką. Stan krytyczny, jaki przeżywał, zatarł w mózgu wszelkie szczegóły. Czuł, że walczy tak zajadle, jak nigdy przedtem; że potyka się raz po raz na tłącym popielisku; że jest poparzony, częściowo oślepiony i że mu mdło. Lecz włókł się resztką sił i dźwigał Audemarda wiedząc, iż olbrzym ma złamaną nogę i nie może iść o własnych siłach, a pozostawiony wśród zgliszcz zginie niechybnie. Pod koniec zdawał sobie sprawę z tego, że Audemard jęczy, a on sam mu coś perswaduje. W końcu dotarł nad brzeg rzeki, gdzie runął razem z rannym, a w jego głowie zapanowała taka czerń jak

na wysmolonej ziemi.

Nie wiedział wcale, jak okropnie jest poparzony. Skoro ciemność nań zesłała, nie czuł już bólu. Jednak niektóre wrażenia przedostawały się do jego świadomości. Oto na przykład zdawał sobie sprawę, że Piotr Audemard krzyczy ponad nim. Byłby przysiągł, iż ten donośny krzyk powtarza się bez przerwy w ciągu szeregu dni. Potem przyłączyły się doń inne wołania, to bliższe, to znów dalsze. A później jeszcze Dawida unosiły jakieś chmury, rozkołysane miękko i długi czas nie czuł i nie słyszał nic.

Z omdlenia zbudziło go coś łagodnego i krzepiącego. Przez chwilę, odzyskując przytomność, nie ruszał się i nie podnosił powiek. Ułowił ciche kroki, dwa głosy kobiece stłumione do szeptu, wreszcie otwarcie i zamknięcie drzwi. Po chwili wiedział już. Znajdował się w pokoju pełnym słońca. Spoczywał na łóżku. A ta miękka, krzepiąca dłoń, lekko niby puch muskała nadal jego czoło i włosy. Otworzył oczy szerzej i spojrział w górę. Serce w nim skoczyło i zamarło. Ponad nim pochylała się piękna, uduchowiona twarz, podobna do anielskiego oblicza. Była to twarz Carmen Fanchet.

Uczynił wysiłek, chcąc przemówić.

- Tss... cicho! - szepnęła kobieta. Spozrzegł, iż w źrenicach jej coś błyska i coś wilgotnego toczy się po policzkach. - Ona zaraz wraca, a ja odejdę. Trzy dni i trzy noce nie zmrużyła powiek i musi pierwsza zobaczyć, jak pan otwiera oczy!

Pochyliła się nad nim i drżącymi wargami ucałowała go w czoło.

- Niech cię Bóg błogosławi, Dawidzie Carrigan! Ruszyła do drzwi, a Dawid ponownie przymknął powieki. Odczuwał znów w całym ciele palący ból i przypomniła mu się wędrówka przez płonący las. Potem drzwi się otwały, ktoś wszedł i ukląkł przy łóżku tak cicho, iż zdawał się wcale nie oddychać.

Dawid zamierzał właśnie wymówić drogie imię, lecz jeszcze zwlekał, niepewny. A wtem aksamitne wargi dotknęły jego ust.

Otworzył oczy. Była to Marianna. Klęczała obok z głową przytuloną do jego ramienia. Nie miała pojęcia, że zbudził się już i trwała bez ruchu. Patrząc z góry widział długie rzęsy, różany policzek i gęste fale włosów.

Szepnął: - Marianno...

Nie poruszyła się na razie. Dopiero po chwili, unosząc głowę, spojrziała mu w oczy. Milczeli oboje. Dawid uniósł obie dłonie, jedną zdrową, drugą całą w bandażach i pogłaskał jej twarz. Pochyliła się szybko, ucałowała go w czoło i usta, po

czym tak właśnie jak po pierwszym pocałunku, zerwała się i uciekła.

- Marianno! Marianno! - wołał Carrigan. Drzwi trzasnęły za nią. Szybkie kroki dudniły po sieni. Ucichły. Ozwały się znowu. Dawid wsparty na łokciu czekał. Drzwi się otwały i weszła - Carmen Fanchet, a za nią Nepapinas.

Bardzo łagodnie, z dobrotliwym uśmiechem, Carmen pomogła Indianinowi unieść chorego do pozycji siedzącej. Stosem poduszek podparli mu plecy. Po czym Carmen przemówiła tak serdecznie, jak matka do dziecka:

- Już mniej boli, prawda?

- Mniej! - potwierdził Dawid. - Ale co się stało?

- Był pan poparzony okropnie. Dwie doby strasznie się pan męczył. Za to później przyszedł długi okres snu. Nepapinas twierdzi, że ból już nie wróci. Gdyby nie pan...

Pochyliła się niżej i Dawid zrozumiał raptem, dlaczego jej oczy są tak promienne.

- Gdyby nie pan... - kończyła. - Piotr byłby zginął.

Odsunęła się szybko i zwróciła w stronę drzwi.

- Przybędzie tu, by pomówić z panem w cztery oczy - rzekła, a głos jej załamywał się zdradliwie. - Proszę Boga, by dozwolił panu jasno spojrzeć na rzeczy i przebaczyć mi, jak ja panu przebaczyłam to, co było dawno!

Z sieni dobiegł jakiś dźwięk, drzwi się otwały i stary Nepapinas wtoczył do pokoju fotel na kółkach. W fotelu siedział Piotr Audemard. Ręce, ramiona i nogi miał całe w bandażach, tylko twarz pozostała wolna od opatrunków. Na widok Dawida uśmiechnął się szeroko. Nepapinas przysunął fotel tuż do łóżka chorego i wyszedł, cicho zamykając za sobą drzwi, spoza których, Dawid był pewien, dobiegały stłumione kobiece szepty.

- Jak się czujesz, Dawidzie? - spytał Audemard.

- Świetnie! - skinął głową Carrigan. - A ty?

- Złamana noga i trochę zadrapań - tu wyciągnął obandażowane dłonie. -

Zginałbym, gdybyś mnie nie przyniósł nad rzekę. Carmen twierdzi, że za ocalenie mi życia jest ci winna swoje.

- A Marianna?

- O niej właśnie chciałem ci mówić. Gdy tylko oprzytomniałaś, obie, Marianna i Carmen, kazały mi się z tobą zobaczyć. Ale jeśli nie czujesz się na siłach?...

- Mów! - syknął Dawid niemal groźnie.

Z twarzy Piotra znikł radosny wyraz, ustępując miejsca ponurej trosce.

Zwrócił wzrok w stronę okna, poza którym zachodziło właśnie słońce i skinął głową.

- Widziałeś tam w lesie? Roger Audemard nie żyje! Pochowano go w trumnie z aromatycznego cedru. Kochał ten zapach. Był jak dziecko. A kiedyś przed laty wspaniały mężczyzna, o wiele lepszy i silniejszy niż ja sam. Co uczynił, uczynił słusznie, panie Dawidzie. Jako najstarszy z nas miał lat szesnaście, gdy to się stało. Ja skończyłem dopiero dziesięć i niezupełnie pojmowałem, co zaszło. Ale on wiedział i rozumiał śmierć ojca, samobójstwo, gdyż potężny agent zapragnął naszej matki. Wiedział również, jak i dlaczego ona umarła. Jednak milczał i opowiedział nam to dopiero po latach, gdy zemsta już się dokonała!

Rozumiesz, Dawidzie? Nie chciał mnie w to plątać. Uczynił wszystko sam, przy pomocy druhów z dalekiej Północy. Zabił morderców naszych rodziców i skrył się potem w kniei wraz z nami. Przyjęliśmy potem nazwisko matki, Boulain, i osiedli tu, nad Jellowknife. Roger, Czarny Roger, jakeście go tu zwali, przyniósł prochy ojca i matki i pochował w miejscu, gdzie stała nasza dawna chata. Przed pięciu laty walące się drzewo okaleczyło go, jednocześnie odbierając mu rozum. Odtąd szukał wciąż Rogera Audemarda - samego siebie. Taki był człowiek, którego prawo chciało posłać na szubienicę - nasz najlepszy brat!

- Nasz, to znaczy czyj? - wykrzyknął Dawid.

- Mój i siostry!

- To znaczy?!

- Mój i Marianny.

- O Boże! - Dawidowi tchu brakło w piersi. - Czy to nowe kłamstwo?

- To święta prawda! - mówił Piotr Audemard. - Marianna jest moją siostrą, a Carmen, którą pan widział przez okno...

Urwał i z uśmiechem patrzył w oczy Dawida, jakby rad szalonemu ich napięciu.

- Jest moją żoną! Dawid odetchnął głęboko.

- Tak, moją żoną i kobietą o najszlachetniejszym sercu, jakie kiedykolwiek było na tej ziemi! - zawołał Piotr Audemard z odcieniem dumy w głosie. - To ona, a nie Marianna postrzeliła cię nad rzeką. Mój Boże, przysięgam, że żadna inna na jej miejscu nie darowałaby ci życia - a jednak żyjesz! Dlaczego, posłuchaj, a zrozumiesz wreszcie!

Carmen miała brata, o wiele młodszego, a że rodzice odumarli ich niemal w dzieciństwie, była chłopcu wszystkim, siostrą i matką zarazem. Uwielbiała go. A on był zły. Lecz im bardziej schodził z prostej drogi, tym bardziej go kochała i tym żarliwiej się za niego modliła. Gdy została moją żoną, usiłowaliśmy razem, wydobyć go z bagna występku. Ale widać zaprzedał, duszę diabłu. Porzucił nas też wkrótce, ruszył na północ i stał się tym, kim był, gdy go schwytałeś. Na wieść o jego schwytaniu Carmen uczyniła ostatni bohaterki; wysiłek, by go ocalić, lecz mimo wszystkich jej zabiegów skończył na szubienicy!

Piotr pochylił się ku przodowi; twarz mu gorzała.

- Walczyła dzielnie, musisz przyznać? - mówił. - A ty czyniłeś starania, by ją uwieziono wraz z bratem!

- Prawda! - krótko przyznał Carrigan.

- Znienawidziła ciebie wtenczas! - ciągnął Audemard. - I nienawiść ta w niej nie wygasła. Aż dowiedziała się po latach, iż ten sam człowiek, który powiesił jej brata, wyruszył w pościg za Czarnym Rogerem. Otóż, Roger Audemard i ja stanowiliśmy w tym wypadku jedno, gdyż przysiągłem, że w razie potrzeby zajmę miejsce nieszczęsnego kaleki. Wtenczas Carmen uciekła z barki, zabierając ze sobą fuzję. Zgadujesz, co zaszło dalej? Marianna usłyszała strzały i przybyła czołnem sama jedna w tej chwili właśnie, gdy padałeś na piasek.

Piotr urwał, uśmiechnął się i niezręcznie poruszył obandażowanymi dłońmi, jakby usiłując je zatrzeć.

- Nad twoim bezwładnym ciałem rozgorzała walka. Carmen, nienawidząc, pragnęła twojej śmierci; Marianna, kochając już, pragnęła cię ocalić. Marianna zwyciężyła, gdyż miłość jest zawsze od nienawiści silniejsza. Zresztą gdyś tak leżał we krwi i w oczach Carmen mało byłeś podobny do człowieka, który powiesił jej brata. Toteż ratowały cię wspólnie. A potem Carmen ruszyła czołnem na moje spotkanie, podczas gdy Marianna grała rolę mojej żony. Był to isticie kobiecy pomysł, ale nim tu przybyłem, rzeczy zaszły zbyt daleko i należało prowadzić grę do końca. Widziałem też, co się dzieje i że poczynasz kochać Mariannę, więc byłem pewien, że się to wszystko pomyślnie rozwinie, ale ryzykować nie mogłem, stąd ta straż i żerdzie w oknach...

Wzruszył ramionami i twarz jego przyćmił wyraz żalu.

- Gdyby Roger nie poszedł walczyć z ogniem o groby rodziców - powiedziałbym i tak całą prawdę, wierząc, iż twoja miłość do naszej siostry

zwycięży! I nadal wierzę, że potrafisz mądrze wybrać pomiędzy miłością, a tym, co sądzisz, że jest obowiązkiem. Ale ty mnie nie słuchasz?...

Dawid ponad jego głową patrzył na drzwi i Audemard uśmiechnął się, widząc wyraz jego twarzy.

- Nepapinas! - zawołał głośno. - Nepapinas! Po chwili zaszeleściły kroki i Nepapinas wszedł.

Piotr wyciągnął obie ręce, Dawid uczynił podobnie i bez słowa uścisnęli się mocno, jak bracia.

Potem Nepapinas wytoczył fotel z pokoju, a Dawid oparty o poduszki czekał w tak szalonym napięciu, iż zdawało się, że ma w piersi dwa bijące serca, a nie jedno.

Upłynął nieskończenie długi czas, podług niego przynajmniej - nim Marianna stanęła we drzwiach. Dawid wyciągnął ku niej ręce, wymawiając umiłowane imię. Wtenczas przeleciała pokój niby ptak i na kolana padła przy łóżku. Chwilę trwali przytuleni do siebie, bez słowa. Potem Marianna podniosła twarz i z lekkim uśmiechem w kącikach warg, a łkaniem w głosie, spytała:

- Czy... wszystko dobrze się skończyło... Dawidzie?

Przysunął jej wargi do swoich. Nie mógł wcale spał pamiętać, co mówił później, ale w jakiejś chwili Marianna rzekła:

- Zabierzesz mnie ze sobą?

- Tak! - odpowiedział radośnie. - Przedstawię cię memu zwierzchnikowi i... poproszę o dymisję. Obiecał, że jeśli załatwię sprawę tego Rogera Audemarda, da mi wszystko, cokolwiek zażądam, więc nie może odmówić. Do września sprawa da się załatwić, toteż zdołamy tu wrócić, nim spadną śniegi, rozumiesz? Przygarnął ją znów mocniej.

- Rozumiesz? - powtórzył, kryjąc twarz w jej włosach. - Znalazłem wreszcie ziemię moich marzeń i pragnę tu z wami na zawsze pozostać. Czy cieszysz się, Marianno?

* * *

W ogromnej izbie, której okna patrzyły na trzy strony świata, Piotr czekał w fotelu, pomrukując chwilami ze zniecierpliwienia, podczas gdy Carmen usiłowała zasięgnąć pewnych informacji. Nadeszła wreszcie od drzwi pokoju Carrigana, stąpając leciutko na palcach, a Audemard, widząc jej zapłonioną twarz i błyszczące oczy, spróbował zatrzeć swe zabandażowane dłonie.

- Gdybym to przewidział, kochanie - szepnął do niej - kazałbym zrobić

większą dziurkę od klucza do jego pokoju. Dawid zasłużył sobie na to, szpiegując nas wtenczas przez okno. Ale, mów! Widziałaś co? Słyszałaś co?

Carmen położyła mu na ustach miękką dłoń.

- Ciszey! - przestrzegła. - Nie tak głośno! I, kochany, wiem tylko tyle, iż w zamku Boulainów znajduje się obecnie czworo ludzi - niezmiernie szczęśliwych!

Koniec

„KB”